PODAREK

DLA

PŁCI PIĘKNÉJ.

PODAREK
DLA
PŁCI PIĘKNÉJ.

POWIEŚCI I POEZYE

wydane przez

Karola Korwella.

OZDOBIONE RYCINAMI.

2.

WARSZAWA.

W DRUKARNI JÓZEFA UNGER.

1850.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

NIEZAPOMINAJKI.

WSPOMNIENIE

Z PODRÓŻY DO GASTEJNU.

O, te skarby, te obrazy,
I natury i swobody:
Chwytaj, pókiś jeszcze młody,
Póki w sercu jeszcze rano!
Bo nie wrócą ci dwa razy,
A schwycone pozostaną.....
W. P.

Sto lat upływa, jak uzdrawiające wody Gastejnu zwabiać zaczęły do siebie znaczną liczbę okolicznych mieszkańców. Wody te znane już w starożytności, z powodu cudownych swych skutków, uważane były podówczas za coś świętego, i zwracały uwagę osób poświęcających się cierpiącéj

ludzkości. Doświadczony w późniejszym czasie pomyślny ich wpływ na zdrowie, sprowadzał do Gastejnu mnóstwo osób z rozmaitych stron i części świata. Ale nie sama tylko potrzeba leczenia się, była do tego powodem. — Zachwycające położenie Gastejnu i jego okolic, ściągały tu ciekawych, pragnących widzieć i podziwiać cuda natury.

Nic wprawdzie tak nieusposabia i nie wznosi uczuć człowieka, jak wspaniałe widoki przyrodzenia., lecz aby je skreślić z całą mocą, trzeba myśli młodéj, swobodnéj, trzeba nakoniec wyłącznie temu celowi podróż swoję poświęcić — a celem mojéj podróży, niestety! nie była ciekawość: szukałem w wodach Gastejnu poprawy zwątlonego zdrowia.

Już nie jedno pismo głosi pochwały Gastejnu; doświadczenie przekonywa, że jego wody najskuteczniéj działają na choroby uporczywe, a te dzisiaj są najczęstszemi; — może więc i ten lekki obraz jaki tu przedstawię, zachęci kogo do głębszego zastanowienia się nad tą stroną, zadziwiającą pięknością widoków natury, i błogosławioną z posiadania źródła, leczącego cierpienia ludzkie.

Gastejn leży w Cesarstwie Austryackiém, o 13 mil od Salzburga, z którym téż najbliższe ma stosunki. Droga z Salzburga do Gastejnu, wiodąc pomiędzy górami i skałami, rozmaitych, dziwnych kształtów, zajmuje do tyla umysł podróżnego, iż

prawie wdzięczny jest nieznośnéj jezdzie austryackiéj, która daje dosyć czasu do przypatrzenia się tym prześlicznym obrazom. Zbliżając się do Gastejnu, kraj coraz staje się górzystszym i droga trudniejszą. Gastejn położony w dolinie, otoczony jest górami Alpejskiemi i skałami zasutemi wiecznym śniégiem, a góry w chmurach pogrążone, nadają temu miejscu widok tak dziki i ponury, że w piérwszéj chwili przerażeniem podróżnego przenika.

Gastejn leży na 3,226 stóp nad powierzchnią morza. Powietrze na téj Alpejskiéj wyżynie czyste i świeże, podnosi i wzmacnia działalność życia, i wielki wpływ wywiéra na zdrowie mieszkańców. Tak powietrze jako i woda zwyczajna, która tam spada z gór przez granity, przezroczysta jak kryształ i nadzwyczaj zimna, przyczyniają się wielce do zdrowia, wiadomo bowiem, że sam ojciec medycyny Hipokrates uznawał i wysoko cenił działanie na zdrowie ludzkie, powietrza, wody i miejsca, w rozmaitych chorobach.

Nie więcéj jak 20 domów, w téj liczbie: dom rządowy na pomieszkanie dla Doktora i Władzy Policyjnéj, szpital, kościół murowany z plebanią i szkółka elementarna, do głównych liczą się zabudowań Gastejnu; dzisiaj coraz więcéj nowych i wygodnych przybywa. Środkiem Gastejnu leci kaskada z gór od topniejących śniégów i wpada do

rzéki, bawi to wzrok, lecz nieznośném jest dla ucha. Z gór otaczających Gastejn, rozmaitemi źródłami wytryskują ciepłe uzdrawiające wody rozlicznéj temperatury, od 27 do 38 stopni. Woda ta nie ma żadnego zapachu ani smaku, zupełnie jest przezroczystą jak najczyściejszy brylant, i dlatego w starożytności uważano te wody za coś cudownego, bo dotąd nie wytłumaczono jeszcze dokładnie ich zadziwiającego, leczącego działania. Kąpiele Gastejnu, z powodu dzikości ich położenia, przezwano dzikiemi, *Wildbad-Gastejn.*

Równie jak sam Gastejn, tak i okolice nader są malownicze; skały i góry w rozmaitych kierunkach, osypane śniégiem, wznoszą się aż pod obłoki. Ciekawi podróżni zwiedzają te góry na osłach, których umyślnie w tym celu mieszkańcy utrzymują, małe nawet dziecko zna drogę i służy za przewodnika. Wsi dokoła Gastejnu leżą w znacznéj nad tém miasteczkiem wysokości; góry pokryte są domami włościańskiemi i budynkami gospodarskiemi, prawie po sam wierzchołek.

Czarujący śród tych gór jest zachód słońca przy pięknéj pogodzie; drzewa ponure, spokojne, ocienia pomroka, najmniejszym szelestem nie przerywają one ciszy natury. Pasterze przyzwyczajonym hasłem zwołują pasące się po górach trzody, które jakby rozumiejąc mowę ludzką, na to hasło się zbiérają. Spracowani wieśniacy całodziennym tru-

dem wracają do domów, najpiérwszą tam myślą ich jest złożyć dzięki Najwyższemu, za szczęśliwe dnia ukończenie. Przed każdym domem wystawiony jest obraz świętego patrona, lub wyobrażenie męki Zbawiciela. Ojciec familii złożywszy narzędzia rolnicze za powrotem z pracy, klęka przed obrazem, otoczony rodziną i zanosi dziękczynne modły do Boga, a za nim wszyscy głośno je powtarzają. Echo gór, odbija ostatnie słowa starca i powtarza ciężkie i głębokie jego westchnienie.

Mieszkańcy Gastejnu i okolic są sami włościanie, każdy z nich umié czytać i pisać, trudnią się gospodarstwem i rolnictwem, dziś zjazd wielu osób na kuracyą nastręczył im nowy rodzaj spekulacyi; we wszystkich prawie domach są kąpiele dla chorych, woda sprowadza się z gór rurami drewnianemi. Twarze mieszkańców są bardzo brzydkie, osobliwie kobiét, rzadko można zobaczyć, chociażby cokolwiek przystojną; kobiéty, szczególniéj zbliżając się ku starości, dostają szpetnéj nabrzmiałości gardła czyli woli.

Lud tameczny jest poczciwy i rozsądny; rozrzewnia jego pobożność. Prawda, że sama natura tak wspaniała i majestatyczna, musi koniecznie podnosić myśl do Stwórcy tych cudów, umysł się korzy, człowiek otoczony wielkością dzieł Boga, jego tylko samego widzi przed sobą. Zapomina, że jest świat ziemski, że są inne uczucia oprócz miło-

ści Boga, zdaje się stawać przed trybunałem Najwyższego Sędziego, i poznając swoję nicość, czołem bije przed wielkością jego.

Ze szczególną przykładnością dochowują tam zwyczaje naddziadów, najmniejsze odstąpienie od takowych, wzgardą powszechną jest karane. Bywał wydarzenia, że rodzice szczęście dzieci swych poświęcali, aby tylko od wieków przyjętemu zwyczajowi zadosyć się stało: podobny tego przykład niżéj opowiém.

Jakkolwiek wszystkie wsi otaczające Gastejn, mają szczególny powab, najpiękniejszą jednak jest wieś Beksztejn. Pasmo okiem niezmierzonych gór i skał śniégiem pokrytych, ciągnie się dokoła, tam też leżą góry z których wydobywają złoto, a nieco daléj ołów. Jestto prawdziwa dolina Niemieckiego życia, z długą ulicą, długiemi domami, zamieszkałemi po większéj części przez górników. Na wzgórzu przy drodze stoi kościół, od rana do nocy napełniony pobożnym ludem. Ze wszystkich jednak zabudowań uderzył wzrok mój dom niegdyś, jak mogłem się domyślać, do zamożnéj rodziny należący, dziś opuszczony, ogrody zarosłe chwastem, wszędzie ślady zniszczenia. Oprowadzający mię po tych okolicach, sługa kościelny, jako najdawniejszy świadek wszystkiego, spostrzegłszy, że się pilnie nad tém zastanawiam, oświadczył, iż zaspokoi moję ciekawość, opowiedzeniem smutnego wypadku, który

stał się przyczyną zniszczenia i nieszczęścia cnotliwéj rodziny.

W kilka dni potém gdy przybyłem do tego samego miejsca, przewodnik mój w następujący sposób opowiadać zaczął:

„Jak oto Pan widzisz tę piękną wieś naszą, nie było w niéj przed laty piękniejszego i okazalszego domu, nad dom pana Kremera. Pan i pani Kremer byli to sobie poczciwi koloniści, odznaczający się pobożnością i ścisłém zachowywaniem zwyczajów swych przodków. Żyli jak poczciwi Niemcy, pilnowali gospodarstwa i w każdą Niedzielę chodzili do Fary w Gastejnie; latem zaś przygotowywali czyste izdebki na mieszkania, dla przybywających na kuracyą gości — ma się rozumiéć dla żonatych, albowiem posiadali oni — piętnastoletnią Maryą, wysmukłą jak topol, rumianną jak brzoskwinia.

Dawno już bardzo temu, kiedy Pan Kremer wydalił się był z domu, dla jakiegoś interessu handlowego, przybył do wsi naszéj młody cudzoziemiec, który ukończywszy kąpiele w Gastejnie, potrzebował jeszcze parę miesięcy przemieszkać w górach, dla wzmocnienia się świeżém powietrzem Alpejskiém. Upodobał on dom Kremerów i zaraz poszedł ułożyć się o najęcie w nim mieszkania. — Niezawsze i u nas sprzyja pogoda leczeniu, ztąd też mała liczba bywa gości; tak się i wtedy zdarzyło, państwo Kremer nie mieli już nadziei wy-

najęcia swoich pomieszkań, gdy więc niespodziany traf sprowadził cudzoziemca, pani Kremer zapomniawszy ostrożności przez męża zachowywanéj, skwapliwie je wynajęła nieznajomemu. Za powrotem pan Kremer mocno strofował żonę, jednak grzeczność dla gościa niepozwalała cofnąć zawartéj umowy.

Kto był ów cudzoziemiec, niewiedzieliśmy, podobał się on bardzo wszystkim, nazywaliśmy go tylko po imieniu pan Ferdynand, był bardzo skromny i grzeczny, lubił namiętnie kwiaty, i zaraz po przeniesieniu się, całe swoje mieszkanie i podwórze niemi przyozdobił. Najulubieńszém jego zatrudnieniem była przechadzka po górach i pielęgnowanie kwiatów, — a Marya jego sąsiadka, lubiąc także kwiaty, z przyjemnością przypatrywała się ich piękności.

Maryi nie lubiły towarzyszki, w jéj wdziękach znajdowały dużo do zarzucenia. Niepodobał się im kolor włosów Maryi, — a obwiniały ją o nieskromność, że ledwo licząc lat piętnaście, pozwalała już sobie bez pytania zaglądać na grzędy kwiatów Ferdynanda.

Kiedy doszły do uszu Maryi pokątne poszepty towarzyszek, na przekorę przypatrywać się zaczęła i samemu Ferdynandowi. W słomiannym kapeluszu, w kurtce, zawsze przy swoich kwiatach, dobry dla wszystkich, skromny, milczący Ferdynand podobał

się Maryi; postanowiła więc, iż choć się zarumieni, ale przemówi do niego, i każdego poranka i wieczorem przyjdzie bawić się z jego kwiatami. Bawiła się, śmiała, żartowała jak dziécię; lecz Ferdynand na wszystkie te żarty, na wszystkie pytania dziewicy, odpowiadał jak nieprzytomny.

— „Czyś zdrów P. Ferdynandzie?" zapytywała dziewica.

Ferdynand skinął głową.

— „A ja słyszałam od ojca, żeś Pan niezdrów."

Ferdynand znowu kiwnął głową.

Zdarzało się, iż widziano ją po całych godzinach mówiącą do Ferdynanda, a on stał w milczeniu wzrok tylko w nią utkwiwszy.

Z dwumiesięcznéj ich znajomości, jeden dzień wypadł dla niéj szczęśliwy — był to dzień 15 września.

— „Dzisiaj czekałem ciebie niecierpliwie Panno Maryo," przemówił Ferdynand po raz piérwszy. „Czy zdrowi są twoi rodzice" dodał, i upuścił z rąk fajkę.

Marya zadrżała, potém spuściła oczy, potém tak coś ścisnęło za serce biédną dziéwczynę, że westchnęła — i znowu spójrzała na Ferdynanda. „Pan Ferdynand czekał na mnie?" rzekła, „czegóżby miał na mnie czekać?" i zlękła się rozbiérając znaczenie téj myśli, i stała nieporuszona, nieśmiejąc spójrzeć na niego. Ale jakże była ładną w tém

wstydliwém pomięszaniu, z powodu niespodzianych słów milczącego zawsze Ferdynanda, jak śliczna była w czarnéj chusteczce na głowie, w krótkiéj jubce ściągnionéj na sznurek, około bielutkiéj szyjki.

Ferdynand milczał — zachwycał się pięknością i wstydliwością Maryi, — westchnął. Marya jeszcze się bardziéj strwożyła: wlepiła czarujące oczy w Ferdynanda, a on nie mógł od niéj swoich odwrócić. Marya westchnęła.

— „Czy to prawda Panno Maryo, co mnie mówiono, iż wyszły zapowiedzi twoje z Panem Szrekiem?”

— „Tak.... Dla czegóż to się Pan dziwisz?

— „Dla czego? Panno Maryo! zawołał Ferdynand, i zamilkł.

— „Ja będę tak jak i dawniéj przychodziła bawić się widokiem twoich ślicznych kwiatów, Panie Ferdynandzie.”

— „Otóżto że już niebędziesz!..” powtarzał Ferdynand.

— „Dla czegóż niebędę? ja tak przywykłam do Pana, ja Pana tak... kocham....”

Ferdynand na zapytanie Maryi: Dla czegóż? chciał jéj wszystko wytłumaczyć, wszystko.... lecz po ostatnim wyrazie: ja Pana kocham, porwał ją w pół i namiętnie pocałował.

Pan Kremer, Pani Kremer, narzeczony Pan Szrek stali w oknie.

— „Co to znaczy? zawołał Kremer, Ferdynand moję córkę całuję?”

— „Co to jest! krzyknęła Pani Kremer?

— „Panie Ferdynandzie!” wołał ojciec.

— „Maryo!” powtarzała matka.

Ferdynand ani się ruszał z miejsca, niewypuszczał z objęcia Maryi, i dawniéj obojętny, teraz namiętnie ściskał biédną dziewczynę, dawniéj milczący, teraz wymowny był językiem namiętności, teraz, kiedy Marya należeć miała do kogo innego. „Maryo! przyrzeknij być moją na zawsze, na zawsze moją, droga Maryo!” i ściskał ją z zapałem.

Lecz ona słyszała głos matki, lecz ona widziała w oknie rozgniewanego ojca i Pana Szreka. Zarumieniona od piérwszego pocałunku mężczyzny, szybko wbiegła do izby.

Boże! co za okropne spotkanie! Szrek zimno pokłonił się Państwu Kremer i wyszedł, matka się odwróciła, ojciec zatrzasł drzwiami przed wchodzącą Maryą.

— „Cóżem uczyniła? idąc za niémi powtarzała biédna dziéwczyna, co ja uczyniłam? Ferdynandzie! Ferdynandzie! dla czegoś ty mię ściskał, dla czegoś mię całował! Jabym przychodziła do ogródka

z P. Szrekiem, wówczas byłabym szczęśliwa, a teraz, o niegodziwy Ferdynandzie!... i Marya zalała się łzami.

Gdy się to działo w Beksztejnie i towarzyszki Maryi ucieszyły się z jéj nieszczęścia, a odgłos tego wypadku z ust do ust przechodził: na drugim końcu wsi naszéj, w małym domku pokrytym dachówką, przytrafiła się scena innego zupełnie rodzaju. W domu tym, dawniéj tak cichym i spokojnym, zaszło teraz coś okropnego. Słychać było hałas, krzyk, i kiedy niekiedy pokazywały się w oknach dwie głowy, jedna w peruce, druga w czépku. Był to P. Szrek i jego gospodyni Pani Kryps.

P. Szrek właściciel tego domu, burmistrz i narzeczony Maryi, człowiek najlepszego charakteru, był jednym z najsprawiedliwszych ludzi. Zajęty urzędowaniem, wszystkie sprawy domowe zdał na gospodynię. „Grzéchem jest, mawiał zawsze, i wstydem wtrącać się do spraw kobiécych, a nawet i czasu na te fraszki niema, gdy służba wymaga całéj uwagi, całéj akuratności." —I dlategoto życie jego upływało spokojnie. Każdego dnia jedno i toż samo; w godzinie przepisanéj wstawał, kładł się, palił fajkę, jadł śniadanie i obiad, pił kufel piwa, zajmował się czynnościami urzędowemi, przechadzał się, odpoczywał,

słowem gdyby w Niedzielę niechodził do kościoła na mszą św., toby i niewiedział kiedy bywa sobota a kiedy poniedziałek. Dni, godziny, minuty; śniadanie, obiad, fajka, piwo i on sam, wszystko było pod opieką i rozkazami gospodyni.

Lecz spokojne, ciche życie Burmistrza, zakłócone zostało z powodu zaręczyn z Maryą. Od tego najuroczystszego dnia w życiu jego, wszystko inny wzięło obrót, sam niepojmował, jak dotąd niespostrzegł samowolności i złośliwości Pani Kryps,— on, który od lat tylu czuwał nad spokojnością i dobremi obyczajami w Beksztejnie, przed którym nie są skryte nietylko uczynki, ale i myśli poczciwych kolonistów. — „To nienapróżno, to coś znaczyć musi", mawiał, przysłuchując się gderaniu i złości gospodyni. Gdy zaś widział, iż Pani Kryps, gniecie, rwie i rzuca, co tylko wpadnie pod ręce, iż gotowa jest z nim samym rozpocząć wojnę, Bóg wié za co i po co? to najsprawiedliwszy burmistrz tak się zamyślił, iż zapomniał godziny obiadu, śniadania, zamiast okularów kładł czépek na głowę, a obawiając się wyjść z domu, posłał po proboszcza, chcąc się z nim w téj mierze naradzić.

Pani Kryps tryumfowała z jego kłopotów, korzystając ze swojéj władzy, mawiała: „Zapłacisz mi to dobrze, stary oszuście! Otóż kiedy namyślił się żenić, na stare swe lata!"

Pani Kryps, była to Niemka już podstarzała. Okrągłych lat 30 przeżyła u samego burmistrza, przywykła do niego, do jego nałogów i chęci, oswoiła się z tém życiem kawalerskiém, z każdym kątem w pokojach; owładnęła samym burmistrzem, i do takiego stopnia przyuczyła go do spokojnego, niekłopotliwego życia, do posłuszeństwa dla siebie, iż niewidział możności wybicia się kiedy z pod jéj opieki, i myślał i jadł i pił za jéj tylko natchnieniem i pozwoleniem.

Pani Kryps umiała korzystać ze swego stanowiska, z tego uszanowania jakie jéj okazywał; a że on będąc burmistrzem, urząd zaszczytny w kolonii, posiadał miłość i szacunek mieszkańców, tedy i ona miała znaczenie, przewagę w ich gronie; słowem, z paciorkami i pończoszką w ręku, dokazała tego, iż ją nieinaczéj nazywano jak Panią Szrek.

Ale oto plany jéj zniweczyły się zapowiedziami małżeństwa Szreka z Maryą. — „Co mówić będą o mnie, co się stanie ze mną, mawiała ciągle, a jak się to ziści wówczas choć do kościoła niechodzić,” — tak rozmyślając poszła do burmistrza, chcąc mu cały żal swój wynurzyć. Ale widząc, iż go niewzruszają ani łzy, ani wyrzuty, ani skargi, udała się do pogróżek. W téj właśnie chwili weszli do mieszkania Szreka: ksiądz Proboszcz i Ferdynand, i zatrzymali się zdumieni tym obrazem domowéj kłótni.

Ferdynand śmiał się z radości, słysząc burmistrza, który przytuliwszy się w kącie, zapewniał Panią Kryps, że się nieożeni z Panną Maryą. Usłyszał na samym wstępie to, po co przychodził, co chciał wymódz na nim, co postanowił choćby z życiem mu wydrzeć. Na te słowa wyrzeczone przez Szreka gotów był rzucić się w objęcia jego i ucałować.

Uszczęśliwiony Szrek przybyciem proboszcza, „ach! jesteś tu najszanowniejszy ojcze," zawołał, „bądźże moim pojednawcą. Oświadczam, iż się zrzekam odtąd ręki Panny Maryi, a za całą opiekę, wszystkie trudy Pani Kryps, ofiaruję jéj moje nazwisko, mój majątek, mój... pisz księże proboszczu!"

— „Ale, pozwól Panie burmistrzu," rzekł proboszcz, „zapomniałeś, iż zrzekając się ręki Maryi, przyniesiesz hańbę pannie i znieważysz jéj rodziców, wszakże wiesz, że zostawując tę rzecz bez należytego wytłómaczenia się, podług tutejszych obyczajów, przypiszą to niekorzystnie na stronę panny."

Szrek w zadumieniu spoglądał, to na Ferdynanda, to na proboszcza.

— „Cóż mam czynić?" zapytał.

— „Wytłómaczyć się przed jéj rodzicami i usprawiedliwić...."

— „O ja usprawiedliwię... przerwał w uniesieniu burmistrz, bez żadnéj wątpliwości usprawiedliwię, i to natychmiast, natychmiast, powtarzał. Bądź-

cie zdrowi księże proboszczu, do widzenia Panie Ferdynándzie.

— „Gdzież to, gdzie? krzyczeli biegnąc za nim Proboszcz i Ferdynand. Lecz burmistrz niezwracając na nich uwagi, pędził przez ulicę Beksztejnu w szlafroku i szlafmycy, z największém zgorszeniem całéj kolonii.

Ferdynand wracając od Szreka, uszczęśliwiony iż tak łatwo otrzymał od burmistrza zrzeczenie się ręki téj, za którą był gotów poświęcić życie i wszystko w świecie. O wkrótce, wkrótce! wołał, Maryo, przycisnę cię do mojego serca, ażeby już więcéj nigdy się nierozstawać, moja droga! Ty jeszcze nie znasz twego szczęścia, Maryo! Ty będziesz tak szczęśliwa, jak jeszcze nie była żadna z twoich towarzyszek. Ja będę miał o tobie najczulsze staranie, ty mój najśliczniejszy kwiecie, ty moja nieoceniona różo, ty moja *viola mirabilis!* Każdy ranek, każdy wieczór napawałem się aromatycznym jéj zapachem, ale wówczas nieznałem jeszcze twego pocałunku Maryo!

Upojony temi marzeniami wpadł do domu Kremera, rzucił się do drzwi i piérwszą co spostrzegł była jego Marya, smutna, blada. Skłoniwszy głowę, jak przekwitła lilia, zamyślona siedziała w krześle ojcowskim, a nawet nie spojrzała na Ferdynanda.

— „Co się dzieje z tobą, moja Maryo!” z cicha wymówił Ferdynand, skłoniwszy się ku miłéj dziewczynie, lecz Marya odwróciła się od niego.

— „Niegodziwy Ferdynandzie! mówiła, dla czegóżeś mię pocałował? czyliżeś zapomniał, iż zaręczonych nie wolno całować!”

— „Lecz już nie jesteś zaręczoną moja najdroższa. Tyś teraz moją, moją Maryo!...

— „O nie, ja jestem zaręczoną ze Szrekiem, i mnie kazano unikać ciebie.”

— „Unikać mnie... niekochać?....

— „Ja kocham ciebie, drogi Ferdynandzie, lecz będę ciebie unikała.”....

„Maryo! Maryo! cóżem ci uczynił, ja niemogę żyć bez ciebie, ja umrę, a ty chcesz mię unikać, Maryo!”

— „Mnie kazano....”

— „Kto kazał, kto?... wymień mi go, powiedz jego imie! Ale nie, tego nikt niemoże uczynić, nikt nieośmieli się nas rozłączyć, tyś moją narzeczoną, tyś moją Maryo! Nie troszcz się o siebie, nielękaj się niczego. Przyniosłem ci właśnie odmówną odpowiedź Szreka.”

— „On odmawia ręki mojéj.... Nie... mój miły,” rzekła potrząsając głową, „jeszcze byłam dzieckiem; gdy słyszałam powieść o jednéj biednéj dziewczynie z naszych okolic. — Była zaręczoną, ale nieszczęśliwą, bo kochała kogo innego, a

narzeczony dowiedziawszy się o tém, wyrzekł się jéj. Biédna dziewczyna niemogła już więcéj chodzić do kościoła, bo wszystkie towarzyszki unikały jéj, najgrawały się z niéj, i ona.... umarła z tęsknoty. O nie! on tego nieuczyni, on zna obyczaje nasze.“

— „Kto ci to mówił, moja miła? I niebo niesprzeciwia się niewinnéj miłości, a nasza miłość... cóż ona zawiniła ludziom? cóżeśmy im zawinili?“

— „Czemeś Pan zawinił, rzekł Kremer, podchodząc do Ferdynanda, czemeś zawinił Pan? Czyliż i ten ostatni postępek usprawiedliwia cię? Wszedłeś tutaj jako łotr po kosztowną zdobycz, porwałeś serce biédnéj dziewczyny, odegnałeś od niewinności anioła, i zapomniałeś że jest ktoś, co włada tym skarbem, iż jedno tylko małżeństwo daje prawo na miłość, — iż jéj anioł stróż będzie twoim oskarżycielem w dzień sądu ostatecznego. I teraz w dodatku wszystkiego, mówił daléj, wymagasz jeszcze, ażeby córka była nieposłuszną ojcu. Myślisz, iż potém, czegoś ją nauczył, byłaby jako żona z uszanowaniem i posłuszeństwem dla ciebie? Nigdy! Piękneż zasady wpajasz w tę, którą, jak powiadasz, kochasz niewinną miłością... Panie! proszę nas opuścić!... A ty moja Maryo, nie wierz mu, zapomnij o nim!... Biédna, biédna, mówił ciągle Kremer, przyciskając ją do łona, nie płacz moje dziécię, nie płacz! I całował dziewicę z zapałem ojca,

któremu chcą porwać skarb najdroższy. Jak zlękniona gołębica, Marya przytuliła się do niego, i wzruszający był widok ojca, pojednywającego się z córką; cicha pokora dziecięcia, niewinność i dręczący smutek, uspokoiły się na sercu, które biło miłością rodzicielską i wzgardą krzywdzącego.

Ferdynand porównywał siebie z nim. Co za porównanie i w czém? ojciec i kochanek! przywiązanie, tkliwość, miłość dziecinna, — namiętność, uprzedzenie, przywyknięcie i chwilowe zapomnienie się! o! on postanowił rozłączyć się z Maryą, może być nazawsze.

Surowy wzrok ojca przeniknął do jego duszy, serca i myśli: — „Oczekujesz na wybór? chcesz aby ta niewinna istota postanowiła pomiędzy mną i tobą.... rzekł starzec, i wlepił surowy wzrok w Ferdynanda.

Wycieńczony myślami, pognębiony słowami i sprawiedliwym gniewem starca, Ferdynand zatrzymał ogniste spojrzenie na Maryi, tulącéj się do ojca i bolesny głos wydarł mu się z piérsi: — „Maryo! moja droga Maryo!”

— „Córko moja, rzekł znowu Kremer, oto jest ten, którego tak gorąco, tak namiętnie kochasz, on się urąga mojéj starości, mojéj siwiznie, on mnie ciężko obraził... Dziecię moje, Maryo! ja nie chcę zniszczyć miłości twojéj, głę-

boko czuję boleść, lecz nie podzielę się czystą niewinną, anielską miłością z nim.... on nie wart jest ciebie, i teraz musisz postanowić, albo pozostać przy ojcu, albo wlec gorzkie życie z nim, nieznajomym, gdzieś tam daleko odemnie. Wybiéraj jedno... Od twego wyboru zależy szczęście ojca i kochanka; czy słyszysz Maryo! szczęście ojca!... Rzeknij słowo i przyjmij błogosławieństwo."

Starzec zamilkł — czytał on odpowiedź w zapłakanych oczach córki. Zwolna skłoniła głowę na ramię ojca, i niemógł już wytrzymać jéj niewinnych pieszczot. Z zapałem przycisnął do serca miłą dziewczynę. Ale chwilową była ta spokojność i radość, która błysnęła na czole starca, wszystkie burze uczuć, powstałe w duszy, odbiły się w spojrzeniu, wzrok wlepiony w Ferdynanda wyrażał razem nienawiść, wstręt i wzgardę:— „Tyś! zawołał, tyś, pozbawił córkę moję narzeczonego, dobrego imienia i szacunku w oczach innych!...."

Wziął za rękę Maryą i wyszedł.

Biédny Ferdynand, przygnębiony tém co słyszał, sam nie wiedział jak sobie postąpić. Lecz tonący, jak mówi przysłowie, chwyta się słomki; i w jego głowie błysnęła myśl szczęśliwa — pomoc samego Szreka. Udał się więc natychmiast do burmistrza, lecz u narzeczonego Maryi, Pani Kryps po niespodziewaném przejściu ze smutku do we-

sołości, nie żartem zasłabła, i biédny Ferdynand widząc Szreka zakłopotanego gwałtowną chorobą gospodyni, wyszedł bez nadziei na jego pomoc.

Upłynął tydzień, drugi... Ferdynand tylko dumał i myślał o Maryi.

Lecz o czémże myślała Marya?

Wytrwała rozłąkę. Oczy jéj więcéj łzów niewylewały, wypłakała wszystkie; nie wzdychała, boleść jéj zataiła się w głębi serca. Względna na ojca, kochana przez niego, obawiała się zasmucić jego zgrzybiałe lata... A tak wiele kosztowało biédnéj dziewczynie, ukrywać smutek i męczarnie serca! Nie miała już ani jednéj istoty na świecie, przed którą mogłaby zwierzyć się ze swoją boleścią i ulżyć przez to sobie. Dawniéj były przyjaciołki i towarzyszki, ale wówczas niemiała z czem się im zwierzać, teraz zaś, ciężko było na sercu, lecz na nieszczęście nie miała komu powierzyć swoich uczuć i łez, pocieszać siebie płaczem. Jakże jéj było gorzko, gdy widziała dawne towarzyszki, odwracające się od niéj, ich szepty pomiędzy sobą gdy wchodziła do kościoła, jak unikały od niéj i złośliwie uśmiéchały się, i zawsze w czasie nabożeństwa Marya sama jedna stać musiała. Stary Kremer widząc ją opuszczoną przez wszystkich, lękając się dać poznać, że to spostrzega, pieścił nieszczęśliwą bardziéj niż przedtém, lecz pieszczoty te boleśniejsze dla niéj były, niż wzgarda towarzyszek. Z przy-

musem odpowiadała na nie, i troskliwość odpłacała uśmiéchem. Niebo i przestępcy przebaczyłoby za podobny uśmiéch. — Biedna Marya mogła powiedzieć: patrzcie, w nim cała gorycz łez moich, on jest cięższy od westchnień konającego, i czyliż ja tak bardzo jestem występną, iż mi Niebo przeznaczyło tak okropne męczarnie? Cóżem ja przewiniła?"

— „Biédnę dziecię" mawiał nieraz Kremer „o jakże się ona dręczy i ukrywa te męki, nie, ja tego niezniosę! Ferdynandzie! Ferdynandzie! tyś winien wszystkiemu, ty zdasz rachunek przed nieubłaganym sędzią. Wówczas i ja stanę się twym oskarzycielem, z krwawemi łzami Maryi!"

Lecz Ferdynand usprawiedliwiał okrucieństwo ojca, sam sobie pozostawiony, tułał się jak obłąkany po ulicach Gastejnu, każdego się radząc, każdemu opowiadając swoje nieszczęście.

Gdyby Ferdynand był sam tylko nieszczęśliwy, o wtenczas łatwoby jemu przenieść męki serca, wszystkie katusze; lecz serdecznie cierpiący on cierpiącém sercem żył nierozdzielnie z Maryą, czuł wszystkie jéj boleści i męczarnie. Często mu objawiała się Marya ze łzami w oczach, uśmiéchała się do niego — a smętny uśmiéch nikł przed groźném spojrzeniem ojca. Potém dobre dziecię modliło sie i modliło się gorąco... długo. Ferdynand wiedział że się modli za niego, i myślał wówczas: módl

się aniele! modlitwa za samego siebie daje nam nie jednę chwilę szczęścia, lecz mało jest wieczności za modlitwę za nas bliźnich — za twoję modlitwę niewinna Maryo! Potém widział ją bez uśmiéchu i modlitwy, nadzieja już niepanowała w jéj sercu. Marya nieuskarżała się, nie złorzeczyła; w milczeniu poddała się losowi, ale boleśnie było nieszczęśliwéj, kiedy ukradkiem spostrzegła łzę wyciśniętą z zapadłych oczów ojca z jéj powodu, albo podsłuchała ciche, mimowolne westchnienie. Pojmowała co może cierpieć serce, kiedy odepchnięta od wszystkich, oddana cierpieniom, nie narzeka, nie skarży się, lękając się rozdrażnić świéżą ranę i smutkiem znieważyć siwiznę starca.

Tymczasem Pani Kryps umarła. Szrek mógł więc znowu starać się o rękę Maryi. Tak też i uczynił, wnioskując, iż korzystniéj będzie mieć gospodynię w domu, niż żyć samotnie, a do tego jeszcze taką gospodynię, która i własny dom posiada. Nakoniec i Marya uległa łzom ojca, błaganiom matki, i postanowiła poświęcić siebie. Chciała zamężciem ucieszyć ojca, spełnić nadzieję matki — lecz czyż mogła zapomnieć Ferdynanda?

Stary Kremer uszczęśliwiony był z dojścia do skutku małżeństwa córki, i córka niesprzeciwiała się — bo dla czegóżby opiérać się miała woli ojca? Czy Szrek, czy ktokolwiek inny, zaprowadziłby ją do ołtarza, dla niéj to było wszystko jedno. Matka

uradowała się, że rozerwie i pocieszy starca, który sądził, iż przez małżeństwo, usprawiedliwi córkę, pogodzi ją z ludźmi i światem.

Wkrótce potém Ferdynand ujrzał Maryą przy ołtarzu, i w nieméj boleści, bez łez i bez wyrzutów, jak obłąkany poglądał na nią. Była ubrana w białą suknię, a na bukiet z białych róż przypięty u boku, spadały łzy gorące. Blada i smutna, obumarłym wzrokiem patrzyła na narzeczonego.

Stary ojciec oczekiwał dzieci z kościoła, niespokojność malowała się w oczach jego, smętne zadumanie na czole.

Bez czucia przynieśli Maryą do domu, lecz już wymówiła była wieczne słowa przysięgi.

Rozpoczęły się męki biédnego, pozbawionego zmysłów Ferdynanda.

— „On posiada mój skarb najdroższy!" wołał, z życiem wydrę mu ze skostniałego objęcia Maryą. Nie pozwolę się urągać z mąk moich. Ale czyliż on mniéj się dręczy odemnie? Ja mogę rzec, iż Marya myśli o mnie i tém się pocieszam. A on cóż odpowié? cóż powié na to? powtarzał ciągle w zapale. Niech się więc prędzéj dowié o prawdzie, gorzką nierozsądną zazdrością zatruje sobie wszystkie chwile życia. Droga Maryo! opowiedz mu o miłości naszéj, i tym sposobem ulżyj sercu mojemu! Nieobawiaj się moja luba, zrozumié on, iż dla ojca poświęciłaś siebie i nie będzie cię dręczył

pieszczotami. Lecz niech wié o naszéj miłości, a ja jak cień będę mu towarzyszył. O niechże się dręczy! i przysłuchuje w nocy twojemu oddechowi, twoim cichym słowom. Tyś wymówiła moje imię! Po tysiąc razy powtarzaj mu o tém moja Maryo, powtarzaj, iż kochasz mię zawsze, tak jak dawniéj kochałaś.

Lecz nakoniec uległ cierpieniom i w ciężką wpadł chorobę, a gdy zaczął przychodzić do zdrowia, ważne otrzymane wiadomości, zmusiły go do rychłego odjazdu z Gastejn.

Zdawało się, że tak długo zakłócony w rodzinie Kremerów pokój, wróci nareszcie. Wszystko to obiecywało. Marya niesłyszała już więcéj swojego Ferdynanda i myślała że czas wygładzi jego obraz z jéj pamięci, iż ciche małżeńskie pożycie, przyniesie ulgę zbolałemu sercu; — milczała, cierpiała, a milczenie i cierpienie wysuszało serce i przygniatało całym ciężarem duszę pozbawioną nadziei. Mąż niepojmując tajemnicy zgryzot żony, sam cierpiał, niemogąc ulżyć jéj cierpieniom. Był jéj panem, mężem, ale niebył przyjacielem. Nazywając piérwszą miłość Maryi dziecinném obłąkaniem, nigdy nawet nie wspomniał o tém. Postępowanie zimne żony, ostudziło w nim ostatnie przywiązanie

do niéj, skargi męża przykremi były dla niéj, na koniec samo życie stało się obojgu nieznośném.

Tak przeszła zima, tak i zaczynająca się wiosna, gdy nagłe zjawienie się Ferdynanda w Gastejnie, obudziło na nowo życie Maryi. Tenże sam co dawniéj, namiętny, zawsze rozkochany, gotowy uprzedzać wszelkie chęci Maryi. Ona późno już poznała co utraciła, tracąc Ferdynanda, zaczęła mocno żałować siebie, ale jeszcze więcéj jego.

Mogła była zerwać już z nim stosunki od razu, zniewolić go do oddalenia się i zapomnienia o niéj, unikać jego spotkania, powodu do rozmowy, to mogła uczynić; lecz mawiała do siebie Marya: cóż on pomyśli o mnie, być może iż oziębłość moją weźmie za udanie, obawę wytłómaczy na swoję korzyść. Lepiéj, będę go przyjmowała, pozwolę mówić o miłości, przywyknę do niego, a przywyknienie widzenia go ciągle, słyszenia, osłabi miłość moję,—wówczas pieszczoty męża zamienią namiętne słowa kochanka. Marya jak mówiła, tak też i uczyniła. Nieodmawiała przyjmowania Ferdynanda. Mąż zgoła się o to niefrasował, doświadczył już oziębłości żony, lecz wiedział, że ona nigdy nie przyniesie plamy swojemu honorowi, a nawet rad był z gościa, który wybawił go od konieczności ciągłego narzekania. Ferdynand nieopuszczał żadnéj sposobności do widywania się z Maryą.

Często znajdowali się sam na sam. Wówczas spominał jéj o swojéj miłości i Marya odpowiadała mu tkliwością, zaufaniem; lecz w niéj, nie mówiła już 15-letnia dziewczyna, ale kobiéta, a kobiéta ta myśliła wygładzić z serca Ferdynanda obraz dziewczyny! Nie spostrzegła się, iż wpadała w przepaść, którą sama przykryła kwiatami—i była szczęśliwą, niedowierzając swojemu szczęściu. I czegóż więcéj mogła oczekiwać? Ferdynand kochał ją z całym zapałem piérwszéj miłości, u nóg jéj zapomniał, że jest ten, który stanąć może pomiędzy nimi, zażądać życia za zniewagę. „Ja go nienawidzę, mawiał Ferdynand, i mam prawo nienawidzenia."

— „Nigdy niezłamię przysięgi mojéj," odpowiadała Marya. Jednak niedługo duma kobiéca walczyła z miłością, ustąpiła wreszcie, jak to zawsze bywa i — z objęć kochanka, oślepiony mąż, wyrwał niewierną żonę.

Czegóż się miała spodziéwać Marya?

Są męki okropniejsze od mąk zajadłego oprawcy. Ludzie wymyślili je dla podobnych sobie, ale czyż odkryli tajemnicę męki długiéj, wiecznych zgryzot sumienia? To kara nie dla samych zbrodniarzy, bo i cóż znaczy kara, w porównaniu z jéj mękami!

Czyli to była obłuda, czy zły zamiar, lecz mąż pozostał dla Maryi takim, jakim był dawniéj, i ani

żaden wyrzut, ani najmniejsza oznaka niechęci, niewykryły tajemnicy duszy, nawet więcéj stał się uprzejmym teraz dla niéj, aniżeli wprzódy, kiedy ani cienia przestępstwa niebyło widać na świątłém zwierciedle jéj duszy. A Marya pieszczona przez niego, uprzedzana we wszystkich swych chęciach, niezdawała się być szczęśliwszą, i niemogła nią być nawet, zgoła niepodobną stała się do dawniejszéj Maryi, mocnéj w swych zamiarach, myślach, postępkach, do téj kobiéty, która samemu losowi gotowa była opiérać się, która nawet namiętność wyzywała do passowania się z sobą. Widocznie już poddała się namiętności, dręczyła się, schła, jak kwiatek od palącego słońca, który nieuskarza się na los swój, ale umiérając wyciąga do jasnego słońca pobladłe listki, roztwiéra się z miłością i oczekuje ostatniego śmiertelnego promienia. Tak i Marya umiérając zwracała swe myśli ku Ferdynandowi i zapragnęła jego spojrzenia, głosu, uczuć, serce jéj otwartém było na zawsze dla miłości Ferdynanda.

I on ją ujrzał — ujrzał cień dawnéj Maryi. Był śliczny letni wieczór. Zachodzące słońce, kryjąc się za góry Alpejskie i żegnając się z ziemią oddawało ją, swoję tysiąco-letnią narzeczonę, w objęcia nocy, i wieńczyło czoło jéj purpurą wieczornéj zorzy. Pan i Pani Kremer odmówiwszy przed domem modlitwę, wzywając łaski Boga miłosierdzia dla je-

dynego dziecięcia swojego, życzyli sobie nawzajem dobréj nocy. Mąż Maryi był wyjechał z samego rana do proboszcza parafii, gdzie pogrzebioną była Pani Kryps, jako w rocznicę jéj śmierci, na nabożeństwo żałobne; — a Marya wyszła z izby blada i znędzniała, dla odetchnienia świéżem powietrzem, bolesnym wzrokiem poglądając na słońce.... W tém stanął przed nią Ferdynand.

— „Maryo!“ rzekł, „przebacz, iż złamałem przysięgę, że niebędę cię widział, niezakłócę już nigdy pokoju twego domowego pożycia.... ale odjeżdżając....”

— „Pokoju!” przerwała Marya, „tak, pokoju!.. oto są jego ślady” pokazała wyschłą ręką na twarz wychudłą.

— „Maryo! głos wewnętrzny, uczucie, wzywały mię do ciebie....”

— „I ja też chciałam cię widzieć, chciałam się z tobą pożegnać. Przystąp do mnie, nie lękaj się swojéj dawnéj Maryi i wysłuchaj mię... Tu na tém miejscu, po raz piérwszy ujrzałam ciebie. Ale wówczas byłam tak młodą, tak niedoświadczoną, a teraz, teraz, tak nieszczęśliwą!“

„Nie unikałam cię, i dla tego nieunikałam, iż niemyśliłam zgoła, że dziewczyna w moim wieku może pokochać mężczyznę, albo być dla niego czemś więcéj jak siostrą. Z saméj tylko ciekawości przychodziłam rozmawiać z tobą, nie rumieniąc się,

i mnie kwiaty w grzędach twoich, podobały się więcéj niż ty sam; bawiłam się niemi, pieściłam je, a nawet zazdrościłam, iż sam tylko koło nich masz staranie. — Ferdynand musi być szczęśliwy, myślałam sobie, on ma tak wiele pięknych kwiatów, musi być dobry, gdy tak bardzo je lubi; żebym też ja była, choć jednym z nich, — i wówczas tak myśląc, patrzałam na ciebie, starając się odgadnąć myśl twoję, przywykałam do ciebie — i pokochałam, sama o tém niewiedząc. Moja miłość była spokojna, moja namiętność niewinna; a do tego zostawiałeś mi wolność cieszenia się kwiatami, nie mówiłeś do mnie ani słowa, nie zmuszałeś rumienić się. Zaręczono mię ze Szrekiem. Nigdym go niewidziała, nigdym niesłyszała o nim, i piérwszy raz ojciec zaczął mówić ze mną o mężu. Mówił długo, lecz mówił tak, że ja nic niemogłam zrozumieć i objaśnić sobie słów jego. Tak jak nasz dobry proboszcz powtórzył on kazanie o nowych obowiązkach, o następnéj przemianie życia. Smutek mię ogarnął i pobiegłam do ulubionych kwiatów. Ferdynandzie! wówczas piérwszy twój pocałunek objaśnił mi słowa ojca i to czegom niepojęła z jego rozmowy — i zrozumiałam ciebie i sercem cię moim wybrałam! Resztę wiész o wszystkiém. Ojciec niechciał słyszéć o miłości i namiętności, być może występna, długo walczyłam z tkliwością dla ojca — i nakoniec postąpiłam jak córka. Straszno,

gorzko było podówczas sercu, lecz wszystkie męki odważnie przeniosłam. Jeżeli myśląc o nim, jeżeli kochając go, będę niewierną żoną, to jednak zawsze nie będę żoną występną: takem mówiła do siebie. Wówczas stanąłeś przedemną i uczyniłeś mię występną! Teraz względem ciebie w niczém niejestem winną Ferdynandzie! Będąc posłuszną ojcu, zdradziłam ciebie, lecz niewierność dla męża usprawiedliwia mię. Kochając cię, myśląc o tobie, stając się żoną występną, myliłam się bardzo, bardzo się omyliłam. Pogróżek, przeklęstwa, wzgardy oczekiwałam od znieważonego męża, a znalazłam go dla siebie takim, jakim był w początkach, uprzejmym, delikatnym, dobrym. O mój Boże! czyliż zasłużyłam na to! Czy wierzysz Ferdynandzie! dla mnie tysiąc razy lzejszą byłaby jego nienawiść, wzgarda, zniosłabym to mężniéj, bez szemrania, skarg, jako rzecz zasłużoną, jako karę za wielkie przeciwko męża wykroczenie.

Ale pobłażające jego postępowanie ze mną, kosztowało mię wiele łez gorzkich, dobroć jego odebrała mi pół życia, a ta dobroć pozbawiła mię pociechy ostatniéj, umrzeć w twoich objęciach! Czuję, iż już niedługo żyć będę, niedługo będę się dręczyła. Już śmierć gości tu w zlodowaciałém sercu, noszę ją i pieszczę jak dobra matka zakład macierzyństwa. Nieoceniony jest dla niéj, przypomina wiele chwil szczęśliwych: tak i ze mną teraz się

dzieje, bliska śmierć przywiodła mi na myśl całą przeszłość, moje utracone szczęście; cieszę się ze śmierci, bo ona rokuje mi szczęście w życiu przyszłém, gdy umiéram z tą wiarą, iż się połączę z tobą, tam.....

W milczeniu słuchał Ferdynand.

Znowu dawna Marya zmartwychwstała dla niego, taż sama ze świéżym rumieńcem na twarzy, miła, niewinna! Upojony szczęściem rzuca się w jéj objęcia. O Maryo! zawołał..... ale już tylko ściskał martwe zwłoki, dusza Maryi przed chwilą uleciała do lepszego świata!

Nieszczęśliwy Kremer wpadłszy w odrętwiałość na wiadomość o śmierci córki, wkrótce sam spoczął w grobie.

O Ferdynandzie niesłyszano już nic więcéj, i od chwili zgonu Maryi nie ujrzano go już w Gastejnie. Długi czas rozchodziła się tu wieść, iż kiedy słońce zajdzie za Alpy, a księżyc blaskiem swym oświeci te wspaniałe góry, na grobie Maryi spostrzegać się dawał cień człowieka, pogrążonego w głębokiéj modlitwie, a w rocznicę jéj zgonu, znaleziono grób osadzony najulubieńszemi Maryi kwiatami.

Gastejn,
dnia 15 sierpnia 1843 r.

Karol Korwell.

NAPIS W OJCOWIE.

Tu myśl Boga skamieniała
W fantastycznych skał urwiska,
Tu się potok z szumem ciska
Jakby ludzkość go pognała!
Tu natura kwitnie cała,
W kwiatów woni, w lasów wianku,
Świéża, jakby dziś w poranku
Z dłoni Boga wyleciała! —

Tu czas usnął w dnie pieczary
Bo nie zdołał skał tych pożyć,
Lecz zgruchotał zamek stary,
Który mu chciał jarzmo włożyć,
Na doliny dumą plunąć,
I przedrzeźniać się naturze,
A choć musiał w gruzy runąć,
Gruzami kark przygniótł górze!

Z duszą swoją jakby z grzechem
Ukrył się w przepaściach studni,
Rzuć tam kamień, tak zadudni
Tak bolesnym stęknie echem,
Jakby wszystkie jęki skonu
Do jednego zbiegły tonu! —

Stercz sobie trupie olbrzyma
Groźny jeszcze w swéj ruinie,
Z twoich Władzców śladu niema,
I dla ciebie byt przeminie,
Byt ruiny nawet zginie!........

E. W.

ŚWIĘTA POLAKÓW POGAN,

PORÓWNANE Z TAKIEMIŻ UROCZYSTOŚCIAMI U INNYCH SŁOWIAN.

Bajał gmin na Rusi (1), że bóstwo żniw utyskiwało niegdyś w radzie bogów, na wielką ilość świąt, przeszkadzających ludziom w zbiéraniu plonów ziemi. Jakoż świętował Słowianin i sejmikował chętnie, bo na uroczystych, czy to religijnych, czy politycznych obrzędach, wesoło się bawił. Za pogańskich i chrześciańskich czasów nie były te święta z obchodami politycznemi, jak u Giermanów połączone, lecz osobny czas służył dla chwały boskiéj, osobny dla rady i zwady, czyli spiérania się sądowego. Wszystkie zaś bez wyjątku święta, wielki miały związek z rolném go-

(1) Rusałka Aleks. Grozy II str. 283.

spodarstwem. Gdy dwakroć odmieniało swój bieg słońce, po zimie wstając a spadając po lecie, przeto téż dwa rodzaje były świąt, a z nich każde podzielało się rozmaicie. Były swięta wiosenne, które w miesiącu Jarym (1) rozpoczynały się. Dochowała się nam czystsza pamięć o tych, aniżeli o drugiego rodzaju, to jest o zimowych świętach. Chrześciańskie wyobrażenia, z powodu odrębnego charakteru świąt, które obchodził kościół katolicki, nie mogły wiosennych uroczystości tak łatwo jak zimowe zwichnąć, a z tego powodu, tudzież i z téj przyczyny, że gmin mógł łatwiéj tu, niż do zimowych, piosnki swe i podania przyczepiać, doszła do późnéj potomności pamięć o świętach wiosny, majówek, rusałek, sobótek i dożynków. Pomówmy o nich szczegółowo.

Marzanna czyli Morana, bogini śmierci, wyobrażana przez porę roku, zwaną zimą, stykała się z wiosną. Jak tylko promienie słońca zaczęły zwiastować cieplejsze czasy, strojono bałwana (który złą dolę czyli zimno, powietrze i wszelkie choroby miał wyobrażać), z uroczystym pochodem niesiono go ze wsi do pobliskiéj wody, i topiono tamże, stosownie śpiéwając. Wypychany ze wsi bałwan, mszcząc się na bluźniercach, wróżył śmierć temu, który po skończonym obrzędzie wracając od wody

(1) W Maju, vita s. Bonifacii u Pertz II. str. 340.

miał nieszczęście obalić się na ziemię. Jeszcze za czasów Marcina Bielskiego; a więc w XVI wieku, czyniono ten obchód, i dotąd czynić go mają zniemczali Głogowianie ([1]). Porównywając z tém podanie o powietrzu ([2]), które przez utopienie go w wodzie ([3]) mogło być odwrócone i zniszczone, tudzież wzgląd stąd biorąc na obrzęd wynoszenia ze wsi śmierci, a wnoszenia lata w całéj Słowiańszczyźnie i Germanii upowszechnioném, sądzę, że obchód ten znaczył zwiastowanie znikłego starego roku ze wszystkiemi jakie miał przygodami złemi, a nastanie nowego, po którym sobie wiele obiecywano szczęścia. Wszakże gdy Marzanna czyli mor, grała wielką rolę przy tym obrzędzie, widać, że z obchodem tym łączono i pamięć uczczenia zmarłych, czyli dzień zaduszny pogańsko-słowiański, który dopiéro na początku przeszłego wieku święcić zaprzestano nad Elbą ([4]). Wpływ obczyzny narzucił późniéj wiele dzikich myśli o sposobach odwrócenia zarazy. Mniemał lud wielkopolski, że oborawszy wieś dwoma wołami bliźnimi, popędzanemi przez dwóch chłopców bliźniaków, zaraza nie przestąpi skiby; rowem będąc oddzielona od wsi i tym spo-

([1]) Piosnki J. J. Lipińskiego w przedm. stron. XVI.
([2]) Moje Pamiętn. II. str. 78.
([3]) Podług podań gminnych w Starych gawędach i obrazach, Wojcickiego IV. stron. 293 i następne.
([4]) Hawpta i Smolerja piesniczki u Gryma 1841 I. str. 20.

sobem wykluczona od ludzi; że żywo pogrzebawszy człowieka, taż zaraza, niby ubłagana ofiarą, ustanie; że klęskę tę zwiastuje pokazująca się w powietrzu czarna płachta, z czerwonemi pręgami, bujająca po niebie czerwoném czyli zakrwawioném.

Tym czasem rozwijała się wiosna ze wszystkiemi swemi powabami, a wtedy pozdrawiano pole w nowo narodzoną ubrane krasę, stawiano drzewa czyli majono niemi chaty, i szukano osób, które śmierć zabrała ze sobą w upłynionym roku. Gdziekolwiek podług podania dziejów mieszkali niegdyś Słowianie, obchód ten był znajomy. Zwano go majówką, nowszym oczywiście wyrazem, bo wiadomo jest, że po słowiańsku miesiąc maj nazywał się Jarym. Drzewa dla majenia chat przyniesione z lasu, mianowano w Anglii polami majowemi, maje-pole (1), co oczywiście słowiańską a nie giermańską jest nazwą. Zwyczaj szukania w téj porze straconych osób, których pamięć tkwiła w sercach narodu, dotąd przechowuje się tu i ówdzie w Morawii i Polsce. Chłopi morawscy szukają w maju wielkiego swojego króla Swiętopełka, który im w IX panował wieku (2); około Krakowa jest podanie gminne (3),

(1) Podług Grimma, Deutsche Mythologie str. 450.
(2) Palacki Geschichte von Böhmen I. str. 145.
(3) Hallische allgemeine Literaturzeitung przytoczona od Grimma tamże.

że na wiosnę dwaj młodzieńcy, Lel i Polel, bawiąc się gonitwą po polu, sprowadzają wiosnę. Zwróciliśmy wyżéj uwagę na to, (jest to wyjątek z rysu mitologii polskiéj przygotowanego do druku) że jak u Greków Poluks i Kastor, tak u Polaków Lelum Pollelum zostawało we związku z piekłem i światem, a tu nowy dowód mamy na to, że i życie ze śmiercią, czyli wiosna z zimą, łączyły się w onych do odgadnienia trudnych istotach, czyli w braciach Lelum Pollelum zwanych.

Przedłużono majówki aż do święta Rusałek, przypadającego około dzisiejszych Zielonych świątek. Wtedy obchodzono uroczystość bogiń, o których zupełnie głucho jest w pieśniach polskich. Sama nawet nazwa Rusałek nie jest znana pomnikom naszego języka. Wszakże są ślady pewnéj uroczystości, obchodzonéj dotąd w Luzacyi, na Szląsku i w Czechach. Zebrawszy razem co o niéj udzielili J. S. Bandtkie i Jan Szczepan (1), możemy wyprowadzić ten wniosek, że z czasem gmin słowiański, pomieszawszy razem uroczystość topienia Marzanny ze świętem majówki i Rusałek, obchodził pamięć zaginionego pogaństwa osobliwszym obrzędem. — W Luzacyi i na Szląsku odbywały się, i dotąd odbywają gonitwy konne, na pamiątkę, jak mnie-

(1) Dzieje I. str. 46 Czasopis czesk. muzeum z roku 1824. VIII. 2. str. 183 następ.

mam, Radagasta, który konno staczał boje. Kto na koniu piérwszy stawa u mety, wytkniętéj przy jeziorze, bywa okrzyknięty królem młodzieży; kto wyścigając się pozostaje w tyle, zyskiwa nazwisko Rochwista (imie przekręcone z Radagasta). Następnie obwożą Rochwista w umajonéj budzie o dwóch kołach, a gdzie jest kałuża tam wóz obalają i wiezionego rzucają w wodę. Poczém zbiéra się drużyna do karczmy, niosąc zebrane podarki, któremi ją obdarzają gospodarze wiejscy. Rochwist gra tam rolę wesołka czyli pajacza wiejskiego.

Stawianie majów znał gmin słowacki i czeski ([1]), znać go musiał i polski, będąc sąsiadem obydwóch tych ludów. W Czechach we wigilią Zielonych świątek, przed oknami najkraśniéjszych z sioła dziéwek, stawiano niegdyś drzewa, nazywane majem. W drugie święto zebrani parobcy do karczmy, przebiérali się po rycersku, i wybiérali jednego z pomiędzy siebie na króla. Z dobraną muzyką szła następnie czereda cała ku mecie, przy kamieniu lub jakim pagórku wyznaczonéj, gdzie czyniła wyścigi piesze: lub (a mianowicie w cyrkule budziejowskim) konno gnała czereda cała, a przejeżdżając około kałuży lub wody, usiłowała wepchnąć do niéj króla. Przybywszy na przeznaczone miejsce występował jeden z czeredy, wskakiwał na kamień lub pagórek, i pe-

([1]) Kollara zpewanky I. str. 24. 25.

rorował do koła, pytając się zgromadzonych czy tak jest jak mówi, lub nie. „Prawda, prawda" powtarzała tłuszcza. Następnie wrzucała do wody zrobionego ze słomy bałwana przyniosłszy go z sobą, albo nawet samego topiła króla. Trwała wesołość i wrzawa, aż dopókąd jeden z koła, niby niezgadzający się na to o czém perorowano, nie wypadł z boku, i kijem nie rozpędził gromady. Nazajutrz strojna młodzież obchodziła wiejskie domy, niosąc na drewnianym talerzu w wstążki ubrane drzewko, zbierała dary od gospodarzów i gospodyń, za co wywiązując się pociesznemi dykteryjkami, bawiła domowe dziéwki i niewiasty. Zebrane dary niosła następnie do karczmy, sprzedawała je karczmarzowi, a za piéniądze zebrane weseliła się.

Łużycki i szląski obyczaj stosują niektórzy (1) do wyścigów konnych o królestwo, niby że Lachowie tym sposobem obiérali sobie niegdyś króla. Zważając na to, że w obrzędzie tym król, kamień, perora, grają ważne role, i że jeden z gromady rozpędza obradujących, wątpić nie można, że tu jest coś politycznego. Wiadomo jest, że już w VIII wieku był u Krainiów obyczaj sadzania na kamieniu nowo obranego króla (2), że, podług Eneasza Syl-

(1) J. S. Bandkie tamże, Michał Wiszniewski w historyi literatury polsk. II. str. 79.
(2) Grim Deutsche Rechtsalterthümer str. 254.

wiusza (który żył w pierwszéj połowie XV wieku), gawiedź miejska na Rusi czerwonéj okrzykiwała tego królem, który od razu wskoczył na duży kamień, i utrzymał się na nim ([1]); nakoniec że podług Ditmara ([2]) kijmy Lutykowie bili tego, który się nie zgadzał na obradach publicznych z większością głosów. Co wszystko snadź pomieszawszy w jedno gmin słowiański, obchodził dawne wspomnienia, podczas Zielonych świątek. Wszakże owe maje sadzane przed oknami dziéwek, owo ustrojone drzewko przypominające gaik polski, ów nakoniec czas, w którym te uroczystości obchodzono, wskazują na wspomnienia pogańskie, święto, czy Rusałek, czy ubustwianego niegdyś króla Radagasta ([3]) przywodzące na pamięć.

Jeżeli niebo zamknęło deszcze i niepozwalało w odradzającéj się wiośnie rość bujno trawom, zanoszono modły do Dziada, to jest do starego boga czyli Peruna, ażeby dżdżem odwilżył ziemię. U Serbów obchód z tego powodu czyniony, zwano Dodole. Dziwi się Grimm ([4]) wyrazowi temu, uwagę czyniąc, że nie jest w stanie odgadnąć jego zródłosłowu, z żadnego jemu znanego języka, (wiadomo

([1]) Siarczyński w czasopisie lwowskim II. str. 80. J. Dobrowski w Wiener Jahrbücher XXVII. str. 92.
([2]) U Pertz V. str. 812.
([3]) Radagaisus, J. S. Bandtkie, dzieje I. str. 123.
([4]) Deutsche Mythologie str. 335.

jest, że wiele ich zna Grimm). Mnie się zdaje, że wyraz Dodole, składa się z piątego przypadku wyrazu Dod (dziad) i wykrzyknika le, i że znaczy „o ojcze" (zmiłuj się) (1). Do obchodu Dodoli używano trawy deszcze sprowadzającéj, a i na Rusi około Pińska podobny jak w Serbii był niegdyś obchód, z tą różnicą, że go peryodycznie na Zielone świątki czyniono. Mniemał też i dotąd mniema lud polski, że są pewne trawy, które mają moc sprowadzania deszczów (2) na czém polegając, wnoszę, że i w Polsce podobnie jak u Serbów i na Rusi deszczu upraszano od niebios, lubo wiadomo mi nie jest, azali i tu obchód ten Dodolą nazywał się kiedyś. Nad Elbą, w Turyngii, ubiérano w lesie podczas Zielonych świątek parobka w zielone gałązki, i sprowadzano go do wsi w uroczystym obchodzie, nazywając go lackim królem (3). Podobny obrzęd musiał być dawniéj znany i w Polsce, gdzie głównie panowali późniéj Lachowie. Tak nazwany smigust, zdaje się także być we związku z obchodem, o upro-

(1) Przypadek piérwszy jest Dod, lub Doda, jak ot (ojciec) i ota. — Szaffarzyk w aelteste Denkmäler str. 73. W życiu ś. Otona podług rękopisu święto-krzyskiego, wydrukowanego we Vierter Jahresbericht, der Gesellschaft für pommersche Geschiehle und Alterthumskunde, Stetin 1830, stoi na stronicy 169: „Ille veniens et episcopi nomen inclamitans, pro eo quod est otto otta dixeris, patrem sonat.

(2) U Zegoty Pauli pieśni ludu ruskiego I. str. 43. Wojcicki pieśni II. str. 217.

(3) Der Lattichkoenig, Grimm tamże str. 456.

szenie deszczu czynionym. Rękopis małoruski powiada ([1]), że niegdyś dla uproszenia urodzajności polom, przynoszono ofiary dla krynic i jezior, że w nich niekiedy topiono ludzi w tym celu, lub pławiano płeć oboję, albo nakoniec polewano wodą. Dotąd trwa ten obyczaj między naszym gminem, i dzieje się peryodycznie w drugie święto wielkanocne i następnych dni.

Święto Rusałek obchodzono na część rozwiniętéj przyrody, zieleniejących się drzew i krzewów, czyli (jak się wyraża pieśń gminna ([2])) majów, tudzież odrodzonego ptastwa domowego, pokrytych trawą łąk i t. p. Przeciągano ten obrzęd aż do miesiąca czerwca, i łączono go z tak zwaném świętem Kupały. Uzupełniając to, com w téj mierze gdzieindziéj powiedział ([3]), uwagę czynię, że obrzęd haiłek, zwany w Polsce kogutkiem, był znany i nad Łabą, jak o tém przekonywają pieśni tak zwane proszalne (stonanje) śpiéwane u Łużyczan ([4]). Wpływ religii chrześciańskiéj pomieszał święto Rusałek z uroczystością sw. Jana Chrzciciela, które przypada w czasie rozwiniętych już roślin, czyli do szczęśliwego wzrostu ochrzczonych przez świętego poprzednika, Zbawiciela ludzi Jezusa Chrystusa. Gmin nasz

([1]) U Żegoty Pauli pieśni ludu polsk. str. 30.
([2]) U Wojcik. II str. 222.
([3]) Polska aż do wieku XVII, w części III str. 230 następ.
([4]) Smolera, pieśni łuż, I str. 269.

obchodzi to święto wcześniéj, pali bowiem stosy drzew we wielki piątek, bąć na pamiątkę Rusałek (dla tego że one po rozwinięciu się przyrody we wiosennych plonach wychodzą z wody i bujają po świecie), bądź że zachowując pamięć palenia cierniów w kościele katolickim w dzień wielkopiątkowy, z pogańskim obyczajem ([1]) mięsza tym sposobem chrześcijańskie obrzędy. Są ślady w naszych pieśniach ([2]) niewłaściwéj téj mięszaniny. Zebrane dziewczęta nuciły niegdyś piosnkę:

Święty Janie! pytam się ciebie samego,
Cóżeś nam przyniósł nowego?

Zagadniony święty odpowiadał, wyliczając przyniesione dary. Opuściwszy resztę przytoczę dwa wiersze, w których mówi Jan Chrzciciel:

Przyniosłem wam rosy,
Parobkom do kosy.

Wtedy wróżąc o przyszłym swym losie, puszczały dziewczęta wianki z siedmiu równianek, to jest małych splotek ([3]) na wodę, gdy tym czasem parobcy rozpierzchnęli się po lasach, szukając kwiatu szczęśliwego. Działo się to we wigilią ś. Jana. Przez kwiat szczęśliwy rozumiano kwitnącą paproć. Gdy jest trudno znaleźć to kwiecie, przeto mniemał o niém gmin rozmaicie. Sądził że to ziele kwitnie bez kwiateczka, to jest, że nie ma kwiatu; to znowu że

([1]) J. S. Bandtkie dzieje I. str. 109.
([2]) U Wojcick. pieśni 1. str. 197.
([3]) Uwagi godna jest liczba siedmiu.

istotnie paproć kwitnie, ale skoro się kto przybliży do kwiatu, czarci wszczynają burzę i niedozwalają go znaleść. Bo gdyby go mógł odkryć śmiertelny, otworzyłyby się jemu wszystkie skarby ukryte w ziemi, przez złych pilnowane duchów ([1]). Puszczając wianki, palono i ognie, na pamiątkę kąpiącego się w morzu słońca, czyli jak za chrześciańskich mniemano czasów, na cześć ś. Jana. Zwano ten obrzęd Kupałą, od kąpania się żywiołu, późniéj zwano go sobotką, ale tylko w Polsce. Skądże powstały te nazwy? Nie od bóstwa kupało i od siódmego dnia w tygodniu czyli od soboty, gdyż nie znajdujemy nigdzie śladu czci bałwana, czyli podobnéj nazwy bóstwa. Nadto wszystkie niższego rzędu bogi słowiańskie, miały nazwy od przedmiotów przyrody, a Kupało i Sobota nieznajduje się pomiędzy niemi. Przeto zdaje się, że Sobotki mają nazwisko od Soboty, niby wigilii poprzedzającéj wielkie święto Kupały ([2]), lub dla tego, że Sobota była dniem odpoczynku, jak się wyżéj rzekło. W piérwszym i drugim razie wyraz ten nie do pogańskich, lecz chrześciańskich wyobrażeń należéć będzie. Za pogańskich czasów na cześć Łady, za chrześciańskich na cześć ś. Jana obchodzono święto Kupały (rano lub wieczór), zanosząc modły do rzék i zródeł, co jak wyżéj rzekłem, miało miejsce i na Litwie. Wtedy i teraz miano to mnie-

([1]) Wojcicki pieśni I. str. 203. 204. 254.
([2]) S. Goszczyński w Ziewonij A. Bielowskiego str. 215.

manie, że słońce wzniosłszy się najwyżéj i ogrzawszy gorącemi promieniami ziemię, obmyć się powinno i ochłodzić we wodzie, tudzież, że ś. Jan napracowawszy się wielce przy wydobywaniu z ziemi zarodu plonów, powinien, wykąpawszy się, odpocząć po pracy. Na pamiątkę więc tego palono ognie, i patrzano jak słońce wstaje z kąpieli. Zapaliwszy stos drzewa podpalonego słomą, przeskakiwano go śpiéwając stosowne pieśni ([1]). Dawniéj snadź zielone, bóstwu miłe, palono drzewa: późniéj palono posępne świerki i cisy, wyobrażające złych duchów, które przez zapalone ognie spłoszyć chciano. Wrzucano w ogień splecione wianki z rosiczki, płomyka, bylicy, dziewanny, ruty, szałwii, ziela ś. Jana, i t. p. Słysząc trzeszczącą rutę, i pękającą w ogniu bylicę, czarownica pękała ze złości, bo święte zioła odejmowały jéj moc szkodzenia ludziom i bydłu ([2]). Skakając przez ogień, lub puszczając na wodę wianki, czyniono stąd wróżby, co, jak się tylekroć rzekło, było głównym sposobem u Słowian wybadywania przyszłości. Tak i uroku dochodzono na Rusi, puszczając węgle na wodę ([3]).

([1]) Słowacy nucili: Chybaj na Jana! Woj Jana! to jest przeskocz Jana.

([2]) Żegoty Pauli pieśni ludu polsk. str. 21. 23. Wojcick. pieśni I. str. 201, 253, 274. Pan Żegota Pauli nie zgadza się z nami, tu i ówdzie. Przywiedliśmy przy opisie ciał niebieskich dowody, na których nasze opiéramy mniemanie.

([3]) Wojcicki klechdy I. str. 141.

Chociaż, jak się wyżéj rzekło, obchodził te pamiątki gmin w czasie przypadających świąt chrześciańskich, przecież pogańskie przywięzywał do nich wyobrażenia. Do tego cośmy w téj mierze powiedzieli, dodać należy święto wiosenne u Słowian nadelbiańskich, w czasie Wielkiéjnocy obchodzone na cześć Jutrzenki. Dlatego téż Słowianie ci zwali Wielkanoc Jutrem (1). Obrządek dożynków, czyli dziękczynienia bóstwu za plon szczęśliwie z pola zebrany, który z wielką okazałością obchodzono nad Elbą, na cześć Światowida (2), zupełnie wyszedł z pamięci ludu. Zastąpiła go wiecha, dziś jeszcze sprawiana od panów rolnikom po zebraniu z pola plonów, i przyniesieniu do dworu żniwowego wieńca. W pieśniach gminnych które przy tém śpiéwają wieśniacy, nader mało przebija się pogańskiego zwyczaju. Zaledwie że o ptakach i drzewach niektórych (przepioreczu, cisie) wspomniono w pieśniach ruskich przy dożynkach, i polskich pod napisem wieniec (3). Zdaje się, że wspomnienia, które niegdyś figurowały przy obrzędzie dożynków, przeszły w obchód kolędy.

Wszystko cokolwiek dotąd mówiono o kolendzie, udowadnia mniemanie to, że wyraz oznacza-

(1) Ostara, Jutro, u Grimma tamże str. 349.
(2) Sakso grammatyk przywiedziony od Kollara w dziełku pod tytułem Wykład str. 111.
(3) U PP. Żegoty Pauli i Wojcickiego.

jący drugiego rodzaju czyli zimowe pogańskich Słowian obrzędy, obcem jest. Gdy go Grecy i Rzymianie mają, widać stąd, że obrzęd ten był upowszechniony w całym pogańsko-starożytnym świecie. Mimo to godzi się twierdzić, że sposób jakim go obchodzono u Słowian, był im tylko właściwy. Ponieważ zima stykała się z wiosną, przeto z czasem, za upowszechnieniem się chrześciaństwa, nie jeden obrządek wiosenny przeszedł we święta zimowe, pomieszał się z obrzędami które chrześciańska religia z sobą przyniosła, i czysto słowiańskie zmącił wyobrażenia.

Na cześć rolnictwa i ubóstwianych zwiérząt był on obchodzony pierwotnie. Wtedy i niebo objawiało swe dziwy, a złe duchy płatały figle, co oczywiście było wypływem chrześciańskich wyobrażeń. Zaczynał się ten obchód od uczty wieczornéj, co i dziś ma miejsce przy obchodzeniu wigilii Bożego narodzenia. Przy wieczerzy kładziono trzosło pługowe na stół, ażeby myszy i krety nie psuły roli w następnym roku ([1]). Gdy również i zimowe święta przedłużano, przeto uczczenie pługa nie odbywało się nad Elbą, (w późniejszych rozumié się czasach) przy kolędowéj wieczerzy, lecz w czasie zapust. Wtedy mężczyzni obwozili po wsiach i małych miasteczkach pług, łapali przechodzące niewiasty i zaprzęgali je do niego, podobnie jak je niedawnemi czasy u

([1]) Żegoty Pauli pieśni ludu polsk. str. 2.

nas zniewalali do ciągnienia kloca w popielec (1). Po wieczerzy odbywały się wróżby w domu i za domem. Gospodarz (niegdyś kapłan domowych bóstw a za czasów lepiéj rozwiniętego pogaństwa, stróż porządku we swoim rodzie i pod religijnym względem) odbywał za chrześciańska i odbywa dotąd wróżby o przyszłym, pomyślnym lub niepomyślnym urodzaju. Biorąc źdźbła ze snopów wróżył rzucając je do góry, podobnie jak podług Tacyta (2) z patyczków w górę rzucanych wybadywał przyszłość, i jak gmin krakowski, rzucając przy grze w cechę nóż do góry, zgadywa, szczęście lub nieszczęście (3). Liczył gospodarz w snopie pełne i nie pełne kłosy, skąd także odgadywał o urodzaju w przyszłym roku (4). Wtedy dziéwczęta wychodziły na dwór; uważając od któréj strony słychać szczekanie psa, co znaczyło że stamtąd dostaną męża. O północy wychodzili wszyscy z domu, ażeby oglądać niebo, które wtedy otwiérać się miało, i dawało widzieć co się wewnątrz jego dzieje (u Serbów działo się to w dzień trzech Króli, także o północy). Dotąd silne są ślady zabobonu tego w pieśniach i gusłach ludu, gdzie wróżby znakomitą rolę odgrywają (5). Gdy się to działo, wtedy gospodarz pilnie

(1) Grimm tamże str. 163.
(2) Grimm tamże str. 10.
(3) Pieśni ludu krakowsk. str. 66.
(4) U Żegoty Pauli tamże.
(5) Wojcick. zarysy domowe I. str 348. następn.

oglądał obory azali są dobrze opatrzone, bo wtedy najwięcéj dokazywały czarownice, zakradając się do bydła. Tym końcem chcąc je zabezpieczyć od szkody, nakarmiał dobytek cząstką potraw, na kolędowéj spożytych wieczerzy. Było to oczywiście wypływem chrześciańskich wyobrażeń (1). Tym czasem parobcy, dla przypomnienia na jaką pamiątkę odbywa się to święto, chodzili nazajutrz tudzież w następnych dniach po kolędzie, obnosili pług po wsi stosownie śpiéwając i udając oranie (2). Krakowska pieśń kolędowa nuci (3) o roli, na któréj jest złoty płużek, a przy nim cztéry zaprzągnione są konie, na koniu naręcznym siedzi ś. Szczepan, ś. Jan wodzi koniki, a za pługiem chodzi Pan Jezus. Przebrani parobcy obnosili lub oprowadzali niektóre zwierzęta (niegdyś ubóstwiane), jako to niedźwiadka, wilczątko, tura (4), niby błagając je ażeby w roku przyszłym nie szkodziły ludziom i bydłu. Stąd owo sławne chodzenie z wilkiem po kolędzie, znane u Polaków, Rusinów i Serbów (5).

Gdy upływała zima, a zbliżała się wiosna, obchodzono uroczystość, która właściwie na wiosenną przypadała porę, grzebano żur, co miało znaczyć ko-

(1) Żegota Pauli tamże.
(2) Żegoty Pauli pieśni ludu rusk. str. 15.
(3) Pieśni ludu krakowsk. str. 97.
(4) U Żegoty Pauli pieśni ludu polsk. str. 2, 3.
(5) Wuka Stef. Karadzicza srpske narodne pjesme I. str. 501 wydanie drugie.

niec postu (bo się to odbywało we wielką sobotę), w rzeczy zaś saméj przypominało topienie Marzanny. Jakoż odbywał się ten zwyczaj i u Niemców, i miał nazwisko pogrzebu postu (1). Nad Elbą i u Kroatów w same zapusty miał ten obchód miejsce. Tam dla wzgardy pogaństwa, kobiéty w XVII jeszcze wieku topiły Marzannę: tu piłowano przed bramami miasta klocek, co zwano tracenie staréj baby, czyli koniec starego roku (2). Obrzędy zapustu i popielcowéj środy, są także zabytkiem dawnych zabaw pogańskiego świata, tudzież pamiątką wpływu chrześciaństwa. Wtedy to gospodynie zwodziły w karczmie tak zwany taniec konopny, ażeby się im konopie rodziły w przyszłym roku. Przybywał tam parobek przebrany, siedząc na drewnianym koniu, a głosząc że jest mantuańskie książe, i przybywa z kraju gdzie psy ogonami szczekają, posypywał tańczące popiołem, wyganiał je miotłą, a poobalawszy naczynie z wódką gasił światło (3).

A. W. Maciejowski.

(1) Pieśni ludu krakowsk. str. 70. Grimm. tamże str. 523.
(2) Grimm tamże str. 444, 453.
(3) Pieśni ludu krakowsk. str. 67. Wojcick. pieśni I. str. 261, 263. Woj. za moje, za L.

UBIOR DAWNY MIESZCZAN KRAKOWSKICH,

PRZEDSTAWIONY W PORTRECIE

GRZEGORZA PRZYBYŁO,

Starszego Cechu Złotników Krakowskich r. 1534.

(Z drzeworytami).

Zbiérając wiadomości o starożytnościach dawnéj Polski, nie można pomijać kunsztów i rzemiosł; bo z ich urządzeń i zwyczajów, nie jedno dałoby się wydobyć postrzeżenie, mogące rzucić światełko na obraz dawnych wieków. W tym względzie u nas, Kraków prawie na naczelném stoi miejscu, bowiem to bogate i ludne niegdyś miasto, dawało przytułek wielu rękodzielniczym przemysłom, i wiele też zgromadzeń konrzemieślniczych pod nazwą cechów, bractw, kontuberniów i t. p. w sobie zawiérało. — Z okazyi

załączonéj ryciny, wyobrażającéj Grzegorza Przybyło mieszczanina i starszego zgromadzenia złotników Krakowskich, oraz żony jego Katarzyny,



powié się kilka słów tak o nim, jako i o zgromadzeniu złotniczém w Krakowie, w wieku XVI.

* * *

Za najdawniejsze stowarzyszenie mistrzów jednego kunsztu, bądź rzemiosła, uważać trzeba pomiędzy innemi cech złotniczy w Krakowie. Już



on tu istniał za Piastów w czasach bardzo odległych, a nadewszystko kwitnął za Jagiellonów, podczas gdy kraj w dobrym bycie opływał, gdy

zamożność Panów tak była powszechną, a gust do świetności i blasku Polakom tak wrodzony.

Co do dowodu dawności cechu złotniczego, wspomnieć należy, iż lubo przywileje przez Królów Polskich jemu nadane, których oryginały dotąd w cechu tym się utrzymują, nie są dawniejsze jak z czasów Zygmunta I; atoli w tych, a nadewszystko Stefana Batorego z r. 1577, mowa jest o przywileju Króla Ludwika, danym w sporze z złotnikami miasta Lwowa, którzy złotnikom Krakowskim zaprzeczali *bardzo dawnego prawa*, wolnéj sprzedaży w czasie jarmarków we Lwowie i innych miastach, wszelkich wyrobów z złota, srébra, drogich kamieni i t. p.; któreto dawniejsze nadanie, już im Król Ludwik zatwierdził, równie jak im takowe Król Stefan w roku wyżéj pomienionym zatwierdza.

Niesie podanie, że Król Zygmunt I. lubił kunszt złotniczy, i w chwilach spoczynku że się trudnił jego wykonywaniem; lecz w księgach cechu złotniczego nie znalazłem żadnego śladu o tém jego upodobaniu, prócz tylko tego dalekiego dowodu w dwóch jego postanowieniach, świadczących o jego nad cechem złotniczym opiece, t. j. Dekret z roku 1507 zakazujący wszelkim przychodniom do Krakowa, sprawowania kunsztu złotniczego, dopókiby wprzód nie przyjęli prawa miejskiego i cechowego. Drugi *dat. Cracoviae Sab. ante*

D[nca] Oculi r. 1521, nakazujący złotnikom miasta Kazimierza przy Krakowie: „aby oświadczyli posłuszeństwo cechowi Krakowskiemu, przez przyjęcie tego cechu podług zwyczaju.“ (Są to orygінały na pargaminie.)

Król Stefan pomiędzy kilku innemi nadaniami, dał im i ten przywiléj, zabraniający przeszkodnikom (Allegerom) podejmowania wszelkich robót, z szkodą cechu złotniczego.

R. 1596 Burmistrz i Rajcy miasta Krakowa, zatwierdzają porządek cechowy, t. j. artykuły na zgromadzeniu cechowém umówione, do zachowania wszystkim złotnikom nadane; pomiędzy któremi jest i to, że, nie wolno jest żadnemu groszów złocić, które są bite nakształt czerwonych złotych.

Posiadają także przywiléj Zygmunta III z roku 1617, dany przeciwko złotnikom Warszawskim na korzyść złotników Krakowskich, — z których pierwsi ważyli się rzeczy z złota i srebra wyrobione, i do Warszawy przywiezione na sprzedaż, probować i doglądać.

Mają przywiléj Króla Władysława IV., oraz Jana Kazimierza z r. 1649, zatwierdzające im prawa i swobody nadane przez dawniejszych Królów. Mają i dekret Króla Augusta II Sasa, przeciwko żydom, roboty złotnicze z innych miast nawożącym i sprzedającym, — mocą którego jest im to zabronione.

W aktach cechu złotników Krakowskich, da się spostrzedz, jak wielu mistrzów tego kunsztu zgromadzenie ich stanowiło. W r. 1563, kiedy Józef Jeleń i Andrzéj Marstella Rajcy Krakowscy, urząd Starszych sprawowali, widzimy nazwiska trzydziestu pięciu mistrzów złotników na uchwale cechowéj podpisanych bądź wspomnianych, a w r. 1564 już się liczba ich o trzech powiększyła.

Starszy czyli przełożony w tém zgromadzeniu, dla odróżnienia się od innych cechów rękodzielniczych, nazywał się Primas, a podstarszy Pod-Primas, którzy w wieku XVI i XVII bywali mężowie wykształceni i zamożni, i ztąd to pomiędzy Rajcami Krakowskiemi *(Consules)* często się złotnicy mieścili.

W dawnych czasach, kunszt ten w wielkiém musiał być poważaniu, kiedy się go i szlachta uczyła. W księdze cechowéj pod r. 1525 czytać się daje w języku niemieckim, (gdyż ten był prawie powszechnym mieszczan Krakowskich) ten zapis: „Mistrz Grzegorz zapisał do nauki chłopca, „imieniem Mikołaj Schyrakoffsky z Mazowsza syn „szlachecki, a to na lat cztéry, zaczynając od S. „Marcina. Młodzieniec sam się okrywać ma, a „w 5^{tym} roku zostanie czeladnikiem i Pan mu płacić będzie zł. sześć.“

Zgromadzenie złotnicze posiadało w Krakowie własną kamienicę, w któréj posiedzenia swe od-

bywało; — ta była na ulicy Brackiéj, którą mu testamentem w roku 1547 odkazał jeden z jego współ-braci, a ten był:

Grzegorz Przybyło,

Złotnik oraz Ławnik miasta Krakowa (*Scabinus*). Byłto człowiek zamożny, który żyjąc w bezdzietném małżeństwie z żoną swą Katarzyną, własność nieruchomą na Kazimierzu (ogród), legował na szpital.

W r. 1536 był on Starszym złotniczym, a w r. 1548 już nie żył. Rycina z wyobrażeniem jego i żony, w dawnych ubiorach mieszczan Krakowskich, zdjęta jest z dawnéj płaskorzeźby, która już lat przeszło 300 liczy, i jest téj saméj jak rycina wielkości. Wyobrażenie to wyrobione jest przecudnie, w małych rameczkach, zamykanych nakształt tabakierki, biegłym rylcem snycerza w drzewie bukszpanowém, i nazwane być może dziełem mistrzowskiém, — szkoda tylko, że niewiadomo czyjéj ręki. Jest własnością zgromadzenia złotników, równie jak pierścionek delikatnéj roboty, po tymże Grzegorzu Przybyle pozostały.

Ambroży Grabowski.

Wyciąg z $2^{\text{giéj}}$ części

FAUSTA.

-∞-

AKT I.

Wesoła okolica.

Faust spoczywa na kwiecistéj murawie. Ruchy jego niespokojne. Usiłuje zasnąć.

Świt.

Roje drobnych żwawych duchów krążą w powietrzu.

ARIEL.

(Śpiew połączony z dźwiękami arf Eolskich.)

Kiedy z wiosną deszczyk błogi
Kwieciem sypie ze wszech stron,
Gdy zielone pól rozłogi
Synom ziemi wróżą plon,
Małych Sylfów wielkie duchy
Niosą pomoc, bronią szkód,
I zléwają zdrój otuchy
Na ułomny ludzki ród.

Wy co tę z lekka okrążacie głowę,
Wyświadczcie tutaj dobrodziejstwo nowe.
Zamknijcie w sercu srogim walkom szranki;
Oddalcie gorzkie przypomnienia strzały,
Ducha oczyśćcie z trwogi pozostałéj.
W okresie nocy *cztéry* są przestanki:
Niech wasze dłonie dary swe w nie zniosą.
Naprzód skroń złóżcie na miękkie wezgłowia,
Potém go skropcie letejskich wód rosą;
Wnet skrzepłe członki giętko się podniosą,
Ujrzy blask dzienny w pełni sił i zdrowia.
Dopełńcie pięknéj Sylfów powinności,
Ciemnego świętéj powróćcie światłości.

CHÓR.

(Głosy pojedyńcze, po dwa lub po kilka, koleją i razem).

Gdy majowe łąk obszary
Chłodnéj rosy zwilża stok,
Słodkie wonie, mgliste pary
Rozpościéra letni mrok;
Cichy w duszy pokój budzi,
Lula serce dziecka snem,
I zamyka oczom ludzi
Bramy dzienne tchnieniem swém.

Płynie noc—gwiazdki nadobne
Żenią się wśród modrych fal;
Wielkie światła, iskry drobne
Lśnią się z bliska, błyszczą w dal;

Lśnią się tu w przejrzystym zdroju,
Błyszczą górą w nocny brzask;
Pieczętując raj spokoju,
Gra miesiąca pełny blask.

Lecz czas mija w szybkim pędzie,
Ból i rozkosz wsiąka weń;
Kto przeczuwa zbawion będzie;
Umiéj przeczuć nowy dzień.—
Zielenieją się doliny,
Pagórki się krzewią w cień,
I w wątłych trawkach nowiny
Przyszłych zbiorów miga rdzeń.

Jest-li cel twych życzeń święty,
Blaskiem jutrzni oko cuć!
Z lekka-ś tylko obwinięty;
Sen jest korą, korę zrzuć!
Nie odwlekaj rzucić łoże,
Kiedy gnuśnych więzi puch;
Wszystkiego dokazać może
Pojętny i czynny duch.

(Ogromna wrzawa oznajmia zbliżanie się słońca.)

ARIEL.

Słyszycie ten huk, słyszycie?
To *Hory* wrzaskliwą zgrają
Uszom ducha oznajmiają
Nowo narodzone dziécie.

Bramy opok skrzypią, trzeszczą,
Koła Feba grzmiąc szeleszczą;
Ileż zgiełku światło niesie!
Jakaż wrzawa pomięszana!
Słuch drętwieje w tym rwetesie;
Nie na nasze on organa.
Skryjcie się w kwiatów kielichy,
Głębiéj, głębiéj w zakąt cichy,
W skał szczeliny, w drzewin cienie,
Bo zagłuszy was to brzmienie.

FAUST.

Pulsa natury biją rzeźwém tętnem
Na powitanie wschodzącego świtu;
Ziemio! ty w swojém ubraniu ponętném
Budzisz się znowu, skłaniasz do zachwytu.
Otwiérasz zwolna rozkoszne objęcie;
Ty wzmagasz w duszy silne przedsięwzięcie
Dążenia ciągle do wyższego bytu.
Już świat odetchnął z piérwszym mrugiem brzasku,
Tysiące głosów brzmi życiem wśród lasku,
Mgła po dolinach słania tuman biały;
Lecz jasność nieba wgląda i w głębiny,
I orzeźwione ziółka i krzewiny
Wstają z przepaści gdzie schylone spały.
Już i kolorów barwa się odznacza,
Gdzie kwiat i listek drży perłami rosy;
Świat się w raj mieni, raj mię w krąg otacza.

Spójrzyjmy wyżéj!—Szczytów gór kolosy
Obwieszczają już chwilę uroczystą;
Im wolno ujrzyć światłość wiekuistą
Pierwéj nim w nasze posunie się strony.
Alpejskie łąki przybiérają zwolna
Nowe postacie, łagodniéjsze tony,
I już stopniami błyszczy warstwa dolna;—
Witam cię słońce! i padam olśniony,
Powieka moja ostać ci niezdolna.

Tak to więc bywa, gdy wrząca tęschnota
Prze się ku niebu ufnemi ramiony;
Otwarte spełnień napotyka wrota;
Lecz w tém wybucha z wieczystych bezedni
Płomienna powódź, chwiejemy się biedni;
Chcieliśmy zatlić pochodnie żywota,
Ogniste morze ogarnia nas, chłonie.
Jakaż to żądza paląca bez tamy?
Tak gorzko w sercu, tak rozkoszno w łonie
Że znowu oczy ku ziemi spuszczamy,
Pragnąc się ukryć w młodzieńczéj zasłonie.

Zostańcie za mną promieniste bramy!
Wodospad, dziko grzmiący po opokach
Zwraca me oko; on mile mi śpiéwa;
Toczy się z głazów w tysiącznych potokach,
I w tysiączne się potoki rozléwa,
Śnieżyste piany pryskając po bokach.

Lecz jak wspaniale oku się nastręcza
Lśniąca w tych falach różnobarwna tęcza!
Ten łuk malowny, ta przemienna trwałość,
To w czystych rysach, to wśród mgły powicia,
Tworząc jakowąś straszną okazałość.
W niéj ludzkich dążeń wyczytasz odbicia;
Spójrz tylko głębiéj i wniknij w tę całość.
Odblask kolorów jest obrazem życia.

Józef Paszkowski.

WIDOWISKO PUBLICZNE,

MARYONETKI,

w wieku XVII w Warszawie.

Nader mało mamy wiadomości o rodzajach widowisk, któremi przejeżdżający się po kraju obcy sztukmistrze ojców naszych bawili. Mniemam, że ciekawi mile przyjmą małą wskazówkę, jakiego rodzaju były te przedstawienia, z umieszczonéj tu kopii dawnego, bo zapewne z wieku XVII pochodzącego oznajmienia czyli afiszu, o sztukach pokazywać się mianych; któregoto afiszu może jedyny drukowany exemplarz znajduje się w Bibliotece akademii krakowskiéj.

Afisz ten drukowany jest na pół-arkuszu, długości poziomej, ▭ — w obwódce. Głowa tegoż,

początek, jest drukiem łacińskim; wyszczególnienie zaś sztuk drukiem gockim bardzo zużywanym. Koniec afiszu, czyli to co jest pod linią, znowu drukiem łacińskim, a miejsce widowiska, co tu jest kursywą, jest już dopisane ręką.

Zdaje się, że przedsiębierca tych sztuk, miał afisz gotowy, i z nim jeżdżąc po miastach, dopisywał miejsce widowisk. — Najpodobniéj, że ten exemplarz afiszu służył na Warszawę, gdzie familia Zamojskich dom posiadała.

Pisownia afiszu daje się tu w wiernéj kopii.

„Oznaymuie a wiedzieć każdemu daie, że iest sam z Nacyey Włoskiey ieden Magister wróżnych a barzo cudownych kunsztach umieiętny: a Ludowi barzo piękne a krotofilne rzeczy to iest, przez figury abo obrazy, ruchający się, różne tańce, skoky &. pokazać chce.

Naypierwiey wszystkim ludziom kunszt miłuiącym widzieć się daie, Jako przez kunsztowne Figury barzo piękne tańce od iednego Kawalira a nadobnych Panien odprawowane będą, a to różnym sposobem.

2. Obaczy się, Jako maszkarne tańce Fusą abo sposobem Włoskim odprawować się będą.
3. Obaczy się, Jako iedna Figura abo Obraz barzo kunsztowne a pękne skakanie odprawować będzie.

4. Obaczy się, Jako w Maszkary iedna Figura ubrana będąc, tak kunsztownie a foremnie sposobem Włoskim tańcować będzie, że się ludzie kunszt miłuiący uciesza.
5. Obaczy się, Jako pięć Figur w Maszkary ubrane tańcuią, a na Hiszpański bębny bębni, a to wszystko barzo uciesznie a foremnie.
6. Obaczy się, Jako w obudwuch rękach gołe szable Figury maiąc, piękny nowy taniec sposobem Charwatskim odprawować będą.
7. Obaczy się, Jako iedna Amorytynka Fusą Hiszpańską ubrana, trzymaiąc dwa Castanity w rękach, swoimi własnymi rękami się otwiera.
8. Obaczycie kunszt miłuiący WM. MM. Panowie, Jako piękna Kawallerya polować źwierz będą.
9. Obaczy się, Jako iedna Figura z ruśnice strzyla do sarny.
10. Obaczy się, Jako przyidzie Lew a z Niedźwiedziem będzie się bił.
11. Obaczy się, Jako iedna Figura połowa człowieka y konia przyidzie a ze Lwem się będzie biła.
12. Obaczy się, Jako Smok z wężem będą się bili.

13. Obaczy się też, Jako Turcy z chrześciany na Okrętach do siebie z dział strzylaią, a społem się biią, a to wszystko barzo kunsztownie a ſoremnie, czegoż tu w tych ziemiach niewidziano było.

Kto takowe rzeczy chce widzieć, ma się pytać *Do pana Zamoiskego domu oftori godzinie.*

Ambr. Grabowski.

KILKA WYDARTYCH I PRZEDARTYCH KARTEK

z dziełka nazwanego

GÓRY I DOLINY

przez

P. Łu.. z G.... R....

Niewiém czy jest kto w świecie, coby obojętnie bez silnego wrażenia, po raz piérwszy ujrzał Wenecyą. Byron nazwał ją zwaliskiem, Jerzy Sand w swych wieszczych marzeniach, nie może myśli od niéj oderwać. Obraz Wenecyi prawie w jéj wszystkich powtarza się romansach, bo téż wszystko tam się romansem wydaje. Zacząwszy od tych opustoszałych pałaców, przeglądających się w wodzie o stopy ich bijącéj, co się zdają obliczać w tém zwierciedle jeszcze im pozostałe dawnych bogactw szczątki i z ostatniemi żegnać się dumy zabytkami, aż do skromnéj żałobą pokrytéj gondoli, co się cicho w pośród nich

śliznie, wszystko tam tchnie poezyą, wszystko szczególniejszą a uroczą nosi cechę.

Ogólném jest mniemaniem, że Wenecya jest smutną. Temu i przyznać i zaprzeczyć można. Smutną jest, bo do marzenia pobudza, a marzenie rzadko wesołości skutkiem. Smutną jest, bo obudza wspomnienia przeszłości wspaniałéj, dumnéj a znikłéj, bo o znikomości wszystkich i największych mamideł świata głośno przemawia. Smutną jest, wreszcie, bo jakby swą przeszłość opłakując, cała się żałobą okryła, a obojętne nawet oko wszędzie jéj napotyka barwę. Lecz ogólne wrażenie, materyalnego że tak rzekę, miasta, bynajmniéj nie smutne. Owszem, ten błękit nieba, co w wodzie się powtarzając, jakby do koła nad głową i pod nogami otaczał, wzrok objaśnia i rodzi jakąś wesołość w duszy, lud pełen życia, rzeski i hoży, wszelką odgania ponurość, a do tego powietrze włoskie!..

O włoskie powietrze! kto niém nie odetchnął, kto nie czuł swych piersi nową jakąś wzdętych lubością, uczuciem przedtém nieznaném, którego odgadnąć, a tém mniéj opisać nie można, ten nigdy twéj władzy nie pojmie! W niém po niejakim czasie życie staje się rozkoszą, samo oddychanie rodzajem szczęścia. Tam się dopiéro poznaje ta obojętność Neapolitańskich Lazaronich, ta ich zadziwiająca filozofia, kiedy wszelkich zrzekając się trudów i pracy, niepomni wczorajszéj nędzy, o jutro

niedbali, ze spokojną myślą leżą dni całe w cieniu ulic, lub na brzegach morza, i swém życiem bez celu, bez zajęcia, bez przyszłości, całkiem szczęśliwi! Pod włoskiém niebem umysł każdego coraz staje się lżejszy, przejrzystszy, myśl jakby kto skrzydła jéj przypiął, coraz wyżéj wzlata, dusza w miękkiém zadowoleniu, wzdyma się, rozszerza, wszelkie poezye świata ogarnia, niemi napawa, przesięka, jednoczy się z niemi.... O cóż dziwnego, że tam się artyści rodzą, cóż dziwnego, że tam kobiéty samą miłością żyją? i jakaż to miłość być musi! Pewna jestem, że gdyby która z nas, w największym swéj namiętności szale, pożyczyła im swego serca, oneby go w letargu mniemały.

Ale dla upojenia się tém nektarowem powietrzem, dla doznania jego własności, trzeba, jak mówiłam, pewnego czasu. Gdym przybyła do Wenecyi 14 sierpnia, zatrute było ono wiatrem zwanym Sirocco. Wówczas każdy mdły wzrok w koło siebie tocząc, pot z czoła ociera, a na każde żądanie odpowiada: Teraz niepodobna, bo Sirocco wieje.

Przybyłam tam w samo południe w największy upał. Wysiadłam w hotelu Europy, poleconym mi za najlepszy. Morze wówczas wzbierało; z licznych u wejścia wschodów, większa część zalana była. Nie obeznana jeszcze ze sposobem wylądowania w ta-

kim zdarzeniu, całą suknią i nogi wyżéj kostek niezgrabnie zamoczyłam.

Hotel Europy, jak wszystkie teraz w Wenecyi najemne domy, z arystokratycznego przerobiony pałacu, jeszcze dawnego przeznaczenia niektóre zachował szczątki, i tak jak w teraźniejszych czasach, nieraz się zdarzy napotkać wielkiego pana sypiącego złotem, któremu z pod dumnie podniesionéj głowy, coś gminnego przebija, tak przeciwnie Europy hotel do zajezdnego zniżony domu, pańskiego czyni wrażenie pałacu. Każdy z żalem widzi na jego czole szyld zamiast herbu, napis dzisiejszy zamiast dawnego. Dawniéj bowiem pod herbową tarczą czytano tam: *Palazzo Justyniani*, bo w dawnéj Wenecyi, każdy pałac, swego właściciela herbem i imieniem był naznaczony.

Wszedłszy do ogromnéj, marmurem wysłanéj sieni, wskazano mi wspaniałe marmurowe wschody. Lecz gdy dwa i trzy piętra niemi przebiegłam, oświadczyłam, iż tak wysoko mieszkać nie życzę sobie, bo mię wschody tchu pozbawiają. Zdziwił się kelner. Mówił, że każdy woli wyższe niż niższe piętro. Późniéj dopiéro domyśliłam się przyczyny tego wyboru. Jestto odór siarką przesiękłéj lagunowéj wody, którego wielu znieść nie może, i woli być daléj od tych wyziewów. Kelner zaś nie chcąc wyjawiać wad swéj stolicy, utrzymywał, że to dla widoku.

Otworzył mi wprawdzie owalny salonik, cały dawnemi przysuty ozdobami, w którym pani Pompadour u siebie by się mniemała; z niego widok na wielki kanał (il canal grande) szerzący się w tém miejscu, cudny, zachwycający. Naprzeciw, w samym środku téj zwierciadlanéj przestrzeni, błękitem odbijającego się nieba ubarwionéj, wznosi się gmach wspaniały, acz tegoczesny, w zupełnie odmiennym od innych tam smaku, z lekkim posągiem fortuny, jedną nogą tykającéj się ledwie kuli, na któréj stoi u szczytu! Jestto komora celna, staraniem teraźniejszego rządu postawiona.

Na lewo także w środku morza, kopuła pysznéj świątyni na kolumnach wsparta, w wodzie się przegląda. Jestto Ś^{go} Piotra i Pawła kościół. Jeszcze bardziéj na lewo zieleniące się drzewami brzegi, rzecz nader w Wenecyi rzadka. Są to ogrody publiczne, chwilowego Napoleona panowania, wieczna pamiątka. Wprost między komorą a kościołem Ś. Piotra, oko ginie na ciemnych słońcem pobłyskujących morza falach, w wielkiém dopiéro oddaleniu o brzegi Lido, mdle się opiérając. Spuściwszy zaś wzrok, spostrzega się mrowisko czarnych gondolek, czatujących przy brzegu na passażerów, daléj cały las okrętowych masztów, lub skrzydlatych żagli, w pośród których krocie uwija się majtków. Taki był piérwszy obraz, jaki ujrzałam w Wenecyi!

Dwóch najprzód rzeczy trzeba się nauczyć w Wenecyi. Jakim sposobem podczas przybiérającego morza, kiedy zaleje wschody domów i na drzwi już wchodzi, wyskoczyć suchą nogą z łodzi, i w jaki sposób do gondoli wsiadać.

Pokrycie gondoli jest tak niskie i tak ciasne, iżby prawie niepodobna przodem wszedłszy, w niéj się dopiéro obrócić. Trzeba więc dobrze się zgiąwszy wchodzić tyłem, i to tém staranniéj pamiętać o tém, iż gondolier ztąd czyni wnioski, czy cudzoziemiec, którego przewozi, oddawna już gondolami jeździ, czyli świéżo do Wenecyi przybył; a w ostatnim razie zamiast 10 centymów (5 groszy polskich) taryffą przepisanych, wymaga franków 5, to jest złotych ośm. To da miarę sumienności Włochów względem obcych, i różnicy jaka tam w cenach dla nich istnieje. Ztąd to jedni utrzymują, że Wenecya niesłychanie droga, a drudzy, że nadzwyczaj tania.

Pudło w pogodę na żądanie zdejmują; gondole wytworniejsze mają na zmianę rodzaj baldachinu drylichowego, podobnego do tych, jakie u nas naśladując markizy, przed gankami na wsiach czasem robią, co daleko ładniéj, niż te czarne kirem pokryte budki wygląda, lecz krajowcy przekładają piérwsze.

Gondola jak wewnątrz tak i zewnątrz jest całkiem czarna. Sofka do koła budki, gdzie dwie

osób wygodnie, a cztéry z biédą pomieścić się może, czarną skurą obita, ściany czarno lakierowane mają dla ozdoby girlandkę biało malowaną (*). Wsiadłszy w nią nikt nie wątpi, iż dla intryg miłośnych lub zbrodni stworzona; lecz wszystkie o stroju gondolierów tak malowniczo nam przedstawiane opisy, te śpiéwy urocze, w których jedni drugim, jakoby podawali sobie strofy z Tassa, wszystko to do romansów jedynie należy. Może dawniéj, za czasów Rzeczypospolitéj tak bywało. Teraz, lubo lud z natury wesół, śpiéwać jednak przestał. Gondolier każdy po swojemu, najczęściéj jednak w łachmanach, lekko odziany, z rękawami od koszuli wyżéj łokcia podwinionemi, z czerwoną grecką czapeczką, malowniczą ma wprawdzie postać, bo go takim Bóg stworzył. Każde jego poruszenie żwawe, sprężyste, dobitne, oko czarne, płeć spalona, włosy w kędziorach wiatrem rozwiewane, wszystko razem tworzy obraz, przed którym zapewne każden artysta w zadumieniu stanie, lecz gdy na żądanie nasze który zaśpiéwał, nie było co słuchać, i daleko milszy był uchu ich słodki dya-

(*) Gdy w dawnych czasach, coraz wzmagający się nieznany gdzieindziéj przepych, do najwyższego we wszelkich szczegółach dochodził stopnia, a dochody kraju już się zmniejszały i ku schyłkowi wszystko się miało, najwyższa Rada *Somptuarna* ogłosiła prawo, w skutek czego gondole i kobiéty czarny obrały kolor. Atoli teraz gondole tylko wiernie swéj dochowują żałoby.

lekt, gdy przy spotkaniu kilka między sobą słów zamienili, lub do brzegu przybijając o miejsce dla swéj gondoli wołali.

Czasem wprawdzie wśród nocy usłyszéć się dało na mijającym statku jaką muzykę, jakieś śpiéwy, jakieś serenady; piękne to było, lecz to nie weneckie gondoliery, tylko przybyli z innych krajów majtkowie śpiéwali. Pod memi zaś oknami, gdzie była stacya gondolów i gondolierów zawsze gromada, jeden tylko już stary, gdy się upił, wyśpiéwywał swe narodowe barkarolle, a między innemi tyle nam znaną *la biondina in gondoletta*, i cudnym zupełnie właściwym wyrazem mnie zachwycał. Inni mu nawet nigdy nie wtórowali.

Po piękności mężczyzn, piérwsza rzecz co w Wenecyi uderza, jest nadzwyczajna brzydkość kobiét z pospólstwa. Jeżeli się napotka jaka piękna twarz, to pewno w latach 18 lub 20, i to jeszcze opuszczenie w ubiorze do najwyższego posunięte stopnia, włosy nieuczesane, najeżone, suknia wązka, ciasna, nigdzie należycie nie spięta, nie świéża, saméj młodości ujmują wdzięku. Lecz około trzydziestego roku cóż to za szkaradne robią się z nich baby! Tylko czarownice, jakich w kolebce przy opowiadaniach nianiek, w dziecinnéj wyobraźni utworzyliśmy straszliwy obraz, mogą im wyrównać.

Narodowego charakterycznego stroju, nie widać tam wcale. Wszystkie kobiéty tak niby ubrane jak u nas po kawiarniach małych miasteczek, brudne dziewczęta i gospodynie. Do kościoła w święta mieszczki zarzucają wprawdzie na głowę wual czarny, jestto jeszcze jedyna rzecz jaką z dawnego swego zachowały ubioru. Lecz i z pod téj zasłony, która bynajmniéj nie szkodzi piękności, rzadko piękne dadzą się spostrzedz rysy.

W hotelu Europy, śniadać tylko można było u siebie, lecz na obiad o godzinie czwartéj, na odgłos dzwonu, wszyscy musieli się schodzić do jadalnéj sali. Mimo méj nienawiści do *table d'hote* i ofiary jakie zwykłam po hotelach czynić, płacenia drugie tyle dla uwolnienia się od tego ogólnego stołu, tam musiałam poddać się zwyczajowi. Żadna bowiem ofiara, nawet wymówka słabością mi nie posłużyła.

Wszystkie w Wenecyi domy, mają na każdym piętrze, najczęściéj w środku, czasem na boku, dużą salę, całą ich szerokość wskróś przecinającą. Ta sala oświetlona od ulicy rzędem długich od sufitu do podłogi okien, najczęściéj gotyckiego stylu, tak między sobą zbliżonych jakby w szklarni, wysłana jest marmurem i daje do innych pokoi wejście. W niéj to gdy drzwi przeciwne otwarte i powietrze przeciąga, w wielkie upały jedynie oddychać można.

W takiéj sali w hotelu Europy, stał długi stół na pięćdziesiąt zasłany osób. Okna były otwarte, na stole przy każdéj karafce, czarka z lodem stała, lecz dla niektórych co się lękali ciągów, drzwi musiano zamykać. Obiad, lubo w porównaniu z niemieckiemi obiadami nie zbyt obfity, trwał najmniéj godzin dwie. Przy deserze sala już się gorącéj łaźni równała, termometr by pewno wyżéj 30 stopni wskazywał. Ledwo można było odetchnąć. Dla mnie było to męczarnią i chorobą.

Tam wszystkie się naturalnie spotykały narody; dziwnym trafem brakło wówczas tylko Polaków. Od końca gdzie dla mnie i méj towarzyszki naznaczono miejsce, zasiadała bardzo liczna familia Rossyjska. Były to dwie siostry wysokiego urodzenia, jedna z Kazania, druga z Petersburga, które już od lat kilku we Włoszech z dziećmi i krewnemi przebywały. Piérwsza wybiérała się napowrót do Kazania, druga z dwoma dorosłemi córkami miała zimę w Wenecyi przepędzić. Obie dobrze wychowane i grzeczne, a mianowicie ostatnia pani J...off bardzo miła osoba.

Obok nich siedziało francuzkie grono. Był to, jak się późniéj dowiedziałam, architekt, człowiek już nie młody z żoną i drugą nieco młodszą damą. Architekt z żoną obleciawszy całą Europę, poznawszy wszystkie kraje i morza: Baltyckie, Czarne i Srodziemne, wracał do ukochanego Paryża; druga

zaś dama, którą zrazu mniemałam ich córką lub siostrą, zupełnie im była obcą. Poznali się w Rzymie, razem z Rzymu do Wenecyi przybyli, lecz tam się rozstać mieli z sobą.

Przez dwie godzin codziennie patrząc na siebie, niepodobna w końcu kilka słów niezamienić. Pani J....off zkąd inąd uwiadomiona kto jestem, i dla czego przybyłam, a obeznana z Wenecyą i właśnie szukająca dla siebie na zimę mieszkania, ofiarowała się i mnie ulokować w sposób dogodniejszy i tańszy niż w hotelu, a nie przestając, jak to najczęściéj bywa, na słowach, całkiem się mną zajęła. Pan Schâle architekt, poznawszy, jak twierdził, z méj mowy, żem była w Paryżu, nie mógł się oprzeć chęci rozpoczęcia zemną rozmowy. Ztąd przy drugim lub trzecim obiedzie, w naszym kącie ciągłe i nieustanne toczyły się wspólne rozprawy, a gdy wstawszy, każdy co prędzéj biegł na balkon dla uchwycenia powietrza, tam się one jeszcze przedłużały.

Dla mnie przedmioty łatwo się nasuwały, od pani J....off uczyłam się poznać Wenecyą, od pana Schâle Rzym, gdzie miałam zamiar po lagunowych kąpielach przepędzenia kilku miesięcy. Lecz pani Serval, owa druga Francuzka, od któréj nikt z nas nie miał nic do nauczeniu się, rzadko znalazła sposobność rozwinięcia swego gustu i narodowego talentu do rozmowy i opowiadania. Najczęściéj się

określać musiała na ubolewaniu nad nieszczęsnym Sirocco, który niedozwalał zwiedzania ciekawości miejscowych, i niesłychanéj ztąd nudy. W końcu jakby z rozpaczy podała myśl, iżby przez całe tego wiatru trwanie, każdy z nas kolejno po obiedzie opowiedział jakieś prawdziwe swoje, lub przynajmniéj z kraju swego wydarzenie. Myśl ta, która zawiérała potajemną nadzieję niejakiego objaśnienia przeszłości, zawsze ciekawéj, w tego rodzaju znajomościach została przyjętą. Los miał oznaczyć koléj opowiadania. Ja nieszczęściem wyciągnęłam piérwszy węzełek, pani Serval drugi, inni dalsze numera. Obiecałam moją powieść na dzień następny, a w duchu przyrzekałam sobie jak najkrótszą wynaleść, by co prędzéj ustąpić pola méj następczyni.

Nazajutrz rano, gdy do obiadu jeszcze daleko było, lubo wiatr wiał jak zwykle, lecz słońce cokolwiek się chmurami pokryło, i zdało mi się, że bez przepałenia mózgu, będę mogła parę uliczek przebiedz; zachciało mi się mszy św. wysłuchać, i kazałam się do najbliższego zaprowadzić kościoła.

Wielu mniema, iż w Wenecyi nie można kroku bez gondoli stąpić, że tam nogi swéj zapominają władzy; z romansowych opisów takby istotnie wnosić należało, gdy tymczasem *w prozaicznéj* prawdzie, rzeczy się zupełnie inaczéj mają.

Każdy pałac wenecki, którego wschody a czasem sień od frontu morzem zalana, gdy na ujściu dwóch kanałów stoi, to i boki w nich kąpie, ma od tyłu na stały ląd wyjście na uliczkę, tragetto, (przejście passage) tam zwane, po krakowsku mówiąc, przecznice, takie któreby raczéj kurytarzykami zwać należało, tak ciasne, iż we dwie osób przejść trudno, a wyminąć się z drugą parą niepodobna, krzyżują się na wszystkie strony, i jakby jaką siecią pokrywają te 70 wysepek, na których spoczywa Wenecya, a dotykając do szerszych nieco uliczek, podwórków, dziedzińców, to calle, to corte lub campo zwanych, połączone krociami małych mostków, rzuconych na krzyżujące się także na wszystkie strony kanały, dozwalają prawie całe miasto, to jest te siedmdziesiąt połączonych miast, suchą przejść nogą. (*)

Ale Wenecyanie chodzić nie lubią, chodzą tylko z musu, z biédy, a z rozkoszy statkami pływają, woda tak zdaje się ich żywiołem, jak laguny ojczyzną.

(*) Uliczek takich liczy Wenecya 2108, kanałów prócz dwóch dużych głównych, ma 147, a mostków 306, które wszystkie z marmuru lub ciosowego kamienia. Miasto podzielone na 6 części, dla swéj liczby *sestieri* zwanemi, liczy domów i pałaców 27,918, a mieszkańców około 120,000. Szczycili się tém, iż nigdy ani szturmem, ani oblężeniem zdobyć go nie zdołano.

I w rzeczy saméj pieszy spacer po Wenecyi, jest daleko bardziéj utrudzający niż przyjemny. Prócz tego, iż nader drogę przedłuża, bo miasto wężem się wije, a ztąd z jednego punktu do drugiego daleko króciéj kanałem wprost linią przeciąć, niż iść do koła; w dzień te traghetti, corte, calle, od rozegrzanych słońcem murów i flizów, któremi wyłożone, rozpalonemu do pieczywa pieca w stopniach ciepła nie ustępują, odetchnąć w nich trudno; wieczór przepełnione ludem, który, jak mówiłam, przy księżycu żyć dopiéro zaczyna, przecisnąć się w nich prawie niepodobna, a nadto co kilka kroków napotykane mostki, więcéj jeszcze niż to wszystko utrudzają i męczą. Mostki te bowiem dla żeglujących pod niemi bardzo wywyższane, po kilka wysokich wschodów z obu stron mają, a te ciągłe wchodzenie i schodzenie nieznośnym się wkrótce stanie. Mówiono mi, iż w zimie, gdy czasami śniég spadnie, a mróz czy przymrozek go ściśnie, schody te stają się największych przypadków przyczyną.

Lecz z hotelu Europy, domyślałam się, iż niedaleko do kościoła być musi; ciągły prawie bez przerwy dzwonów odgłos, który nie nawykłemu do nich dniem i nocą w uszach tętni, dostatecznym był dowodem.

Istotnie Wenecya tak jest przepełniona kościołami, iż ludność im nie wystarcza, a lubo najczęściéj

puste i mszy rzadkie, co dowodzi małą ilość księży, niemiłosiernie w nich bez przestanku dzwonią. Mnie zaprowadzono do najgłówniejszego, do tyle słynnego kościoła Ś. Marka.

Gdym wyszła tylnemi z domu drzwiami, znalazłam się w jednéj z tych ciasnych, dusznych, posępnych przecznic, brak miejsca i gruntu dowodzących. Przyśpieszyłam kroku, by ją prędzéj przeminąć, a w końcu jéj, ujrzałam o parę łokci szerszą uliczkę; w niéj więcéj powietrza i jasności, a po obu stronach szereg sklepów i w sposób paryzki porozwieszane towary. Druga podobnaż na lewo, doprowadziła mię do rodzaju perystylu czyli przedsionka na arkadach i kolumnach wspartego, którym się na plac Ś. Marka wchodzi. Wejście to przypomniało mi nadzwyczaj podobneż w paryzkim Palais Royal, jakoż się dowiedziałam, że jest na wzór tamtego, z rozkazu Cesarza Napoleona wzniesione, równie jak i część gmachów tworzących czwarty bok placu, a który także Palais Royal nazwać kazał.

Przed rokiem 1809, gdzie tam ujrzano orła, który w szybkim przelocie nie jedną w Wenecyi, jak i w całej prawie Europie, zostawił pamiątkę, plac Ś. Marka z dwóch stron symetrycznie wspaniałemi zabudowany gmachy, w głębi świątynia Ś. Marka, zamknięty z czwartéj strony, niewdzięcznie jak sobie wyobrażam, kończył się kościołem

nieznanego u nas Swiętego Geminiona. Ten lubo Sansowina ozdobiony dłutem (którego zwłoki w przyległéj spoczywały kaplicy, właśnie w miejscu gdzie teraz wzmiankowany przedsionek) nie musiał bardzo pysznie naprzeciw Bazyliki Ś. Marka wyglądać.

W dawniejszych jeszcze czasach, plac ten kończył się z téj strony kanałem, który późniéj dla uzyskania nieco miejsca zasypać kazano. Teraz jest czworoboczny, o niemal drugie tyle długi jak szeroki; u nas i w innych *lądowych* miastach, wyglądałby wcale nie duży, lecz w Wenecyi za ogromny uchodzi, bo tam jest największym.

Dwa jego długie ramiona, nieco odmienne, na piérwszy rzut oka zupełnie podobne do siebie się wydają. Wszystkie mają od dołu pod arkadami kryte galerye, w których ozdobne sklepy i wielka liczba kawiarń i cukierniów, wszystko razem dość do Paryzkiego Palais Royal podobne. Od góry dwa rzędy jedne nad drugiemi, długich zbliżonych między sobą w łuk zakończonych okien.

Lewa strona tych gmachów, teraz w rozmaite przeszła ręce, była niegdyś własnością wielkich urzędników Rzeczypospolitéj, Prokuratorami zwanych, i ztąd nosi jeszcze dawniejszą nazwę *Procuratie vecchie.* Przeciwległe zaś galerye z późniejszéj daty dla odróżnienia zowią *procuratie nuove.* Podobneż trzeciéj strony sklepienia, jako najpóźniejsze nazywają *nuova fabbrica.* Ta część przeciwległa

Ś. Marka, królewskim jak mówiłam pałacem (Palais Royal) ochrzczona, jest rezydencyą Monarchy lub Książąt z krwi jego, gdy przebywają w Wenecyi.

Wprost przed Kościołem Ś. Marka stoją trzy wysokie maszty. Na nich powiewały niegdyś trzy weneckie chorągwie, na pamiątkę jéj potęgi rozciągającéj się na Królestwa Cypru, Kandyi i Morei. Podstawy tych masztów ozdobione rzeźbami, przedstawiają rozmaitych bożków morskich.

Na lewo wielka budowa kończąca *procuratie Vecchie* zwana, *Wieżą zégara.* Wieża ta z bramą, wejście do ciasnej bocznéj uliczki, marmurem i brązem ozdobiona, mieści na szczycie zégar, ze skrzydlatemi z ciemnego spiżu figurkami, *czas* i *śmierć*, z dwóch stron dużego podobnegoż dzwonu stojące. Ten skrzydlaty *czas*, ta sroga *śmierć* co kwadrans uderzeniem młota w dzwon, przypominają: piérwszy że już bez powrotu uleciał, druga: że o tyle się zbliżyła o ile tamten ustąpił.

Ta mechaniczna sztuka po raz piérwszy w roku 1499 zrobiona, późniéj zepsuta i dopiéro w r. 1755 przez sławnego Ferrocina naprawiona, była mu 8,500 dukatów zapłaconą.

Na prawo dzwonnica Ś. Marka, piękna i nadzwyczaj wysoka, z któréj ciekawi idą oglądać obszerny widok na miasto, Alpy i Adryatyckie morze. U stóp jéj mała i ładna budowa płaskorzeźbami i posąga-

ḿi ozbobiona. Była to łoża w któréj za czasów Rzeczypospolitéj, prokurator dowodzący gwardyą, podczas zbiorów wielkiéj Rady Państwa, miał powinność czuwać nad jéj bezpieczeństwem.

Za dzwonnicą postrzega się ukosem część pałacu Dożów, stojącego na małym placyku *la Piazzeto* zwanym, który to placyk jest jakby odnogą wielkiego Ś. Marka placu.

Lecz na inną chwilę odłożyłam rozbiór pałacu i piazzety, bo wówczas całą uwagę na bazylikę Ś. Marka zwrócić musiałam, i czułam iżby trudno było zaraz ją ztamtąd oderwać.

Swiątynia ta nim uderzy pięknością, piérwéj jeszcze dziwacznością zadziwia. Niema ona w swiecie podobnéj sobie współzalotniczki, i nic w architekturze nie istnieje, coby w porównanie z nią iść mogło. Żadna ze sławnych katedr jakie widziałam w naturze, rysunku, lub w opisach, w najodleglejszy sposób weneckiéj nieprzypomina. Jestto piękna kobiéta słynna wdziękami i bogactwy, która w pewności że jéj wszystko ujdzie, wdziała zawój turecki na czoło, a krzyż Chrystusa na piersi, nie wątpiąc że jéj i tak pięknie będzie. Jestto utwor śmiałego kaprysu, co jakby z dzisiejszéj szkoły poeta, wzgardziwszy wszystkiemi sztuki prawidłami chce dowieść, że i bez nich można podziw i uwielbienie obudzać.

Jak Wenecya jest w świecie jedna, tak i jéj Katedra jest jedyną; którażby naprzykład śmiała nad głównym wejściem, zamiast krzyża, lub innego wiary naszéj godła, postawić cztéry konie?

Już to w całéj Wenecyi daje się postrzegać ta jéj dawna duma. We wszystkich budowlach nigdzie niema dla przepisów poddaństwa, nigdzie jedności porządku, czystości stylu. Wszędzie obok mieszaniny wszelkich architektury prawideł, nadzwyczajny przepych snycerstwa, przesycający zbytek ozdób, częstokroć swą obfitością samym sobie szkodzących, a przez to wszystko jakaś skłonność do orientalizmu się przebija.

Obok tych kilku środkowych w każdym domu okien, do oświetlenia głównéj sali (bez któréj jak się zdaje żyćby nie mogli) okien długich, jak w szklarni zcieśnionych, z balkonem, najczęściéj gotyckiego stylu, tuż zaraz pod niemi, jońskie, dorychkie, lub kręcone arabskie kolumny, a ozdoby z wieku odrodzenia często pomieszane z byzantyńskim, sielskim albo lombardzkim smakiem. Ta cała mieszanina, która z razu może nie jednego *purystę — architekta* Grecyi lub Rzymu wychowańca, zraziła oko, nosi jednak swój właściwy, a może niepośledni charakter. Należałoby ją nazwać stylem weneckim, tém bardziéj, iż to same zuchwalstwo, które dało pomysł wzniesienia wspaniałego z głębi morza miasta, i tę zuchwałą utworzy-

ło architekturę jéj pałaców; że ta zarozumiałość ta w sobie ufna duma, która z kilku wygnańczych lepianek, stopniowo zrodziła ową do dziś dnia podziwianą Wenecyą, z kilku Zampów, Zbogarów Fra-diawolów z ludzkiego wypchniętych społeczeństwa, dziwny naród, co bez gruntu, bez kraju, innym późniéj krajom przepisywał prawa (*), taż mówię harda zarozumiałość, nigdy nie przyjmująca wzorów, brzydząca się naśladownictwem, w swéj architekturze jak i we wszystkiém jest jedyną i samoistną.

W kościele Ś. Marka toż samo się objawia. Front jego z cztérech, w dwóch rzędach kopuł (naprzód trzy za niemi czwarta), łączy grecką z arabską architekturą. Jestto dzieło nie jednéj ręki i nie jednego wieku. Żadnéj tam nietrzeba szukać jedności.

Nad głównemi drzwiami, które w pośród ogromnéj ilości marmurowych kolumn, czarną w głębi wiejącą zasłoną, nietylko oko, ale kroki nawet zrazu wstrzymują, stoją owe cztéry sławne brązowe konie, sławne starożytnością, sławne wędrówkami swemi. W roku 1205 zdjęte z Carogrodzkiego Hippodromu i ofiarowane Wenecyi, przez jéj w Konstantynopolu Padestę Marina Zeno, w r. 1797,

(*) Wenecya wzięła początek od kilku zbrodniarzy, którzy na wieczne skazani wygnanie, ze wszystkich wypychani krajów, schronili się w końcu na błota, w odludne adryatyckich bagien pustynie.

drugą zwycięzką ręką zdjęte z Świętego Marka Bazyliki i do Paryża posłane, podobnąż koleją z Tuileryjskiéj zeszły tryumfalnéj bramy, a w 1815 roku na poprzednie wróciły miejsce. Początek ich niewiadomy, lecz gdyby wierzyć badaczom starożytnych zabytków, mają wedle jednych mieć pochodzenie rzymskie z czasów Nerona: według innych są dziełem greckiém z wyspy Chio, przeniesione do Caragrodu w piątym stóleciu, z rozkazu Teodozyusza. Mimo lat tylu znać na nich jeszcze reszty pozłoty.

Z obu stron drzwi głównych, czworo podobnychże drzwi spiżowych, nad któremi rodzaj kapliczek czyli ostrołukowych framug z mozajkowemi obrazami; wszędzie marmur, wszędzie bogactwa, przepych.

Gmach ten prócz głównéj od gmachu Ś. Marka facyaty, tak z prawego jako i z lewego boku, ma dwie osobne zupełnie inne. Na nich między nieskończoną ilością rzeźb i ozdób wszelkiego rodzaju, wszelkich narodów i czasów, widać i egipskie hieroglify i greckie bohatéry, a nawet mitologiczne bożyszcza. Tu od strony Piazzeti zwróciła tylko co uwagę porfirowa rzeźba przedstawiająca Arystogitona i Harmodiusza zabójców ateńskiego Hippaha; tam z przeciwnéj strony podziwiasz prześliczną Cererę na rzymskim tryumfalnym wozie smokami wiezioną.

Ta rozliczność połączonych, czyli raczéj dziwacznie zbliżonych przedmiotów, nagromadzonych bogactw bez względu na rodzaj, na miejsce, czyni wszelki opis prawie niepodobnym, który gdyby nawet najsumienniéj dokonany, nie dałby jeszcze dokładnego o całości téj świątyni wyobrażenia.

Toż samo i o jéj wnętrzu powiedziéć można. Pan Quadri tegoczesny wenecki pisarz, całe temu poświęcił pracowite dzieło, a pilnie je przeczytawszy, unosi się tylko przekonanie, iż niezdoła zastąpić jednego rzutu oka. Dość powiedziéć, że samych kolumn z marmuru, porfiru, serpentynu, malakitu, spiżu, alabastru orientalnego i innych, jest pięćset! Że podłoga temi precyozami wysłana (na nieszczęście miejscami mocno już wydeptana), mury od góry do dołu mozajkami lub obrazami wielkich mistrzów pokryte. Ołtarze, pomniki i nagrobki, o które się trącać trzeba, tak ich tam pełno, ozdobne najpiękniejszemi posągami, rzeźbami, świecznikami ze złota lub srébra, z najdawniejszych jak i późniejszych czasów.

Świątynia ta mniéj powinna być jako kościół, niż jako zbiór wszelkich rzeczypospolitéj kosztownych zabytków, jako jéj skarbiec uważana; przez długi lat i wieków przeciąg, składano tam wszelkie jéj zwycięzkie, czy to w kunsztach, czy to w bogactwach, lub inne zdobycze. Każdy Doża starał się czém bądź uwiecznić tam swego panowania pa-

męć, co tłómaczy ten z razu niepojęty w katolickim kościele zbiór, to zbliżenie Chrystusa z Harmodyusza, Matki Boskiéj z Cerery obrazem.

Przeszedłszy téż dwa rzędy spiżowych podwoi, (bo między pięcią frontowemi drzwiami, a trzema temi co już do samego prowadzą kościoła, jest przestrzeń, rodzaj sieni pełnéj ołtarzy, mozaik, posągów), przeszedłszy mówię téj wspaniałéj bazyliki progi, można się raczéj mniemać w greckiéj cerkwi, niż w kościele wyznania rzymskiego. Nawa jak w cerkwiach od reszty kościoła odgrodzona, a ten przedział, ta ściana pokryta bizantyńskiego gustu na złotym tle malowaniami, zupełnie obce naszym kościołom sprawia wrażenie.

Katedra Ś. Marka ma i swój skarbiec. Można z tego co w tém kościele dotąd pozostało wnosić, jakie bogactwa ten skarbiec posiadać musiał, lecz teraz już same w nim pozostały relikwie i relikwiarze. Widać iż złoto i srébro więcéj niż te świętości znalazły amatorów.

POŻEGNANIE
KONRADA Z MEDORĄ
WYJĄTEK
Z POWIEŚCI LORDA BYRONA
KORSARZ
przekładu Ant. Edw. Odyńca.

(Z ryciną).

.....Tak dumał w sobie, aż idąc ponury
Doszedł do wieży na wierzchołku góry.
Wstrzymał się u drzwi — głos się ozwał w ciszy,
Głos, co choć często, zawsze on rad słyszy;
I taką piosnkę posępnéj czułości
Nócił z za kraty jego ptak — piękności.
„Żyje w méj duszy myśl — tajemnica,
Drży mi na ustach, gore w spójrzeniu,
Gdy obok ciebie patrzę w twe lica;
I znów się w dawném kryje milczeniu.“

„Jak lampa w grobie skryta przed okiem,
Myśl ta w mém sercu błyska i tleje,
Smutek jéj blasku nie ćmi swym mrokiem,
Choć sam jéj blaskiem nie rozjaśnieje.“

„Przyjdź, gdy ja umrę, do méj mogiły,
Pomódl się za mnie, łzę wyléj po mnie;
Téj tylko myśli znieść nie mam siły,
Że ty mój luby, zapomnisz o mnie! — “

„Nie wstyd jest płakać zeszłych ze świata.
Raz piérwszy proszę — łzy i wspomnienia,
Będzie to piérwsza, jedna zapłata,
Mojéj miłości, mego cierpienia.“

Porwał się Konrad, pchnął drzwi i z pospiechem
Wszedł, — strony arfy brzmiały jeszcze echem,
„Smutna, Medoro, jest twoja ballada! — „
— „Chciałżbyś wesołéj, gdy niéma Konrada?
Gdy ciebie nie ma, a żal miota duszą,
Tęskne się myśli w pieśniach zdradzić muszą.
Każdy ton, serca uczucia wydaje;
Lecz choć pieśń milczy, boleść nie ustaje. —
Ach! ileż nocy na bezsenném łożu,
Marzę jak we śnie o skałach, o morzu;
Zmierzcha — ja myślę że niebo się chmurzy,
Wiatr ledwo szemrze, mnie słychać szum burzy;
Cóż gdy posępném odezwie się wyciem?
Zda się, że jęczy nad twojem rozbiciem.
Zrywam się, patrzę, czy stróże nie karni
Nie dali zgasnąć portowéj latarni,
I o pogodę gwiazd pytam oczyma.
Nastał poranek — ciebie jeszcze niema —
Jak w tedy zimno na me serce wiało,
Jak przez łzy słońce mgliste się zdawało!
Patrzę i patrzę dzień cały — daremnie!
Konrad gdzieś jeszcze daleko odemnie.
Wreście — postrzegam maszt, okręt, tu płynął,
Witam go, czekam — zbliżył się — i minął.

Znów drugi — twój był — powróciłeś z boju.
O mój Konradzie! mam — li w niepokoju
Zawsze tak czekać? — nigdyż serca twego
Nie ujmie powab szczęścia spokojnego?
Masz dosyć skarbów — ach! więcej niż trzeba —
Znajdziem kraj milszy, pogodniéjsze nieba,
Pójdźmy! — o siebie wiesz że się nie boje —
Lecz twoje szczęście — lecz ach! życie twoje!
Dziwne twe serce! gdy dla mnie tak tkliwe,
Tak srogie dla się, i tak nieszczęśliwe! — "
—„Tak, moja luba; dziwne jest to serce.
Zwiedli je zdrajcy, zelżyli oszczerce,
Jak płaz zdeptane, lecz mści się jak żmija.
Ludzie w nie wleli jad, co ich zabija.
Bez żadnéj ulgi na ziemi, prócz Ciebie,
Ze mdłą nadzieją przebaczenia w niebie,
W duszy się mojéj tak wiąże i splata
Miłość dla Ciebie, z nienawiścią swiata,
Że gdy się jedna, wraz druga ostudzi;
Przestałbym ciebie, gdybym kochał ludzi.
O to się nie bój! przeszłość moja cała
Ręczy, że przyszłość nie będzie się chwiała.
Lecz uzbrój serce — raz jeszcze, Medoro,
Dziś — muszę jechać — ale wrócę skoro. — „
— „Jechać! dziś jeszcze? — ach! jam to przeczuła,
Tak znikły wszystkie sny com sobie snuła,
Marząc o szczęściu! Lecz dziś? — być nie może,
Łódź ledwo przyszła, masz znów iść na morze?
Nie czekać drugiéj? znużeni jéj ludzie
Muszą choć chwilę odpocząć po trudzie.
Nie! ty, mój luby, chcesz przez to udanie
Poznać, nauczyć, jak mam znieść rozstanie.
Igrasz z mém sercem — ono ci wybaczy,
Lecz z takich żartów blisko do rozpaczy. —

Milcz, milcz Konradzie! — nie jedziesz dziś — wierzę.
Pójdź dzielić ze mną twą skromną wieczerzę.
Nikt prócz mnie nie śmiał tknąć jéj, ni zastawić.
Lekki trud wprawdzie ucztę ci przyprawić!
Owoc ten rwałam z najwyższego drzewa,
Im bliżéj słońca tem prędzéj dojrzewa.
Trzy razy górę obiegłam, nim w cieniu
Najświeższą wodę znalazłam w strumieniu.
Pójdź, niech cię sorbet orzeźwi po skwarze,
Patrz jak się iskrzy w kryształowéj czarze.
Wina ty nigdy kosztować nie raczysz,
Drzysz jak muzułman, gdy puhar obaczysz;
Nie sądź że ganię — o nie! — to mnie cieszy,
Że i w tém nawet różnisz się od rzeszy.
Lecz pójdź! stół gotów ja okna zasłonię,
Srebrna ta ampa, patrz, jak jasno płonie.
Wezwę mych dziewic, niech zaczną w około
Lub raźny taniec, lub piosnkę wesołą.
Lubisz mą arfę — czy chcesz? — wnet nastroję;
Lub jeśli wolisz, będziemy oboje
Czytać z Aryosta Olimpii żale,
Gdy zdrajca spiącą zostawił na skale;
Po tobie jednak mnie byłoby smutniéj,
Gdybyś dziś jechał zrobiłbyś okrutniéj,
Okrutniéj nawet niż Tezeusz zdradny.
Wiem, ty się smiejesz, gdy ci aryadny
Wyspę nie kiedy wskazuję z wysoka,
A mnie myśl smutna łzy pędzi do oka:
Gdyby mnie kiedy Konrad tak porzucił? —
Aleś ty lepszy, tyś do mnie powrócił.“ —
— „Wróciłem, luba, i powrócę znowu,
Zawierz miłości i Konrada słowu,
Wrócę, i rychło — lecz teraz już chyża
Chwila rozstania na skrzydłach się zbliża.

Gdzie, po co jadę? na co długie słowa,
Gdy je ma skończyć najgorsze: Bądź zdrowa.
Odkryłbym jednak — lecz już czas zbyt drogi.
Nie bój się, wcale nie straszne są wrogi.
Tu ci zostaje straż silna, podwójna,
Będziesz bezpieczna — o mnie bądź spokojna,
Nie baw samotna gdym ja oddalony,
Jadących zemną poruczam ci żony.
W tem miéj pociechę, że po tém zwycięztwie
Nagrodę trudów znajdziem w bezpieczeństwie.
Słyszysz! dźwięk trąbki? ha! łódź już gotowa.
Jeden wzrok, uścisk, — raz jeszcze — bądź zdrowa!

Łkając na szyi zawisła rękami,
Drżące w nim serce czuje pod ustami,
On nie śmiał podnieść, nie śmiał znieść widoku
Bladości w twarzy i rozpaczy w oku.
W całéj dzikości bez ładnego wdzięku,
Włos jéj po jego rozesłał się ręku;
Stłumiony oddech i mdłe serca bicie,
Swiadczą w niéj tylko cierpienie i życie.
Zabrzmiał huk dział — odjazdu godzina,
Słońce zachodzi — on słońce przeklina.
Strzał drugi, trzeci — ścisnął z uniesieniem
Niemą od żalu, proszącą milczeniem,
I drżącym krokiem zaniósł ją na łoże;
Spojrzał z rozpaczą — raz ostatni może.
Dreszcz przebiegł serce — uczuł że dla niego
Prócz niéj na swiecie nic niema miłego,
Dotknął ust, zimne — spotkał wzrok, w półzgasły, —
Zwrócił się nagle — drzwi z łoskotem trzasły.

LISTEK
Kochanka do swéj Miłéj
przy przesłaniu jéj jabłek,

z rękopismu Biblioteki Akademii Krakowskiéj, z wieku XVI,

pod znakiem B. 66. 11. 21.

Jabkiem Jewa zgrzessela, jabkiem tulą dzieci,
Jabkiem syę y zalotnik swej miłej zaleci
Przez ty jabka, cna Panno! uznawaj chęć moje.
A bąć pewna że o twa przyjaśn szczyrze stoie.
Tylko nie gardź, ani tess osoby ponizay,
A mą wierną życzliwość przeciwko sobie znay.

ZZI

FRANCUZI I FRANCUSZCZYZNA

NA DWORZE

JANA KAZIMIERZA

KRÓLA POLSKIEGO.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

Ludwika Paprockiego.

FRANCUZI I FRANCUSZCZYZNA

NA DWORZE

JANA KAZIMIERZA

KRÓLA POLSKIEGO.

I.

W bogatéj komnacie królewskiego zamku w Warszawie, hojnie przybranéj w sprzęty gotowalni kobiécéj, przed dużem zwierciadłem weneckiém w szyldkretowéj osadzie, siedziała miękko rozparta w aksamitném, złotą frędzlą upstrzoném rozłożystém krześle, poważna postawą acz nie wielkiego wzrostu, lecz uderzająca wyrazem troski i przebiegłości na twarzy matrona.

Była to Marya Ludwika Gonzaga, króla Jana Kazimierza małżonka.

Przy krześle stał filar marmurowy, a na nim oprawna w złoto czara w postaci smoka z jaspisowego kamienia, w któréj służebna niewiasta zanurzała bezustannie dużą gąbkę, i tą gładko ułożone na głowie włosy swéj pani napawała obficie, rozlewając w około dojmującą woń piżma i innych zamorskich wonności.

Zatrudnienie to przerywała czasami, sięgając ręką już do kubka złotego w postaci pawia z rozstrzępionym ogonem, już do misternie wyrobionego pudełka w kształcie serca ze złota, strzałą koralową przebitego, i dobytemi z nich przyprawami, to barwiła i muskała brwi uległéj swéj pacyentki, to znowu przylepiała do twarzy kunsztownie wykrajane muszki z czarnéj kitajki, które co chwila przenosiła od nosa do brody, od lewego do prawego policzka, w miarę jak zachodząc z przodu wprawném okiem oceniała effekt i przypadłość do twarzy téj uderzającéj ozdoby.

Bez żadnéj oznaki niecierpliwienia się, z zupełném poddaniem się znosiła pacyentka te łoskotliwe i nie zawsze przyjemne poruszenia swéj gotowalnianéj mistrzyni; owszem z wyrazu jéj oblicza dawało się czytać, że myśl jéj tak była daleką od chwili obecnéj, takie władało nią roztargnienie, iż nawet nieobudziłoby jéj uwagi drażliwsze nieró-

wnie obejście się, nad owe miękkie i usypiające dotknięcia rąk wprawnéj oddawna służebnicy. Wzrok zatopiony głęboko, troską zorane czoło, ożywiło się wtenczas tylko wyrazem oczekiwania i niecierpliwości, gdy w stojącym na dużym okrągłym stole złocistym zegarze zaszeleściły koła, i zabrzmiał dźwięk trąbki, z biciem bębna zmięszanéj, zwiastując ubiegłą godzinę.

Długo i przewlekle jednotonne powtarzały się dźwięki, ówczesne bowiem zegary, z Włoch po większéj części sprowadzane, obyczajem włoskim mierzyły dobę na godzin 24. Zdawało się, że rozbiegłe myśli królowéj nie mogły na tak długie zdobyć się zastanowienie; bo nierychło przed ostatnim dźwiękiem, rzekła zniecierpliwiona:

— „Zobacz, Małgorzato, która to wybija godzina?”

— „Dwódziesta czwarta,” odpowie służebnica, rzuciwszy wzrokiem na tarczę zegara.

— „I jeszcze niema Margrabiego, rzeknie do siebie Królowa zrywając się z krzesła i szybkim krokiem przebiegając komnatę. Gdy się tak przeciągają sejmowe obrady, źle to wróży mym planom. Śmieliżby pogardzać moją wolą i łaską uwalniając winowajcę, którego ocalenie byłoby zgubą wszystkich tak drogo i pracowicie okupionych nadziei? Bież do mojéj loży w sali sejmowéj, i powiedz Margrabiemu d'Arbeil, że go oczekuję bez

zwłoki,—rzeknie do swéj służebnicy, która pomknęła się ku drzwiom,—lecz te w téj chwili roztwarły się szeroko i ukazała się w nich postać wysmukła, któréj rysy wydatne lecz drobne, zamaszystą i nastrzępioną zawieszone peruką, wyglądały jak wizerunek miniaturowy w ogromnych ramach.

— „Wiktorya! miłościwa Pani, Wiktorya! wołał zdyszany Francuz, jak tylko zobaczył Królowę. Na dobre wygraliśmy sprawę. Dekret infamii, wygnania i pozbawienia urzędów na pana Hetmana na Wiśniczu i Jarosławiu, hrabiego Jerzego Lubo......"

Zamilkł nagle, bo mu dłonią zamknęła usta Królowa, mówiąc do służebnicy:

— „Idź do komnat orszaku moich panien, i powiedz, że przed udaniem się na królewskie pokoje, uwalniam je od dzisiejszego ceremoniału; ale bądź sama na zawołaniu."

— „Ostrożność, Margrabio d'Arbeil, abyśmy nietryumfowali zawcześnie, doda Królowa jak tylko służebna opuściła komnatę. Wszakże wiész, a wiész głową i czujesz sercem, rzeknie z figlarnym uśmiechem, że w orszaku moich panien znajduje się Magdalena Lubomirska, córka naszego nieprzyjaciela. To uparte stworzenie gotowe powikłać nam plany, bo już nieraz słabość dla niéj Króla oparła się mojéj nad nim przewadze. Drzę nawet aby się nam niewyśliznęła ofiara. Jeżeli Król na-

tychmiast niepotwierdzi wyroku, nie łacno go będzie oddalić z stolicy, gdzie silna a tak groźna dla naszych zamysłów partya jego, tyle już nas nabawiała kłopotów. Dziś, tak, dziś koniecznie, musi Marszałek Koronny wygnać go z obrębu swéj juryzdykcyi, choćbym miała użyć całych sprężyn mojéj władzy nad Królem. Ale opowiedz mi, Margrabio, co nam tak szczęsny zapewniło rezultat?”

— „Ślizko bardzo postępowała sprawa; uwieńczona pomyślnym skutkiem zabiegłość Waszéj Królewskiéj Mości na przedsejmowych sejmikach, dozwalała nam z pewnością opiérać się na większości obrady; lecz możnaż miéć silną podstawę w tym niesfornym narodzie? Omamiła ich niewinność pana Lubomirskiego. Niewinność! jak gdyby nie był winnym, kto śmiał stawić zawady wielkim swéj Królowéj widokom? Wymownie bronił się obwiniony; nie jeździł do związkowéj dywizyi, żadną z nią nieskojarzył się umową, lecz widział ją tylko trafem udając się w Sandomierskie. Proponowali mu wprawdzie związkowi elekcyą za życia Króla: przypadła do smaku propozycya dumnemu magnatowi; ale nieprzyjął elekcyi którąby zbrojno popierać trzeba, chociaż się nie zapierał, że jeśli wolą jest, jak wieść niesie, Jego Królewskiéj Mości rozesłać elekcyjne uniwersały, w zamiarze złożenia korony po obiorze nowego Króla, niezaniedba wystąpić jako kandydat, i cieszy się nadzieją, że obali intryg

francuzkich rynsztunek, które nam na tron Piastów, francuzkiego, jak się wyraził, prowadzą fircyka. Dodał w końcu, iż niewinność swą i bezpieczeństwo osoby, powierza prawości sejmu. Zachwiały się nasze nadzieje; ale przychylne nam głosy Arcybiskupa Kanclerza Prażmowskiego i pana Hetmana Wielkiego Potockiego, przeciągnęły nieżyczliwe zdania; inne głosy były ci, Pani, zaprzedane, a tak zdobyliśmy większość, która jedynego zadeptała nam wroga. Dziś wszystko w téj krainie korzy się przed twą mądrością i władzą. Niezwlekaj, miłościwa Pani, dokonania nieśmiertelnego dzieła, a wielki Kondeusz zasiądzie na tronie tego królestwa, i wnet drugą ujrzymy tu Francyą."

— „Tak, odpowie Królowa, z uśmiechem zadowolenia, podłechtana trafném pochlebstwem dworzanina; mam niepłonną otuchę, żem już bliską zakosztowania słodkiego owocu, którego dojrzałość obecna, tyle mię kosztuje zabiegów i starań. Ty wiész jeden, Margrabio, boś ty jeden był zawsze najdzielniejszą moją sprężyną, jak gorliwie, od jak dawna zasiewam w téj dzikiéj lecz potężnéj krainie, zarody przyszłéj dla méj ojczyzny wielkości. Żona dwóch Królów, mogłam przygotować uprawę roli, i potrafiłam rubaszność obyczajów sarmackich nagiąć do maniery francuzkiéj. Dziś dwór i szlachta Francyą tylko oddycha, i nie wątpię, że najpóźniejsza potomność nie wytępi

francuszczyzny w tym kraju. Lecz to powodzenie jest tylko przewróconą skibą, którego dzisiejszy rezultat hojne zapowiada nam plony. Rozsypie się można partya Lubomirskiego, gdy ujrzy wygnańcem swego patrona; wtenczas ostatni zadamy cios chwiejącéj się jeszcze rezygnacyi Króla na abdykacyą, a sejm elekcyjny, wśród tak przygotowanych żywiołów, ostatecznie błogie uwieńczy nam dzieło. Niezaniedbujmy jednak żadnéj, by najmniejszéj okoliczności, zdolnéj utorować przyjazny zamysłom naszym gościniec. Ten naród nieokrzesany, ale żywą i ognistą obdarzony jest wyobraźnią. Trzeba zaprószyć mu oczy, omamić go, zaćmić wystawą francuzkiéj potęgi. Niech marzy o szczęściu posiadania Monarchy z krwi panującéj dziś Francyi. Jak idą przygotowania nasze do wielkiego widowiska, któreśmy im zamierzyli wystawić?"

— „Wszystko już ukończone. Przestronna i okazała acz na prędce wzniesiona budowa, stoi obok ratusza w téj stolicy. Sam czuwam i kosztów nieszczędzę, aby całość odznaczała się przepychem godnym wielkiego przedmiotu naszego. Czterech dni najwięcéj potrzebujemy do ostatecznego przygotowania się. Jeżeli więc wola Waszéj Królewskiéj Mości, za cztery dni dwór cały i szlachtę w stolicy obecną na widowisko zaprosić możemy. Sam przedstawię Cesarza Niemieckiego, składającego berło w ręce wielkiego Ludwika, zwycięzcy Europy. Sło-

wem upewniam cię, miłościwa Królowo, że wspaniałość przysposobionego widowiska, zdolną jest omamić i zaćmić stokroć kształtniejsze i wytworniejsze umysły, nad tę prostaczą szlachtę, która nic więcéj niewidziała nad swe obszarpane klechdy, żakowskie dyalogi i tany niedźwiedzie."

— „Dzięki ci, kochany Margrabio; cóżbym poczęła bez ciebie? Tyś najszacowniejszym darem, jakim mię pocieszyła Opatrzność, obarczając mię trudném dziełem spełnienia jéj wyroków dla téj niewdzięcznéj krainy. Lecz już dobijamy do portu. Kilka chwil cierpliwości, a stanowcze okrzykniemy zwycięztwo: wtenczas Margrabia d'Arbeil sam oznaczy cenę wielkich swych zasług, choćby miał żądać całego złota, na którém się przewalają dumni magnaci téj ziemi."

To rzekłszy Królowa w głębokie wpadła roztargnienie. Dusza nawykła do intryg, ambicyi i niepokojów, czyliż się zastanawiała nad perspektywą nieczynnéj, ustronnéj, a może nawet niewdzięcznością zakłopoconéj roli, gdy już skutek uwieńczy pełne trosk, pracowitego znoju i bezsenności życia całego zabiegi?

Francuz tymczasem kręcił się, podnosił i siadał znowu, tarł w ręku wielki kapelusz, otwierał usta i zamykał je z wyrazem niepewności, słowem, widocznie był pożerany żądzą korzystania z przychylnych usposobień Królowéj dla swych skrytych wi-

doków, które usiłował w najkorzystniejszych przedstawić kolorach, nie śmiejąc lub nie mogąc zdobyć się na wyrażenia w delikatnym przedmiocie. Niezwykłe dla gadatliwości francuzkiéj milczenie, przebudziło z roztargnienia Królowę. Rzuciwszy wzrokiem na faworyta, rzecze doń przyjaźnie:

— „Cóż ci to, Margrabio, zdajesz się pożeranym jakąś niespokojnością. Jeżeli cię dojmuje zmartwienie, śmiało powierz je sercu téj, do któréj wdzięczności tak wielkie posiadasz prawa."

Ośmielony tą dobrotliwością, ujął kapelusz pod pachę, przyklęknął na jedno kolano, i złożywszy ręce w błagalnéj postawie, zawołał patetycznie:

— „Dobroć twa, miłościwa Królowo, wyrównywa twéj wielkości. Oto u nóg twych błaga względów i pobłażania nieszczęśliwy, którego zranione serce, ty jedna, Pani, balsamem pociechy i ukojenia obdarzyć jesteś zdolną. Miłości méj dla panny Magdaleny Lubomirskiéj raczyłaś już Pani faworyzować; lecz dotąd żadną nie mogę się pochlubić otuchą. W cóż się dziś obrócą moje nadzieje, gdy się dowie żem tak czynnie przykładał się do potępienia jéj ojca? Już nie obojętność, lecz czeka mię jéj nienawiść i wzgarda, a wtenczas śmierć tylko stanie się moim udziałem. Całą mą istność poświęcam, Pani, na twe usługi; rozrządzaj mną jak niewolnikiem, o tę jednę tylko błagam

nagrodę, bo ta jedna jest całą mojego życia podnietą i celem."

— „Powstań, i bądź dobréj myśli, Margrabio; wszakże znasz przychylność moją dla twéj skłonności. W téj chwili nawet związek twój z panną Lubomirską sprzyjałby naszym widokom, bo podałby nam zręczność złagodzenia niekorzystnych wrażeń z powodu sprawy jéj ojca. Z drugiéj strony, odziedziczyłbyś ogromny majątek nieżyczliwego nam a dziś wygnanego magnata, i nowy zdobylibyśmy filar dla naszéj sprawy w tym kraju. Ale wyznaję żem wyczerpała wszystkie środki zjednania dla cię jéj serca; niewiém coby jeszcze przedsięwziąć można? Zdaje mi się, że ją skryta pożera namiętność, domyśliłam się nawet jéj przedmiotu; jestto jakiś dworzanin jéj ojca, nizki, lecz uświetniony rycerskiemi dzieły pod Panem Wojewodą Ruskim szlachetka. Radź sobie, Margrabio; twój dowcip w tak bliskiéj cię sprawie najlepiéj ci usłużyć potrafi, a w każdym razie polegaj na méj przyjaźni i najczynniejszéj pomocy."

— „Czémże jest dowcip przed uporem serca kobiéty? wyczerpały się już i spełzły wszystkie moje usiłowania. Dziś zostaje mi tylko koléj ostateczności: śmierć, albo środki przymusu, które zawsze zniewalają kobiétę, gdy je prawdziwa miłość usprawiedliwia."

— „Nierozumiem cię, Margrabio, przymus na moim dworze, z panną szlachetnego rodu, mojéj powierzoną opiece, teraz zwłaszcza, gdy sprawa jéj ojca w tak delikatném względem niéj stawia mię położeniu. To niepodobna!”

— „Czyż mniemasz Pani, że ojciec, pałający ku tobie całą zapalczywością nienawiści i zemsty, zostawi na twoim dworze swą córkę? Niewątpię że podzieli jego wygnanie i będzie dla méj miłości straconą na wieki. Zresztą, przysięgam ci, miłościwa Królowo, że dopóki ją swoją zaszczycasz opieką, żadnym zuchwałym krokiem nieobrażę przyzwoitości tego dworu. Zostaw mi tylko moc działania gdy opuści stolicę.”

— „Jakież są twoje plany?”

Francuz powstał, udał się ku drzwiom, otworzył je i obejrzał, potém zbliżając się do Królowéj rzekł tajemniczo:

— „Znaną ci, miłościwa Pani, usłużność pana Muraszki, pokojowego dworzanina Jego Królewskiéj Mości. Przemyślna gromada rzezkich mołojców w górach Święto-krzyskich, która już nieraz skrytym zamiarom naszym przydatną się stała, jest zawsze na jego zawołanie. W te strony właśnie uda się panna Lubomirska, jeżeli ją ojciec z dworu Waszéj Królewskiéj Mości do swéj rodzinnéj wyprawi siedziby. Pozwól mi, miłościwa Pani, upro-

wadzić ją do znanego mi ustronia, gdzie mam nadzieję przeświadczyć ją o méj miłości, wzruszyć niewdzięczne jéj serce, słowem zniewolić siłą okoliczności do przyjęcia moich hołdów i ręki, a tém samém jéj i moje zapewnić uszczęśliwienie.”

— „Zbyt porywczo chcesz działać, Margrabio, i nie wiém dla czego objawiasz mi swe plany, skoroś je ukartował na ten tylko przypadek, jeżeli ją ojciec uwiezie z mojego dworu. Wyznaję ci nawet, że serce moje wzbrania się od udziału w tak delikatnéj sprawie. Inna rzecz gdy dla wielkich celów, małych, a może i niechwalebnych chwytamy się środków... ale tu, gwałtowne uprowadzenie panny szlachetnego rodu — téj która się moją zaszczycała opieką; nie, Margrabio, nie mogę cię upoważniać do tak nieprzyzwoitego postępku, lecz wyznaję zarazem, że wolałabym niewiedziéć o niczém, tak mię żywo obchodzi twoje uszczęśliwienie, i ubolewam nawet żeś mi swe zamysły wyjawił.”

To rzekłszy wlepiła wzrok w faworyta, jakby mu chciała dać wyczytać skrytości swych myśli, nie życząc sobie rozwodzić się w tak draźliwéj materyi. Francuz po długiéj przerwie wahania się, rzekł głosem niepewnym i bojaźliwym:

— „Muraszka, w tym tylko jednym razie przyrzekł mi swą usłużność, jeśli posiędę i okażę znany mu pierścień Waszéj Królewskiéj Mości, który nawykł uważać za oznakę skrytego upoważnienia,

wyraźniéj woli, twojéj nawet, Pani, zasłony i protekcyi w każdém zdarzeniu.

Zachmurzyła czoło Królowa z widoczną do przywiedzionych wspomnień niechęcią; zdawało się nawet, że obraziła się zuchwałością powiernika, bo szybkim krokiem przebiegała komnatę, szemrząc z goryczą i roztargnieniem niezrozumiałe wyrazy, jakby w natłoku niemiłych i dojmujących myśli, i żadnéj na faworyta niezwracając uwagi; w końcu rzuciła się na krzesło i rzekła:

— „To być nie może; cóżby powiedziano gdyby się wyjawiło uczęstnictwo moje w podobnéj intrydze. Nie sądź atoli abym cię mojéj pozbawić chciała opieki. Użyję wszelkich zabiegów i starań, wszystko na co pozwala me położenie przedsięwezmę, aby twym nadziejom dopomódz. Wszakże nie wiemy na co się zdecyduje, gdy jéj sama wystawię świetną przyszłość połączenia się z tobą. To mówiąc ujęła złotą gwizdałkę; wnet świst przeciągły rozległ się po labiryncie komnat, i po chwili weszła służebna niewiasta, do któréj rzekła Królowa:

— „Poproś do mnie panny Magdaleny Lubomirskiéj."

Przez krótką przerwę oczekiwania, rozmawiający w głębokiém pogrążeni byli milczeniu. Królowa zatopiona w swych myślach, zdawała się niepomną na przedmiot świeżo odbytéj rozmowy; Francuz zaś lubo ożywiony oczekiwaniem stano-

wczéj dla siebie chwili, zdawał się niechętnym, urażonym, i nieusiłował bynajmniéj wznowić rozmowy. Krótko atoli trwała ta chwila, bo rychło ukazała się oczekiwana.

Z postawą godności i smętném obliczem postępowała ku Królowéj Magdalena Lubomirska. Rzuciwszy wzrokiem na Margrabiego, który ją udatnym i zalotnym powitał ukłonem, przybrała wyraz stałości postanowienia, silnéj woli oporu; bo nawykła do zabiegów Królowéj o skłonienie jéj serca dla uprzykrzonych hołdów Francuza, którego miłość stale odrzucała z pogardą, przewidywała, że celem tak poufałéj audyencyi w obecności Margrabiego, było usiłowanie wymożenia na niéj stanowczéj obietnicy co do jéj serca i ręki. Ale Królowa żadnéj na wyraz jéj twarzy niezwracała uwagi, bo zachmurzoném i niechętném spójrzeniem przebiegłszy skromny bez żadnych ozdób jéj ubiór, złożony z czarnéj axamitnéj sukni i kwefu białego, wplecionego między opasujące głowę w kształcie wieńca sploty czarnych warkoczy, rzekła z wyrazem najwyższego nieukontentowania:

— „Odkądże to panny mojego orszaku ośmielają się gardzić etykietą tego dworu i przywdziewać stroje niezgodne z jéj przepisami? Co znaczy także ta posępna barwa żałoby? Czy z pogrzebu kochanka wraca nam panna Lubomirska?”

Z dumą i oburzeniem acz z pełną uszanowania postawą i głosem, odrzeknie Lubomirska:

— „Jestto ubiór mojego kraju, i najwłaściwszym być się zdaje dla dworu panującego w nim Monarchy. Strój ten jednak przywdziałam, niewiedząc czyli peruka i szaty Wersalu, mogą się pogodzić z żałobą serca córki niewinnego obywatela, którego intryga i pokątna nienawiść, jako zdrajcę przywiodły przed trybunał sprawiedliwości.”

Zarumieniła się gniewem Królowa, podniosła się z wyrazem groźby na czole... ale w téj chwili ozwał się Margrabia głosem pieszczonym i ujmującym:

— „Jeżeli się godzi abym zdanie moje wynurzył w tym razie, sądziłbym że panna Lubomirska nieobraża wykwintnych form etykiety, stosując ubiór do stanu swojego serca. Modą i zwyczajem jest owszem świetnego Wersalu, malować powierzchownością wzruszenia duszy, i spodziewam się że Wasza Królewska Mość, uznać raczysz godnym naśladowania ten piękny przykład.”

Ochłonęła Królowa, bo te słów kilka przywiodły jéj na pamięć istotny cel przywołania panny Lubomirskiéj, i niekorzystny dla tych widoków obrót rozmowy. Wnet ułożyła twarz do wyrazu przyjaznéj życzliwości, i rzekła głosem umilonym:

— „W saméj rzeczy; przebacz mi, kochana Magdaleno, żem nieumiała zbadać od razu stanu

serca twojego. Pojmuję twą boleść i daleką jestem od wszelkiéj za te zewnętrzne oznaki urazy. Tyś zawsze była najbliższą sercu mojemu, a twe uszczęśliwienie najgorętszém życzeniem mojém. Oto i teraz pragnę złożyć dowód, jak mię żywo obchodzi twa przyszłość." Tu Królowa w najpochlebniejszych wyłożyła wyrazach cel życzeń swojego faworyta, który uklęknął i usiłował ująć rękę wzgardę tylko dlań okazującéj dziewicy; lecz ta oddaliła się z wyrazem oziębłości i lekceważenia.

Królowa niezważając na tę nieprzychylną oznakę, dodała: „Wysokie Margrabiego zasługi dla mojego domu i kraju, dozwalają mi połączyć obowiązek wdzięczności, z najsłodszém względem ciebie serca mojego usposobieniem. Mam nadzieję, że nie zasmucisz mnie i jego, nierozważném odmówieniem tak zaszczytnych dla ciebie oświadczeń."

— „Niezaprzeczam zaszczytu jaki mi pan Margrabia wyrządza, ale niczem więcéj jak wdzięcznością nie jestem mu zań w stanie zapłacić. Rozrządzenie zresztą mą ręką zależy od mojego rodzica, którego wola jest jedyném prawem dla córki."

— „I czyliż mniemasz, że twój ojciec, którego zarozumiała i wyniosła pycha, sięga aż po koronę tego Królestwa, przychylnym się okaże dla twéj płochéj i nierozważnéj skłonności — że duma jego zezwoli na twe połączenie z Jędrzejem Zarembą,

nikczemnym szlachetką, którego całą świetnością żołdackie pod Wojewodą Czarnieckim zasługi."

— „Niepojęte są dla mnie wyrazy Waszéj Królewskiéj Mości, odpowie z zapłonieniem wstydu i oburzenia. Niewaham się jednak oświadczyć, że duma mego rodzica, łacniéj pogodzić się jest zdolną z wyobrażeniem rodzinnego związku z prostym rycerzem, gdy go uświetnia odwaga, jak z bogatym w tytuły Margrabią, którego całą zasługą intryga i podstęp. Co do własnych mych uczuć, nie zawstydza mię hołd szlachetnego rycerza, a chlubię się tém żem niezdolną zaszczytnéj dla mnie miłości zawdzięczyć zapomnieniem wtenczas nawet, gdy go ta miłość wiedzie na rusztowanie."

Ukarało dostatecznie niedelikatność Królowéj, to śmiałe przystosowanie do głośnéj niegdyś jéj dla Margrabiego de Cinq-Mars skłonności, dla któréj ten nieszczęśliwy rzucił się w niebezpieczną koléj współzawodnictwa z groźnym kardynałem de Richelieu, i śmiałość swą przypłacił na rusztowaniu zapomniany i opuszczony od téj, dla któréj tak wielką ponosił ofiarę.

Gniew i rozjątrzenie Królowéj doszły do najwyższego stopnia. Zrywając się z krzesła zawołała głosem przerywanym i drżącym:

— „Oddal się z moich oczu, zuchwała! i lękaj się, abym ci boleśnie nie dała uczuć skutków bez-

przykładnego zapomnienia wszelkich dla twéj Królowéj względów i uszanowania!"

Na tę groźną apostrofę, odpowiedziała tylko głębokim pokłonem i wyszła.

Królowa tymczasem szybkim krokiem obiegała komnatę, pożerana tłumioną wewnętrznie zapalczywością. Poczém drżącą od gniewu ręką otworzyła ozdobną szkatułkę z hebanu, wyjęła z niéj pierścień złoty, i oddawszy go faworytowi, śpiesznie opuściła komnatę.

II.

Gwar głuchy i przytłumiony, jakby od hamowanéj respektem bacznym na blizkość Monarchy silnéj żądzy rozwodzenia się nad dojmującym przedmiotem, rozlegał się po przestronnych komnatach poprzedzającéj apartament królewski zamkowéj antykamery. Wśród uwijającéj się barwy, kusych Węgrów, których zawiesiste wąsy, strojne w różnobarwne wstęgi harcapy, kurty srébrzyste i brzęczące szablice, znamienowały straż królewskiego domu; wśród zjawiających się i znikających dworzan świetném mniéj więcéj ubraniem oznaczających rodzaj swéj służby lub dostojeństwa, przesuwała się ożywiana niechęcią gromada szlachty, która oddalona od podwoi komnat monarszych przez skrzyżowane berdysze dwóch wartujących u drzwi hajduków, z cicha rozwodziła się nad swą konfuzyą, miotając na głos co chwila energicznym przekąsem, w mia-

rę jak zawieszony peruką jaki francuzki markiz, albo przemałpiony na Francuza Polonus, samém ukazaniem się rozbrajał nieugiętość cerberów i znikał za podwojami, lub jak nie jeden kontuszowy jegomość, z marsem na czole przychodził pomnożyć koło obrażonéj rzeszy.

— Patrzcie — no tego kosmatego nietoperza z rożenkiem przy kusych łapkach, jak butnie spogląda na nasze czupryny, szczęsny że mu przyszło réj wodzić tam, gdzieby za dobrych czasów kundle a pokurcze na takich maszkarach zaprawiać jeno przystało.

— Niewstydaj się waść, herbowny gamracie, i niesuń tak chyłkiem po zapłociu do Króla, jak liszka którą zwąchał legawy. Gdyś się już z francuzami pokumał, jak owi przybysze, śmiało braci szlachcie patrz w oczy.

— Zobaczemy czy ten wylizany fircyk z tą samą co na królewskich pokojach na sejmik pokaże się nam imprezą. Tam rzęsistym basarunkiem pokażemy mu respekt i mores na sarmacki obyczaj.

Te i tym podobne przycinki witały każdego który ufny w strój przyjęty u dworu, szedł z pewnością że dlań otwarte zostaną podwoje, zamykające się przed tylu innemi. Wielekroć razy drzwi otwiérały się i zamykały, a koło niechętnych wzmagało się coraz bardziéj, rozbijając się na różne oddziały, z których jedne żywą toczyły rozmowę, inne mil-

cząc, szybkim krokiem przechadzały się wzdłuż i w poprzek, inne usiadłszy na rozstawionych około ścian ławach powleczonych karmazynowym adamaszkiem, rozwodziły się nad poniewierką dawnych obyczajów na dworze Króla. Obecna gdzie niegdzie służba z dworszczyzny, bez żadnéj uwagi na na te oznaki nieukontentowania, to przechadzała się poważnie wśród gromad niechętnych, to rozstawiała w różnych miejscach węgierską straż i zbrojnych hajduków, to znowu zaglądała do okien ile razy dał się słyszéć na dworze turkot powozu, albo tentent koni zwiastujący nowe przybycie.

Nagle zatrzęsły się okna komnaty, wzruszonéj silnym turkotem licznych powozów i mnogiéj jazdy, a całe zgromadzenie skwapliwie ruszyło do okien.

— Pan Hetman Lubomirski! rzekł ktoś z patrzących: wnet głuche milczenie opanowało komnatę, a wszystkie oblicza oznamienowały się oczekiwaniem i wyrazem najżywszego zajęcia. Wśród mnogich tłumów, usłyszałbyś brzęk lecącéj muchy, tak silnie władała umysłami ciekawość podżegana głośną sprawą przybywającego magnata, która już w téj chwili przed Królem ostatecznie rozwiązać się miała w obec oskarżonego. Szmer oddalony zbliżającego się ku drzwiom orszaku wzmagał się stopniowo, aż nakoniec széroko roztwarły się podwoje, i ukazał się w nich poważny wiekiem mężczyzna.

Ubiór jego przy godności oblicza i całéj postawy, stanowił sprzeczność z tém wszystkiém, co się wówczas jakąkolwiek chełpić mogło znamienitością, bo nie miał na sobie nic takiego, coby oznaczało wziętość i znaczenie u dworu. — Kontusz granatowy z cienkiego falendyszu, biały harłasowy żupan, kołpak soboli z czaplém piórem przytwierdzoném perłą znakomitéj wielkości, krzywa karabela przy boku, zakończona u szczérozłotéj rękojeści głową jastrzębią, tworzyły strój pełen godności dla wyniosłego i odpowiedniéj tuszy mężczyzny.

Zatrzymawszy się chwilę u drzwi dla rozpoznania się w zgromadzeniu, postąpił poważnie i wnet mnogim orszakiem dopełnił zaludnienia przestrzeni.

Po Hetmanie, naprzód wpadał w oko idący prawie okok niego wysoki i dorodny mężczyzna. W całéj jego postawie tchnęła ufna w swe siły szlachetność, a zbliżenie się do pana orszaku, oznaczało miarę zpoufalenia się i wysoki jego dla dworzanina szacunek. Strojnie i raźno przypadał do rozwiniętych kształtów niepospolitą siłą obdarzonego mężczyzny, ubiór który zachował z odbytéj niedawno pod Wojewodą Czarnieckim duńskiéj wyprawy: był to żupan i kontusz z drelichu sięgający ledwie do kolan, jupka z rajtarskiego koletu i buty z cholewami prawie do pasa. — Pan Jędrzéj Zaremba! — tu i owdzie z cicha ozwały się głosy, każdy bowiem rad widział w młodzieńcu przypuszczonym do po-

ufałości Hetmana, towarzysza wojennych czynów zasłużonego krajowi i nader słynnego w epoce téj bohatéra. Rozpoczynał orszak strojny świetnemi szaty marszałek, niosąc w ręku złocistą laskę jako znamie urzędu, a za nim szła mnoga liczba starostów, kluczników, kanclerzy, i innych różnéj nazwy urzędników dworskich, pomnożona garnącą się pod pańskie skrzydło liczną asystencyą szlachty, która uzbrojeniem w karabele, zawieszone na plecach przykładne kusze i pełne strzał sahajdaki, świadczyła niejako że z równym jak do pańskiego stołu pochopem, gotową była kordem respekt i sprawę patrona popierać. Kończyła orszak liczna barwa hetmańska, a za nią służba dworzan i asystencyi.

W całéj powierzchowności Hetmana nie było nic takiego, coby oznaczało frasunek lub niespokojność, jakąby nabawić mógł każdego tak niepomyślny obrot stanowczéj dla położenia obywatelskiego sprawy. Próżnobyś jednak szukał w obliczu jego wyrazu rezygnacyi, pokornego zdania się na niefortunne losy; była to pogoda lwa ufnego w swe siły, gardzącego niebezpieczeństwem i groźbą. Przechodząc powolnym krokiem komnatę, witał bez zginania głowy ośmielającém skinieniem ręki zgromadzoną szlachtę, która mu głębokiemi odpowiadała ukłony. Niekiedy zatrzymywał się przemawiając słów kilka do znanéj sobie osoby z dworską, lecz niemniéj wyniosłą i protekcyjną poufałością, jakby

czuł że ta względność za rodzaj uszczęśliwienia przyjętą i poczytaną zostanie. Nakoniec skinął trzymanym w ręku kołpakiem na marszałka, który zaraz orszak cały zatrzymał, i w towarzystwie samego tylko Zaremby śpiesznie postąpił ku drzwiom królewskich pokoi; ale zastąpili mu drogę hajducy przypierając do drzwi berdysze, a jeden z dworzan królewskich rzekł z uniżonym ukłonem:

— Wasza Wielmożność przebaczyć raczy, że z wyraźnych rozkazów Jego Królewskiéj Mości, nie możemy mu dopuścić przestąpienia tych progów.

— Waść się mylisz, odpowie Hetman; te rozkazy nie mogą mieć mnie na celu. Odkądże to broniny przystęp do królewskich podwoi oskarżonemu dygnitarzowi, który do stóp tronu niesie submisyą i dowody swéj niewinności?

— Nie moją rzeczą zgłębiać miłościwego Króla rozkazy; powinność moja każe mi tylko zapewnić Waszą Wielmożność, że taka jest jego wysoka wola.

— Ale nie Waści również rzeczą objawiać monarsze rozkazy bliskiemu tronu dygnitarzowi. Dlatego masz mi Waść przyzwać tu dworzanina od boku Jego Królewskiéj Mości, którыby mi objaśnił to co w ustach Waszmości jest dla mnie niezrozumiałém i ciemném.

Nakazujący ton z jakim wyrzeczone zostały te słowa, sprawił niezwłoczne posłuszeństwo, i po chwili stawił się przed Hetmanem dworzanin, któ-

rego francuzki ubiór, świadczył o powołaniu jego do bliższéj boku Króla służby u dworu.

Nieskładnie przypadająca do rudego zarostu peruka, wymuszona udatność i pełna przesady pokora, wzrok kosy, unikający stale śmiałego wejrzenia, dały zaraz poznać w przybyłym dworzaninie, pokojowego świéżo nobilitowanego szlachcica, Muraszkę, skrytéj sprężyny żabiegów partyi francuzkiéj, którego wieść i plotka oskarżały, jak już to mieliśmy zręczność powiedziéć, o rozliczne czyny nienader godziwych i chwalebnych środków dążenia do celu.

Na widok jego w całém zgromadzeniu rozległ się szmer nieprzyjaznego wrażenia; ale Hetman żadnéj nań niezwracając uwagi, zbliżył się doń i rzekł:

— Pragnę złożyć Jego Królewskiéj Mości hołd mojéj uniżoności, a służba téj antykamery wzbrania mi przystępu do komnat monarszych. Waść bliżéj świadomy obyczajów dworu i prerogatyw dygnitarstwa, zechcesz bezwątpienia ująć w karby tę zuchwałość niższych służalców.

— Z uniżoną submisyą i uczczeniem wysokiego klejnotu Waszéj Wielmożności, śmiem zapewnić mnie wielce miłościwego Pana mojego, że służba ta wykonała wyraźną wolę najmiłościwszego Monarchy.

— Także to daleko ogarnęła dwór ten pokątna przybyszów intryga, zawoła Hetman z goryczą, że

zacnéj niewinności bronne są progi świątyni, któréj dziełem mierzyć sprawiedliwość godziwą szalą, a którąśmy sami wynieśli? Dobrze! szanuję rozkazy które mi Waszmość objawiasz, ale powiedz tym którzy cię tu szlą w posły, że siłą mię jeno wyrugują z téj antykamery. Z całą moją drużyną czekam tu posłuchania, choćby mię ten zaszczyt przez całe doby miał mijać.

To rzekłszy, zasiadł na ławie, i dał znak rozgoszczenia się służbie; obracając się potém do szlachty nienależącéj do jego dworu, zawołał: Kto z was, Mościwi panowie, sercem sprzyja doli i splendorowi domu Lubomirskiego, niech tu zasiądzie w mém kole; a jakkolwiek się rozwiąże ta sprawa, do mnie proszę na zamek, gdzie w potokach tokaju poszukamy konsolacyi na tę niefortunną przygodę.

Jednomyślny okrzyk ochotnéj zgody i przyzwolenia odpowiedział na to wezwanie. Muraszka zaś, po trzykroć powtórzonym głębokim ukłonie, milczkiem wychylił się za drzwi.

Za temi tymczasem podwojami któreśmy widzieli otwiérającemi się dla samych uprzywilejowanych, albo strojem lubionym u dworu dostęp otrzymujących, odmienna zupełnie panowała postać rzeczy i komitywa. Liczne zgromadzenie, skojarzone niejako obyczajami, zdawało się odgłosem jednéj statecznéj myśli, połączeniem wspólnego węzła, chociaż w gronie dwór oblegających Francuzów, i zdo-

bytéj dla partyi królowéj szlachty krajowéj, która ich obyczaje z prawa narzuconéj dworowi etykiety przejęła, piérwsi réj wiedli i widoczną nad drugiemi przewagę, acz z owém pociągającém ujęciem i światową udatnością, którą się ten naród we wszystkich odznaczał epokach. W chwili obecnéj, gdy przeważny wpływ Królowéj nad słabym umysłem jéj małżonka, wspierany stałemi usiłowaniami wszystkich, których bądź sprawy publiczne, bądź służba domowa, bądź téż osobiste uczucia Monarchy zbliżały do jego poufałości, niedalekim był otrzymania zdawna odwlekanéj abdykacyi; gdy mozolnie wypracowany upadek jedynéj siły moralnéj w osobie Lubomirskiego, zapowiadał nakoniec żniwo na roli obficie potem trudów i zabiegłości skropionéj; gdy wreście zdawało się widoczném że już jedno tylko potrzebném było usiłowanie, krok tylko ostatni aby porzuconą koroną ozdobić czoło członka rodziny Burbonów, — wszystko co żyło tą myślą, tym jednym celem wyłącznie zajmować się zdało.

O ile dozwalała przestronność komnat, rozdrobnione na różne oddziały towarzystwo, krokiem przyśpieszonym przechadzało się w różnych kierunkach, rozwodząc się i rozprawiając z baczną bezustannie uwagą na koło rozprawy, aby obcego przybysza nieuczynić posiadaczem objawianych tajemnic,

i naradzając się nad sposobem wystąpienia na bliskie już pole stanowczéj walki i przesilenia.

Ale temu zjednoczeniu się myśli brakło tym razem najdzielniejszéj sprężyny, duszy ożywiającéj tę działalność, spajającéj w jedno ogniwo rozprzęgłą między osobiste widoki i nadzieje zabiegłość, i po utorowanych ścieszkach stały jéj do powziętego celu nadającéj kierunek. Margrabia d'Arbeil dalekim był od wszelkiego w tém stowarzyszeniu się udziału. W niezwykłém roztargnieniu szukał samotności i odosobnienia się w tłumie, a tonem suchym i zwięzłym oddalał usiłującą wylać się przed nim myśl wspólną całego grona.

Był jednak w towarzystwie ten co skrytości jego podzielał, bo z nim tylko przestawał Margrabia, z nim skrytą i tajemną na ustroniu prowadził rozmowę, a ożywioném obliczem i trwożliwą na okrąg narady bacznością dawał do mniemania, że cel tajemniczéj rozmowy bliższym był jego osoby i serca nad wszystko, co innych zatrudniało wyłącznie. — Tym powiernikiem był Muraszka. Wydrążenie ściany u okna rozłożystą zawieszonego oponą, dogodne przedstawiało ustronie dla ich zmowy ukrytéj; lecz ani to nawet odosobnienie nie upewniało ich o bezpieczeństwie powierzanych tajemnic, bo obaj, co chwila, podnosili krawędź opony, i wzrok tajemniczy zagłębiali w przestrzeń komnaty. Gdyby atoli jednemu z nich myśl przytomną zostawić

mogło mniéj głębokie zatopienie się w swym przedmiocie, mniejby może obawiał się podchwycenia tajemnicy przez obojętnego świadka, jak powierzenia jéj temu właśnie, którego bespiecznym mniemał powiernikiem, i jego tylko widokom przydatną sprężyną; bo na twarzy Muraszki, oznaczającéj nałog obłudy i zdrady, piekielna rozlewała się radość w miarę jak skłaniał ucha na zwierzania się Margrabiego, i widoczném być się zdawało, że upoważniony do działania wymaganą od siebie uczynnością, postara się omylić protektora swego nadzieje, i własne z całéj sprawy wyrobić uszczęśliwienie.

Wkrótce jednak wiadomość o przybyciu Lubomirskiego na czele licznego orszaku, i upor jego w domaganiu się dopuszczenia do Króla, wznieciły powszechną w całém zgromadzeniu obawę i niespokojność. Czy potwierdzony dekret bannicyi? czy przewaga Królowéj podoła oczewistości i prawdzie, gdy ją potępiony z tą wymową z którą swéj sprawy bronił na sejmie przełoży Królowi? Te uwagi obudziły uśpioną na chwilę całą Margrabiego dla sprawy któréj się poświęcał gorliwość i czujność. Wydawszy rozkazy podwojenia baczności, aby oprócz osób poufałym dostępem u dworu zwykle zaszczyconych, nikogo pod żadnym pozorem niedopuszczano do drzwi królewskich pokoi, śpiesznym krokiem skierował się ku stronie zamku, któréj

podwoje dla saméj poufałości powiernictwa stać tylko mogły otworem.

Lecz już nadeszła pora dziennego królestwa ichmość posiłku i przybycia ich między zgromadzonych dworzan i gości. Uwijała się po wszystkich komnatach służba zamkowa i dygnitarya dworu, a wielki Marszałek rozdzielał między zgromadzonych zaprosiny do królewskiego stołu. Wszelki jednak zaszczyt u dworu, gdzie wola Królowéj była prawem, spotykał po większéj części Francuzów, z widoczną ujmą tych, którzy jako krajowi, a tém samém wpływ u szlachty wszystko znaczącéj w narodzie posiadający, byli przecież jądrem apostolstwa reformy obyczajów, i jedyną podstawą zabiegów o posadzenie na tronie polskim chciwego berła Kondeusza. To ubliżenie dumnéj i nawykłéj do przewodzenia szlachcie, ochładzało jéj zapał dla sprawy; a chociaż silna podnieta przykładu dwóch Królowań, wsparta następnie górującą również na dworze Jana III francusczyzną, na potomne wieki przekształciła obyczaje narodu, cała jednak najgorętsza usilność Maryi Ludwiki, obok najprzyjaźniejszych okoliczności, spełzła stopniowém zobojętnieniem się dla głównego zamiaru jéj krajowych stronników.

Zmniejszało się tedy widocznie koło towarzystwa, w miarę jak nie jeden ominięty zaproszeniem, opuszczał królewskie komnaty, szemrząc pod nosem przekleństwa na swą perukę, i zamierzając

skrycie uczynienia z niéj igraszki dla ulubionego legawca, gdy pozostałe towarzystwo ujrzało nakoniec przybywającego pośród siebie Monarchę.

Chociaż Król zgodnie z obyczajami swojego dworu nosił obszerną perukę spadającą na ramiona, reszta jednak jego ubioru nieodpowiadała bynajmniéj prawidłom francuzkiéj mody. Miał na sobie spadającą do kolan lekką niemieckim krojem tunikę, długi ledwie nie do pasa kolet z korun malińskich, i wiszący na piersiach na wolno spadającym z kutych grubo sztuk złota łańcuchu, order złotego runa.

Rysy jego twarzy, których wyrazistość dopełniała ostro przedłużająca podbródek hiszpańska bródka, oznaczały niesmak położenia i stały frasunek mozolnéj doli. Widoczném jednak było w téj chwili, że ta słabość moralna nie tyle pochodziła z braku energii i silnéj woli w sprawach męzkiego położenia, ile raczéj ze zdania się umysłu jarzmem domowém skołatanego, i niezdolnego do wytrwałéj walki z obecną w całém życiu potęgą bliskiéj temu, a plątającéj każdą wolę i uczucia Monarchy w nierozwikłane sidła intrygi przebiegłéj kobiéty.

Początkiem atoli zdania się Króla pod jarzmo małżonki, było przeświadczenie się o jéj sile moralnéj za najazdu szweckiego: pamiętał tę epokę Monarcha, gdy błąkając się na obcéj ziemi, powrót do korony winien był Maryi Ludwice, i z niewy-

gasłém uwielbieniem wspominał zawsze, jak osobiście wstrzymała zapęd nieprzyjaciela do jego stolicy wdzierającego się, wiodąc swym przykładem do boju zachwiane przed natarczywością szturmu zastępy.

Mimo to wszystko, wrodzona prawość charakteru Jana Kazimiérza, wymagała nader przezornego postępowania tam, gdzie cios stanowczy w zamiarach niezupełnie godziwych zależał od Króla. Sprawa Lubomirskiego była téj właśnie natury; a lubo potrafiono rozjątrzyć przeciw niemu aż do gwałownego gniewu całą osobistość Monarchy, dotąd jednak wyrok bannicyi potwierdzonym nie został.

Widocznie rad był Król nadejściu obiadowéj pory, która w téj chwili przynajmniéj podała mu zręczność uwolnienia się od nalegań Królowéj; lecz ta uprzedzona przez Margrabiego o tém co zaszło w przedpokojowych komnatach, niechciała za nic ustąpić z placu, a idąc obok Króla, natarczywie domagała się podpisania skréślonego na pargaminie wyroku, który idący tuż za nią Wielki Kanclerz Prażmowski, trzymał w ręku wraz z piórem. Co krok ujmowała Króla za rękę, a rozwodząc się nad występkiem osądzonego i koniecznością rozproszenia silnéj partyi któréj był przywodzcą, ukazywała na wyrok któremu brakło jeszcze podpisu. Ale na twarzy Króla malowała się stanowcza wola oporu, hamowana tylko usiłowaniem zdobycia się na po-

zory, któreby go od nienawistnych scen rozjątrzonéj małżonki ocalić zdołały.

Trafnie pozornym wybiegiem Króla było zajęcie się krotofilami ulubionego mu błazna, który szedł z drugiéj strony, prawiąc na głos bez żadnéj uwagi na mowę Królowéj, żarty i docinki mniéj więcéj stosowane do osób i rzeczy.

Każdy krok dowcipnego trefnisia oznaczał brzęk dzwonków wiszących w mnogiéj liczbie u sarnich uszu, któremi ozdobiony miał kaptur. W ręku trzymał pstro malowaną laskę z wizerunkiem sowy u gałki, i miał na sobie bramowany w różne kolory żupan z pasem skórzanym na biodrach, okowanym srébrnemi ćwieczkami.

Trefny Jasio, pojmując położenie i tajemne życzenia pana, prawił bezustannie koszałki opałki, a Król przemawiał doń kiedy niekiedy słów parę, coraz nowéj dodając otuchy, i śpiesznym zawsze krokiem zmierzając ku jadalnéj komnacie. Przybywszy do niéj nakoniec z całém towarzystwem zaproszoném na ucztę, które w przechodzie Króla przyłączyło się do jego orszaku, stanął przed zastawionym stołem, przeżegnał się, odmówił sam benedicite nieczekając aż swą powinność wypełni obecny kapelan i spowiednik królewski, poczém rzucił się co żywo na krzesło i rozpoczął biesiadę, a rozgłośne dźwięki umieszczonéj na chórze u sklepienia

komnaty mnogiéj kapeli, położyły koniec wszelkiéj poważniejszéj rozmowie.

Cały frasunek ustąpił zaraz z królewskiego oblicza; lecz gdy obrócił się na krześle dla umycia rąk w podaném sobie srébrném naczyniu, postrzegł że z orszaku panien dla honorowéj assystencyi przy monarszéj biesiadzie zgromadzonych, zabiérała się do ustąpienia panna Magdalena Lubomirska, widocznie zfukana przez przełożoną nad żeńską assystencyą dworową Ochmistrzynię.

— Cóż to z biesiady naszéj oddala sercem miłą nam Hebe, rzecze Król obracając się do Ochmistrzyni?

Królowa usłyszawszy te wyrazy, obróciła oczy na Lubomirskę, a postrzegłszy jéj ubiór którego nieprzyzwoitość już jéj rano w dotkliwych dała uczuć wyrazach, rzekła z oburzeniem:

— Zuchwałość Waszmość panny przechodzi wszelkie granice. Czyliżem ci wyraźnie nieobjawiła dzisiaj mej woli, abyś się nieważyła dziwactwem tych szat targać na wyraźne prawa naszego dworu?

Na widoczną zanosiło się burzę, bo zapłonienie gniewu okryło czoło Lubomirskiéj, i już zabierała się do odpowiedzi z godną położenia swojego wyniosłością i dumą, gdy Król położył koniec dalszéj rozprawie, mówiąc do Królowéj:

— Dla nas przebaczcie jéj ten raz, nam wielce miłościwa małżonko; ubyłoby wdzięku monarszéj biesiadzie naszéj, gdybyśmy z niéj to gładkie wyprosili stworzenie; jeżeli tedy przychylna prożbie naszéj będzie twa wola, poprosiemy panny Lubomirskiéj, aby nam tylko samym przy téj uczcie swą czyniła usługę.

Zamilkła Królowa, lecz zachmurzoną twarzą i gniewném spojrzeniem zakłóciła pogodę biesiady, któréj Król z wolnym i niepomnym na troski umysłem lubił zwykle używać. W téj chwili jednak zdawało się, iż miał snadne na niemiłe pod tę dobę kwasy małżonki lekarstwo, bo rzekł jakby z umysłu:

— Dopóki jeszcze dźwigamy uciążliwe brzemie korony, życzylibyśmy choćby jednéj chwili spoczynku w dniu całym prac ciężkich i znoju. Rychło bieglejszéj dłoni oddamy to berło, a wtenczas całéj doby na wczas ciała i zbawienie duszy, używać tylko będziemy.

Rozjaśnił się zaraz za przykładem wszystko znaczącéj pani cały horyzont biesiady. Dała znak skrycie Królowa znaczącém skinieniem na najbliższych swych powierników: Kanclerza Prażmowskiego, Hetmana Potockiego, Margrabiego d'Arbeil i innych, i wnet z uśmiechem zadowolenia zajęła się swym małżonkiem, dolewając mu czary, przysuwając własną ręką ulubione łakocie i dania, i przy-

milając się przez rozmaite sposoby udatności niewieściéj. Wzrastał w oznaki wesołości humor Monarchy, a całą komnatę ogarnął szmer ożywionéj komitywy. Gwar rozmowy, brzęk poruszanych srébrnych naczyń i innych sprzętów biesiadnych, uwijanie się służby około stołu i assystencyi przy siedzeniach królestwa, wesołe acz niepieszczące ucha dźwięki serbskich skrzypic, surmaczy, dyszkantów, wagantów i całéj brzmiącéj u góry kapeli, wszystko słowem tchnęło życiem ochoty i zgody. — Sam tylko Jasio, którego ostry a bezkarny język lubił zakłócić harmonią gdy ją zrodziła myśl dlań niemiła, targnął się na ustaloną zgodę mówiąc do Króla:

— Grubąście a prostaczą rzekli niedorzeczność, mój królewski ciosko i kumie; azaliż sądzicie że nasz kołpak i laska mniéj ciążą na głowie i w dłoni jak korona i berło.

— Broń nas Boże, odpowie Król, abyśmy ubliżać mieli w ten sposób powadze urzędu który Waść tak godnie piastujesz, i niechcieliśmy bynajmniéj poniżać dostojnych Waści insygniów.

— Ale wiedziéć musicie, że gdy Król bez przyczyny składa koronę, czyni to dlatego aby odziedziczył kołpak o sarnich uszach. Niewyglądalibyście tedy z porzucenia berła wczasu i zbawienia, gdybyście rozważyli w swym królewskim rozumie,

że królowanie nasze większe od Waszego ma do dźwigania ciężary i znoje.

Rozśmiał się Król do rozpuku; ale Królowéj nieprzypadł zgoła do smaku gruby docinek błazna, jako trafiający w najdrażliwszą jéj stronę, rzekła więc w tonie żartu, z którego jednak łacno gniew i oburzenie wyczytać się dały:

— Masz Waść słuszność; aleś zapomniał że twe ciężary podpiéra filar na którym zbywa małżonkowi mojemu, — oto chłosta którą nasz Starosta królewskich drabantów powściągnąć zawsze gotów, zbyt grubą a niewczesną zuchwałość języka.

To mówiąc spojrzała na błazna; ale postrzegłszy na twarzy jego ów sardoniczny uśmiech którym poprzedzać zwykł swe najśmielsze wyskoki, przypomniała jak poniżającą podług wyobrażeń epoki przybierał rolę, kto w gniewném usposobieniu występował z błaznem do walki, i dodała zaraz z uśmiechem:

— Zapominasz Waść zkądinąd, że masz na tym dworze niebezpiecznego bo nawykłego do królowania w litewskich puszczach współzawodnika. Zacny Bajtko godzien również udziału w téj uczcie, i radabym widzieć na którą stronę przechyli się zwycięztwo, gdy Waść z nim zmierzysz swój dowcip.

Ow Bajtko był to potężny niedźwiedź ogłaskany z małego, którego Król niedawno od Marcina Ogińskiego w podarunku otrzymał. Niepo-

mny swéj piérwotnéj dzikości, przybrał obyczaje domowego zwierzęcia, a nawykły do chodzenia tylko na tylnych łapach, dwór cały rozrywał niezgrabnemi i rubasznemi krotofilami.

Uśmiechnął się Król radośnie na myśl nowéj rozrywki jaka go czekała, i wynurzył zaraz życzenie, ochoczo przez wszystkich dzielone biesiadników, aby ucieszny Bajtko został przyzwany na królewską biesiadę, i uraczony zbywającemi ze stołu łakociami. Królowa skinęła na stojącego opodal hajduka, i po chwili nowym biesiadnikiem towarzystwo pomnożone zostało.

Piérwszy rzut oka na zwiérza przejmował mimowolną trwogą i przerażeniem. Wzrost jego przenosił całą głową najroślejszych hajduków, a wyprostowana postać jedném spojrzeniem ogarnąć dozwalała ową massę siły, któréj uderzająca potęga żylastych i széroko rozwiniętych muskułów dawała od razu wyobrażenie. Gęsto dziany włos połyskującéj czarności podwajał grubość członków, a łeb széroki na silnym osadzony karku, dopełniał obrazu dzikiéj w téj całéj postawie potęgi. Ale oczy zwiérza oznaczały tylko łagodność i nałog obcowania pomiędzy ludźmi, a w téj chwili nadto łakomstwo podsycone wyziewami rozmaitych dań i przysmaków.

Zbliżył się zwiérz zaraz do Króla który w wyciągniętéj ręce trzymał dlań gruszkę obficie osypaną

cukrem, a gdy ją ująwszy łapą pożerał, Król głaskał go ręką po karku i bespiecznie targał za uszy. Każdy z biesiadników koleją uraczył gościa coraz nowym przysmakiem; lecz gdy obszedłszy stół zbliżył się do Królowéj, ta podała mu osypaną cukrem łupinę od pomarańczy. Chętnie żuł zwiérz ten nowy przysmak dopóki czuł słodycz cukrową; lecz gdy następnie poczuł gorycz skóry owocu, wyrzucił nieznośne jadło na spód łapy, i cisnął silnie na twarz Królowéj (*).

Liczne okruszyny niemiłego pocisku uwięzły na jéj twarzy, i zeszpeciły opasującą szyję cudną krezę hiszpańskiéj mody. Niewładała sobą Królowa, a ująwszy przyniesioną sobie przed chwilą czarę wrzącéj polewki z wina, rzuciła ją gwałtownie na łeb nieobyczajnego zwierzęcia. Roztrzaskała się porcelana o twardą czaskę niedźwiedzia, i potokami gryzącego ukropu zalała mu oczy.

Ryk wściekłości rozległ się po komnacie i trwogą przejął całe zgromadzenie. Sroga boleść powróciła mu całą wrodzoną dzikość i mściwą zajadłość. Tarł zrazu gwałtownie łapą obrażone oczy; potém z powtórzonym rykiem dał skok potężny szukając widocznie krwawéj ofiary.

W téj chwili właśnie zbliżała się do Króla Lubomirska z roztruchanem alikantu. Nieszczęściem po-

(*) Historyczne.

strzeżoną została w przechodzie przez rozsrożonego niedźwiedzia, który z przerywanym i silnie wybuchającym rykiem poskoczył ku niéj na cztérech łapach. Struchlała przerażona postrzegłszy niebezpieczeństwo, i upuściwszy roztruchan, z całą siłą zaczęła uciekać około stołu; ale zwiérz niespuszczał jéj z pogoni i oka, i skracał co chwila odległość śmiałemi susami którym towarzyszył zawsze wybuch przeraźliwego ryku.

Stopniami traciła ścigana przytomność i siłę ile razy rzuciła wzrokiem na zwiérza, którego sierć najeżona, błysk pałających oczu zamykanych co chwila dotkliwą boleścią, pysk rozwarty i jakby z chciwości łupu parą ziejący, słowem cała postawa stokroć mężniejsze serca trwogą była zdolną nabawić; uczuła nakoniec że już na kilka zaledwie kroków drżące pod nią zdobyć się zdołają kolana. Wspiął się niedźwiedź na łapy; Lubomirska wydała krzyk śmiertelnéj trwogi, który w ostrych dźwiękach rozległ się po wszystkich komnatach, i już zdawała się poddawać nieuchronnym wyrokom. Każdy z biesiadników przewidywał srogie jéj przeznaczenie. Szukano w różnych miejscach oręża; wszystko jednak zdawało się zapowiadać, że nim skuteczny pośpieszyć zdoła ratunek, już dokonaną zostanie ofiara.

Lecz wróćmy do zaludnionych licznym orszakiem Lubomirskiego, komnat królewskiéj antykamery.

Chociaż od przybycia Hetmana dwugodzinny przeciąg czasu upłynął, dotąd jednak wytrwale na miejscu z całym pozostał orszakiem. Wiernie dosiadywała mu szlachta nadskakując panu i rozrywając tęsknotę oczekiwania przez rozliczne sposoby. Żywa niekiedy toczyła się rozmowa; niekiedy oziębione towarzystwo marsowatém obliczem pana, głębokie chowało milczenie, które znowu przerywał Hetman wesołym żartem, podniecając zaraz gwar ochoczy i rzeźwy. Służba tymczasem miejscowa z wrastającą niespokojnością oczekiwała rozwiązania téj sceny, niemogła bowiem przewidzieć następstw uporu, gdy świéżo ponowione rozkazy nakazywały niedopuszczania pod żadnym pozorem do drzwi nikogo z oczekujących na posłuchanie u Króla.

Powstał nakoniec Lubomirski z niecierpliwością, i szybkim krokiem przebiegał komnatę, gdy nagle przedarł się z oddalenia ryk powtarzany rozjadłego niedźwiedzia. Zdziwiony badał jednego z dworzan, który mu zaczął prawić o krotofilach domowego zwiérzęcia; ale Hetman świadomy obyczajów niedźwiedzia, przeciw któremu liczne w myśliwéj ochocie przedsiębrał nieraz wyprawy, dalekim był od rozumienia w sposób zaspakajający tak przeraźliwego ryku, — gdy zaraz potém dał się słyszéć krzyk trwogi który właśnie wydała ścigana przez niedźwiedzia jego córka.

— Dla Boga! to głos mojéj Magdy!

Zaledwie wyrzekł te słowa, aż szybki jak piorun Zaremba, rzucił się do drzwi, silną dłonią obalił dwóch hajduków usiłujących stawić mu opor i zniknął za drzwiami, przez które zaraz za nim korzystając ze zmieszania się służby, skwapliwie udał Lubomirski.

Rozlegający się w dali szelest przerywany rykiem zwiérzęcia, dostateczną był dla Zaremby skazówką; jakoż przybiegł zaraz na miejsce sceny, i za piérwszym rzutem oka zrozumiał przyczynę powszechnéj trwogi. Już właśnie niedźwiedź dopada ofiary, która drżącym krokiem ukazywała blizkość ostatecznego omdlenia na siłach.

Skoczył co żywo Zaremba i nagą ręką silny wymierzył raz pod ucho niedźwiedzia.

Zachwiał się na chwilę zwiérz odurzony; lecz zaraz obrócił się szybko, a postrzegając nowego nieprzyjaciela, rzucił się nań z roztwartemi łapami; ale uprzedził grożący mu napad śmiały młodzieniec, a ująwszy silnie wpół zwiérza przez łapy, rozpoczął z nim osobiste zapasy. Lubomirska tymczasem padła zemdlona na ręce ojca, który właśnie wchodził w téj chwili.

Z trwożném i niespokojném obliczem całe towarzystwo srogiéj przyglądało się walce. Długi czas zwycięztwo na żadną nieprzechylało się stronę; lecz nakoniec zręczność człowieka odniosła przewagę,

i zwiérz potoczył się z łoskotem pociągając za sobą nieprzyjaciela, któremu jedną wolniejszą łapą szarpał ramie, krwią jego brocząc podłogę. Pośpieszył nakoniec w pomoc Zarembie sam Lubomirski, zwierzywszy córkę Potockiemu, który ją skropieniem zimną wodą do przytomności powrócił. Wiedząc jednak że w podobnym stanie walki, osobista siła i zręczność człowieka zapewnić tylko może zwycięztwo, poprzestał na dobyciu karabeli, wyglądając stosownéj chwili aby nią mógł cios wymierzyć, lub podać walczącemu z niedźwiedziem zapaśnikowi.

Zrozumiał myśl jego Zaremba, a przechyliwszy się nieco na stronę, ujął w dłoń karabelę; wyrwawszy się potém nadludzkiém usiłowaniem z objęć zwiérzęcia, podniósł się nieco do góry, szybkiém poruszeniem przymierzył ostrze damasceńskiéj klingi do boku zwiérza, a oparłszy się o rękojeść piersiami, zatopił ją we wnętrznościach srogiego przeciwnika.

Ryk głuchy i potok czarnéj posoki zakończyły tę scenę.

Powstał na nogi Zaremba, i całemu ukazał się towarzystwu.

Męzkie oblicze zaognione zapałem walki i znużeniem, włosy i ubiór w nieładzie, ślady srogich pazurów zwiérza w rozszarpanym i krwią zbroczonym rękawie, cała słowem postawa młodzieńca

powszechne w zgromadzeniu wzbudziła uwielbienie. Królowa wraz ze wszystkiemi kobiétami dworu, pełném zajęcia i współczucia przeglądała go okiem; lecz rzuciwszy wzrok na Lubomirskiego, pojęła ważność obecnéj chwili, i całą swą baczność zwróciła na bieg dalszych wypadków.

Zbliżył się tymczasem Hetman do Króla i rzekł:

— Od wielu godzin wyciéram komnaty antykamery Waszéj Królewskiéj Mości, próżno wołając o posłuchanie, którego zaszczyt obecny téj jeno nieszczęsnéj winienem przygodzie. Radbym się więc teraz dowiedziéć, czy wolą jest Waszéj Królewskiéj Mości potwierdzić bez wysłuchania obwinionego wyrok nieprawości sejmowéj?

— Waść uczęszczasz do związku, odpowie Król, pieniądze sypiesz a praktyki pokątne czynisz: jakiémże prawem domagasz się naszego faworu i mienisz zasłużony wyrok nieprawym?

— Nie faworu, lecz żądam sprawiedliwości, o któréj nic sobie nie tuszę, gdy Waszéj Królewskiéj Mości nieznane argumenta méj niewinności, które przecież Wielki Kanclerz winien był przedstawić Majestatowi. Ten tylko fawor, miłościwy Panie, uczynić mi raczcie, abyście mię o méj doli uwiadomili bez zwłoki.

Przybiegła do małżonka Królowa, i długi czas mu prawiła do ucha, a Król widocznie wzmagał gniew i nienawiść; rzekł nakoniec po długiéj przerwie:

— Próżnobyś Waść upiérał się walczyć z oczéwistością. Oddal się z dworu naszego, a pięć dni jeno dajemy Waści do pozostania w stolicy. Jeżeli w tym czasie zdobędziesz gruntowne dowody swéj niewinności, złóż je Kanclerzowi naszemu który je przed nasz majestat przełoży. Lecz dłużéj potwierdzenia wyroku niemożemy odwlekać.

— Dowody moje jaśniejsze nad słońce, i biada tym którzy sprawiedliwość Waszéj Królewskiéj Mości wiodą do błędu. Ulegam przewadze nieprawości, błagając nieba aby Was, Miłościwy Panie, od jarzma chytréj kądzieli oswobodzić raczyło.

To rzekłszy skłonił uniżenie głowę przed Królem, ujął córkę pod rękę, i udał się ku drzwiom.— Ale Król zatrzymał go mówiąc:

— Nieodmawiamy przecież córce Waszmości naszych łask i protekcyi; dla czegóż ją z dworu naszego uprowadzacie?

— Córka dzielić musi wszelką dolę a dziś niezasłużoną infamię rodzica; a gdy ten wygnańcem, ona jedna przedstawia dostojny ród z którego bierze początek. Dziś więc jeszcze udać się musi do naszéj rodzinnéj siedziby.

Powtórzył raz jeszcze ukłon głęboki, i udał się do antykamery, gdzie ponowiwszy zaprosiny szlachcie która jego tęsknotę dzieliła, opuścił zamek na czele pomnożonego nową assystencyą orszaku.

III.

Na schyłku dnia czwartego po wypadkach w królewskim zamku któreśmy opowiedzieli, na głównym rynku stolicy panował ruch niezwykły i wrzawa. Postać nagromadzonéj pstréj i różnokształtnéj ludności; zabiegła czynność po szatrach zalegających długie obszary; skrzętne uwijanie się wśród mass ruchomych przekupniów i przekupek obarczonych napojami, jadłem i przysmakami; wspólna wszystkim usilność omylenia tęsknoty oczekiwania, zapowiadały ważne jakieś zdarzenie, powszechną obudzające ciekawość.

Całą ścianę wchodu głównego wznoszącego się wśród rynku ratusza, zalegała przestronna budowa z drzewa, przytykając doń bokiem i jedną całość tworząc w tém połączeniu. Był to gmach którego wzniesienie środkowe przedłużające się w postaci długiego skrzydła, cechowało jego przezna-

czenie na wystawę publicznych widowisk, a ukończone już rozliczne przygotowania, oznajmiały że jedno z tych widowisko niezwłocznie rozpocząć się miało. Jakoż, na wystawie drzwi frontowych, umieszczony był napis w wielkich zdala czytelnych zgłoskach, zapowiadający dzień, godzinę widowiska i jego osnowę, którą przytaczamy dosłownie:

„Przebywający na dworze Króla Imci Polskiego
wierni poddani panującego Francyi
Króla i Bohatéra
LUDWIKA WIELKIEGO,
którego zwycięzki oręż świat pogromił i zdumiał,
będą mieli zaszczyt dać wielki
SALT Z PANTOMINĄ
na cześć potęgi i nieśmiertelnych czynów
SWOJEGO MONARCHY.
Panowie szlachta konno widowisku przypatrywać się będą mogli."

Niepodobał się ów styl przechwałkami nadęty szlachcie, która harcując konno po rynku, miotała obelgi na butę cudzoziemców mieniących się zwycięzcami świata między ludem chciwym chwały rycerskiéj, i dumnym ze swych czynów wojennych. Ale te oznaki nieukontentowania nieosłabiały bynajmniéj wspólnéj wszystkim żądzy nasycenia się

widowiskiem zapowiedzianém. Jeden tylko na żwawym rumaku przywodzący licznéj gromadzie konnéj, odznaczał się posuwającą się aż do czynów zuchwałością, któréj ochoczo przyklaskiwała towarzysząca mu czereda.

Wysoki kołpak barani, kolcza zbroja obciśnięta na biodrach poniżéj wydatnego brzucha pasem czerwonym, na plecach kusza obok sajdaka strzałami napełnionego, karabela w pochwie z czarnego jaszczura i rohatyna w ręku, którą wywijał rzucając w górę i łapiąc zręcznie w powietrzu, dobitnie go wśród mnogiego odznaczały orszaku. Był to pan Bartosz Obrąpalski, réj wodzący szlachcie partyi Lubomirskiego, z któréj każdy za przykładem przywódzcy konno i zbrojno w kusze i sajdaki, oczekiwał na otwarcie widowni.

Rozlicznych dokazywał wyskoków podochocony sowicie przed chwilą z bracią szlachtą w pobliskiéj gospodzie pod znakiem złotéj gęsi pan Bartosz, a rączo przypuściwszy rumaka ku frontowi budowli, rzuconą rohatyną utkwił w sam środek niemiłego napisu. Huczne i rozgłośne wiwaty dały poklask téj zuchwałości; a gdy na rozkaz Starosty otaczających wnijście teatru drabantów, sześciu konnych puściło się w pogoń za winowajcą, zabłysły w powietrzu szlacheckie karabele, i już się zanosiło na krwawą utarczkę; ale w téj chwili, na opasującym ratuszową wieżę ganku trębackim, ozwał się

donośny dźwięk sześciu trąb, zapowiadając nakoniec oczekiwane otwarcie widowni. Drabowie wrócili do szeregu dla pilnowania porządku, a jezdna publiczność ruszyła ku drzwiom w galopie; ale u wnijścia w dwóch równoległych szykach stanęli drabanci, i tylko po trzech czołem dopuszczali do wchodu. Prześcignął wszystkich pan Bartosz, i piérwszym był u drzwi na czele swojéj czeredy; a gdy napełnił się rodzaj przestronnéj szopy, umyślnie dla konnych widzów urządzonéj przed sceną, służba drzwi zamknęła z łoskotem, otwierając boczne wnijście dla pieszych.

Rychło dał się słyszéć gwar powozów z różnych stron miasta przybywających ciekawych widzów, a w ich liczbie zajechał tabor Lubomirskiego, którego z mnogim już znanym nam orszakiem powiódł do wnętrza Starosta, rozsadzając po różnych miejscach w miarę stopni i dostojeństwa całą pańską drużynę.

Za ukazaniem się Hetmana rozległ się między konną publicznością huczny okrzyk wiwatów, a tym oznakom współczucia i hołdu, towarzyszyły głośne złorzeczenia na mających wystąpić aktorów, którym przychylna magnatowi szlachta, przypisywała poniewierkę jego imienia i cześci w świéżo osądzonym procesie.

Już urządzone w okrąg sali loże, napełniały strojne kwiecistemi szaty szlachcianki i panie; już wszystkie siedzenia i miejsca ciekawa tłoczyła publi-

czność, a jeszcze niewznosiła się zasłona widowni; bo jeszcze próżną była ozdobna z czerwonego aksamitu oponą loża królewska. Lecz nakoniec ukazała się w niéj sama tylko Królowa, licznym i bogatym otoczona froncymerem, a zasłona widowni zwolna i ciężko wznosić się zaczęła do góry.

Jakiś czas toczył się po sali szmer ciekawéj ochoty, i wnet całe zgromadzenie głębokie owładło milczenie.

Za ukazaniem się widowni, przedewszystkiém wpadała w oko przodkująca mnogiéj kapeli, na oddzielnéj umieszczczonéj galeryi, wydatna postać, w któréj wysmukłe członki, wyraziste rysy, płeć śniada i nieustanna ruchawość czynnéj gestykulacyi, od razu objawiały Włocha. Opięty strój francuzki i potężna peruka z założonemi starannie za uszy bokami, aby nietłumiły tak potrzebnego o téj dobie zmysłu, niedodawały bynajmniéj wdzięku i udatności téj dziwacznéj postaci. Był to il Signor Pallavicini, senior królewskiéj kapeli.

Zerwał się z miejsca maestro, klasnął w dłonie, a nieustannemi poruszeniami rąk w całéj ich długości wspieranemi działalnością całéj ruchoméj postawy, przewodniczył brzmiącéj harmonii swych ogłuszających szeregów. Ale niedługo wzrok widza zatrzymywał się na tym obrazie, bo widok sceny całą jego zaraz ujarzmił uwagę.

Głąb przestronnéj widowni przedstawiał salę tronową Ludwika XIV, w ceremonialnéj z całym przepychem wystawie. Na wzniesionéj o kilka stopni podstawie, pysznemi zasłanéj gobelinami, stał tron pod zasłoną z białego bławatu, nad którą unosiła się korona; na saméj zaś zasłonie wśród szkarłatu i złota jaśniały wydatnie trzy srébrne, przetykane ogień ziejącemi dyamentami lilie, godło domu Burbonów. W niedbałéj lecz nie bez wdzięku postawie, siedział na tronie Monarcha, strojny znamionami królewskiéj godności, a głowę jego, zawieszoną nieodzowną peruką, zdobił wieniec z wawrzynu, jako znamie zwycięztwa i chwały. Obok tronu na niższém podniesieniu stało krzesło Delfina, osłonięte również zasłoną o trzech liliach, lecz bez korony, a siedzący na nim powabny młodzieniec, przedstawiał syna Monarchy.

W równéj linii ukazywały się daléj nieco, zawsze na podniesieniach, krzesła innych członków królewskiéj rodziny, z których każdy był przedstawiany przez stosowną osobę. Otaczały tron liczne szeregi dworzan i wysokich urzędników królestwa, a bliżéj jeszcze Króla kwiat mędrców, poetów, artystów, w których liczbie widziałeś Woltera, Diderota, Rousseau, Rasyna, Moliera i innych, dawał wyobrażenie złotego wieku umiejętności, sztuk i literatury francuzkiéj, czerpającego życie z mądrości i ośmielających względów Monar-

chy. W głębi planu stali rzędami w świetnych szatach paziowie, a ostatnim cieniem były gęste szeregi muszkieterów królewskich.

Cały ten obraz, przy dźwięku kapeli, bez żadnéj czas niejaki pozostawał odmiany, jakby dla opojenia widzów jego urokiem; lecz po chwili zaczęły ukazywać się zwolna allegoryczne postacie, podług ówczesnego smaku z mitologicznych czerpane wyobrażeń, niedopuszczając przesycania się publiczności jednostajnością widoku.

Poważnie wtoczył się złocisty rydwan, na którym między dwóma osobami wyobrażającemi słońce i księżyc, siedział uzbrojony kosą i klepsydrą zgrzybiały Saturn. Ciągnęło go dwadzieścia cztéry dziewic wystawiających godziny: z tych dwanaście były biało, a drugie dwanaście czarno ubrane, przedstawiając dzienne i nocne godziny. Szaty piérwszych złote, drugich zaś srébrne obficie zdobiły gwiazdy, a wszystkie miały na czołach tarcze zegarów, koleją ukazujące godziny których były wyobrażeniem. Zniżały bóstwa swe znamiona przed Królem, a lotne godziny w szybkich i powabnych skokach ukazywały się i znikały, rzucając kwiaty przed tronem i rodząc wyobrażenie szybko upływających w szczęściu i chwale chwil życia Monarchy. Ujęły nakoniec rydwan, a odprowadziwszy go na stronę, kształtną około niego utworzyły gruppę.

Ukazał się potém jakby w mglistém przezroczu powabny wóz bóstw miłości i wdzięków, który bujające w sztucznych obłokach białe ciągnęły gołębie. W pełnéj wdzięku postawie siedziała na nim bogini roskoszy, mając przy sobie zbrojne w łuk i pociski miłości figlarne swe dziécię. Allegoryczne postacie wszystkich wzruszeń człowieka towarzyły królowéj serca: uczucie, żądza, nadzieja, tęsknota, wzajemność, roskosz, zazdrość, stałość, nakoniec strojne skrzydłami zefirów ulotne chwile szczęścia w opojeniu miłości, towarzyszyły wszechwładnéj pani świata, a układając się w rozliczne gruppy odbijające myśl życzeń szczęścia i hołdy dla uwielbianego śmiertelnika na tronie, połączyły się z orszakiem Saturna, tworząc z nim razem jedną allegoryczną postać.

Znikoma miłość ustąpiła miejsca poważniejszym obrazom. Zawitała mądrość i sztuka w ścisłém przymierzu jeden rydwan zasiadające. Oprócz dziewięciu muz pod skrzydłem tych bóstw opiekuńczych, każda umiejętność i sztuka kwitnąca pod berłem Ludwika, miała allegoryczną swą postać, a cała mądra drużyna, złożyła przed tronem hołdy wdzięczności i dziękczynienia.

Przy dźwięku wojennym surm i kotłów, zgodną z brzmieniem kapeli wydających harmonią, wtoczył się orszak boga wojny. Rydwan jego w kształcie czujnego koguta, dwa przepyszne ciągnęły ru-

maki, któremi kierowała chwała. Otaczali go w zbrojach greckich starożytni rycerze i szermierze, a tym przodkowały allegoryczne osoby, przedstawiające siłę, odwagę, męztwo, zapał, rycerską mądrość, zwycięztwo. Za tém wszystkiém stanęła tryumfalna brama, przez którą przeciągało francuzkie rycerstwo pod rozwiniętemi chorągwiami. Na jego czele wódz znamienity Ludwika, Turennjusz, otoczony jeńcami i zdobytemi łupy, wiódł do stóp tronu postacie niewiast w charakterystycznych ubiorach, wyobrażające ziemie i kraje które uległy orężowi Francuzów. W kornéj i błagalnéj postawie stanęły te bóstwa przed Królem, a zwycięzkie szeregi tryumfalnym przechodziły pochodem łamiąc szyki i rozliczne tworząc obróty, w pośród walk szermierskich i szczęku oręża z orszaku starożytnych boga wojny rycerzy.

Ale zawistny praw swoich sędziwy władzca czasu, postrzegł że tyle chwały zagraża jego wszechwładnéj potędze, i z podniesioną kosą wystąpił do boju, rzucając się między tłumy scenę zalegające. Przyjęto groźne wyzwanie, a każde bóstwo z zapałem stanęło do walki, któréj różne koleje rozliczne przeplatały obrazy. Wśród zgiełku i wrzawy, uległo przemocy nieubłagane dotąd bożyszcze, rzucając pod stopy Ludwika niszczący swój oręż.... gdy dźwięk trąb w oddaleniu nowe zapowiedział zjawisko. — Wtoczył się ciężko potężny słoń biały,

niosąc na swym grzbiecie posłanników Siamu. Z odległych krańców wschodu, rozgłośna sława Króla Francyi, szle berłu jego hołdy nieznanych narodów. Czarna drużyna poselstwa złotą do boku zwiérza przystawia drabinę, po któréj schodzą posłowie, i bijąc czołem Monarsze, tłumaczą mu uwielbienie swojego ludu; w tém pęka z łoskotem grzbiet słonia; wylatują zeń krocie gwiazd jaśniejących, rzucając fantastyczne swe światło na gruppy uszykowane; nakoniec, wielkim wybuchem ogni Bengalu, w uroczéj nadziemiańskich krain postaci, przedstawia się cały obraz widzom zdumiałym. — Po chwili, spada zawistna zasłona, i w mroku ciemności wzrok zachwycony przed chwilą pogrąża.

Powszechne władało milczenie, zanim olśnione blaskiem i zachwycone zmysły dały przystęp przytomnéj rozwadze. Nakoniec wybuchł okrzyk zachwytu i uwielbienia. Sam tylko pan Bartosz niezdawał się dzielić uniesień publiczności, bo rzekł z niechęcią do swéj czeredy:

— Istna to sromota, chrześciańskiemu ludowi, jakby jakim bisurmanom, pokazywać te bożki pogańskie, a razem wywodzić nam przed ślipia jakieś tam zamorskie czupiradło w koronie, jakbyśma nie mieli u siebie swojego Króla i Pana, który nam miłościwie panuje.

To mówiąc pan Bartosz srożył się i groźnie trząsł rohatyną, którą utkwił na koniec w umie-

szczonéj przy strzemieniu osadzie, a dobywszy z torby przytroczonéj u siodła oplatanéj flaszy, pociągnął z niéj posuwity łyk przepalanki, poczem oddał ją sąsiadowi, mówiąc:

— „Łyknij jeno na rezon téj akwawity bratanku i kumie, i podaj sąmsiadowi gąsiorek. Zdaje się iż nam chcą jeszcze coś pokazować te francuziska; ale wara mi z poganinem, lub jakim tam majestatem zamorskim! bo na mój klejnot herbowny pokażemy to Waściom, jak celnie i lotno niosą w pogańskie żebra sępie pióra strzał naszych!

Obiegała flasza koleją, aż nim osuszona wróciła do torby Bartosza.

Na widowni tymczasem rozlegał się szelest przygotowań, nowe zapowiadających obrazy, a po długiéj przerwie oczekiwań i wzrastającéj ciekawości, podniosła się zwolna zasłona, i przy dźwięku kapeli ukazała gród warowny, którego szańce nasterczone rusznicami i hakownicami, w gęstych szeregach niemieckie zalegało rycerstwo.

Wnet ukazały się francuzkie chorągwie, którym na czele mnogiego orszaku, w złocistéj zbroi sam Król przywodził na pysznym rumaku. Zagrzmiały działa warowni, ale niewzruszone szyki śmiało ruszyły do szturmu, rzucając się z natarczywością na szańce i krocie ognistych pocisków zionąc do grodu zagrożonego. Z rozmaitym losem obustronne staczały się boje; już francuzkie rycerstwo

osobiste wiodło z wrogiem zapasy; już tu i ówdzie tkwiły na szańcach białe znamiona, gdy nagle zaryczały miny, zionąc jaskrawe ognie tysiącem wzlatujących rac przeplatane, i przestronne w murach twierdzy otwierając wyłomy. Z podwojoném męztwem rzuca się do twierdzy oblegające rycerstwo, ale zapał jego hamuje ukazujące się na szczycie wieży znamie pokoju.

Trąba znak daje odwrotu, zwycięzkie rycerstwo otacza orszak monarchy, i czeka zjawienia się posłanników wroga ukorzonego.

Ale w téj chwili niezwykły zgiełk opanował widzów. Każdy ścigał wzrokiem hajduka w hetmańskiéj barwie, który zadyszany, uwalany w błocie i kurzu, słowem w całym nieładzie długiéj i śpiesznéj podróży, wpadł między widzów i skwapliwie dopytywał się o pana. Zsiadło z koni dwóch szlachty i powiodło go do loży hetmańskiéj.

— Cóż za nowinę przynosisz mi? rzecze hetman. Zapewne szle cię do mnie moja córka?

— Córka Waszéj Wielmożności wpadła w ręce łotrów nieznanych, odpowie hajduk. Pokonani przemocą zbójców z gór święto-krzyskich, którzy uprowadzili karocę, zdołaliśmy ująć jednego, który wyznał pod nahajem, że dostojną córę Waszéj Wielmożności, uprowadzono dla margrabiego d'Arbeil, z wyraźnych jego rozkazów.

— O sromoto! zawoła hetman. Czyliż wam mało infamii rodzica, abyście jeszcze w niewinnéj krwi jego szukali pastwy i łupu. Dobrze! czynicie mię tym czym być nigdy niechciałem. Jadę wnet w Sandomirskie i nie złożę oręża, póki nieoczyszczę majestatu z tego plemienia. Waść, Zarembo, rządź całą moją zbrojną drużyną i wydrzyj im dziewkę z drapieżnych szponów, a wdzięczności mojéj sowite ci złożę dowody, choćbyś najkosztowniejszéj krwi mojéj zapragnął w nagrodę.

To rzekłszy powstał gwałtownie, i z całym orszakiem szybko opuścił widownię.

Tymczasem na scenie otwarły się bramy warowni, ci smutny orszak zwyciężonych w kornéj postawie postąpił ku zwycięzkiemu Monarsze. Na czele jego szedł władca pokonanego grodu, niosąc w ręku znamiona dostojeństwa i władzy, a złożywszy je u stóp zwycięzcy w błagalnéj postawie, oczekiwał wyroku. Pamiętał bohatér że całym blaskiem zwycięzkiego oręża łaskawość i wzniesioną prawicą dał znak przebaczenia i zgody. Braterska miłość jednoczy nieprzyjazne przed chwilą szeregi. Brzmi muzyka radośnemi akordy. Z pokonanego grodu wychodzi orszak dziewic i rzucając kwiaty pod nogi zwycięzców, skocznemil tany maluje radość i wdzięczność, jednocząc się potem z rycerstwem, kształtną wokoło Króla układa gruppę, którą znowu wybuch bęgalskich płomieni, ozdabia blaskiem i no-

wym widzów obdarza urokiem. Spada nakoniec zasłona, a przez otwarte wnijścia, pełna wrażeń publiczność opuszcza widownię.

Ale pan Bartosz na czele swojéj drużyny zatrzymał się u złotéj gęsi, a susząc na koniu wyniesione z gospody gąsiorki, miotał obelgi i groźby na sprawców przygody hetmańskiego domu. Wzmagała się stopniami w huczne oznaki zapalczywość podochoconéj czeredy, gdy nagle ukazał się na placu orszak wracających do zamku Francuzów. Zapienił się na widok Margrabiego d'Arbeil pan Bartosz, a ująwszy kuszę, na któréj wprzód osadził strzałę dobytą z sajdaka, zmierzył ku niemu od oka; zajękła cięciwa, rozległ się świst strzały, a za nim krzyk boleści dosięgnionego, który wnet ciężko upadł na ziemię. (*) Wśród nieładu i trwogi zgromadzonych ludzi na widok popełnionego morderstwa, w szybkim galopie z całą swą rzeszą umknął ku bramom miasta pan Bartosz.

(*) Historyczne.

IV.

Małą przestrzeń pozioméj płaszczyzny na szczycie święto-krzyskiéj góry, zalegały tu i ówdzie ukryte wśród piętrzących się urwisk skalistych i ciemnéj gąszczy niebotycznych modrzewi, kilka nizkich na prędce wzniesionych lepianek. Dzika i odludna samotność, rzędy skał stromych i obnażonych stérczących nad przepaściami, co krok nieprzebyte dla stopy ludzkiéj zawady, zdolniejszém to miejsce czyniły na legowisko dzikiego zwiérza, jak na mieszkanie ludzkiéj istoty; ale dzikszym i odludniejszym od zwiérza staje się człowiek, gdy zbrodnia czyni go wygnańcem ze społeczeństwa.

Gęsta mgła chmur bujających u szczytu wyniosłéj góry, jakby czarną opończą tłumiła szarawe

światło gwiazd iskrzących się tu i ówdzie po nad chmurami, a samotność miejsca i nocy przerywało tylko słabo migające u okienka wspartéj na płaszczyznie skały lepianki światełko, którego promień odbijający się o urwiska dzikiemi porosłe chwastami, dozwalał oku oswojonemu z ciemnością, rozróżniać z bliska to miejsce otaczające przedmioty.

Na odłamie skały u brzegu płaszczyzny tuż nad niezgłębioną stérczącéj przepaścią, leżał ukryty starannie w krzakach dzikiego głogu człowiek i czujném okiem wpatrywał się w przestrzeń słabego światła lepianki. Jakby zespolony z opoką, która mu była łożem, długie przebył godziny w milczeniu nocy przerywanym tylko głuchym szumem puszczy górę opasującéj, bez innego poruszenia prócz gwałtownych uderzeń serca, miotanego tęsknotą oczekiwania kresu wątłéj i niepewnéj nadziei. Wśród usiłowań poskromienia wzrastającéj niecierpliwości, usłyszał nakoniec szelest oddalony, i po chwili błysnęło światło latarni, którą oświécał niebezpieczne swe kroki ciężko przedzierający się przez chwasty i stérczące odłamy przychodzień. Powoli rozświécała się okolica; w pełni ukazała się przestrzeń lepianki; wstrzymał oddech leżący na zwisłém nad przepaścią urwisku, a serce zabiło mu trwogą, gdy postrzegł swe położenie; ale w téj chwili już się rozpoznać dały rysy przychodnia, a

uczucia nienawiści i żądzy zemsty zastąpiły wszelką pamięć na obecność niebezpieczeństwa: — Muraszka! — wyszemrał przez zęby ściśnione zapalczywością, i ujął silnie za gałkę wystającego z pod żupana pistoletu, — gdy znowu w głębokiéj pogrążony został ciemności, znikła bowiem latarnia we wnętrzu lepianki, i znowu mrok czarny jak aksamit urozmaicał tylko słaby promyk okienka. Porwał się na nogi leżący na skale człowiek, i pochwyciwszy za pęk gałęzi dzikiego głogu, już miał skoczyć ze skały niepomny na boleść dłoni szarpanéj cierniami; ale chwila zastanowienia pohamowała ten zapęd: — Ratunek przed zemstą, — rzekł z cicha, i znowu legł między chwasty, śledząc z całém natężeniem zmysłów wszelkich oznak i dalszéj kolei wypadków.

W milczeniu nocy łatwo uderzyły słuch jego stłumione oddaleniem dźwięki rozmowy w lepiance, przerywane łkaniem i jękami, ktore wzmagając się coraz wyraźniej, odznaczyły się po chwili krzykiem rozdzierającéj rozpaczy. Nagle otwarło się wnijście lepianki i zabielił się cień wybiegającéj osoby, za którą tuż zaraz ukazał się ścigający z latarnią w ręku Muraszka; znowu blask rozjaśnił ciemności oświécając ukrytemu postrzegaczowi postać Magdaleny Lubomirskiéj, któréj wyraz przerażenia rozpaczy i wstrętu, odznaczał silną wolę, uchronienia się raczéj w niedalekiéj przepaści, jak

dostania się obmierzłemu prześladowcy który ją ścigał. Jakoż w jednéj chwili była u skały wiszącéj nad przepaścią: — już tylko kilka kroków dzieliło ją od śmierci niechybnéj; zatrzymała się, ostatnie spojrzenie rzuciła za siebie i śmiałym krokiem wstąpiła na skałę; gdy nagle z okrzykiem zadziwienia uczuła się w zbawczych objęciach. Ostróżnie i rozważnie wstępował na skałę Muraszka, a gdy wznosił latarnię dla oświecenia miejsca gdzie się schroniła ofiara, zachwiał się od silnego uderzenia i potoczył się w przepaść z krzykiem przerażającym. Jakiś czas powtarzały się jęki boleści i odgłos uderzeń ciała odbijającego się o wystające u stroméj powierzchni urwiska, poczem znowu głuche na chwilę tylko krwawym przerwane wypadkiem owładło milczenie; lecz po niejakim czasie, z drugiéj strony góry zaczęły tu i ówdzie ukazywać się pochodnie oświécające ponure postacie zbójców dotąd pogrążonych w spoczynku, których zbudziły jęki i odgłos upadku Muraszki. Całym blaskiem mnogich świateł rozjaśniła się okolica. Samotna odludność miejsca, zawalające całą przestrzeń płaszczyzny szczytu stosy przepalonych żużli i niekształtne odłamy jakby wyparte siłą wulkanu z wnętrzności jałowéj góry, głębokie rozpadliny porosłe dzikim chwastem i głogiem, tu i ówdzie wzniosłe konary rozłożystych modrzewi, mgliste kłęby obłoków w których nurzała swe czoło olbrzymia

góra przygniatające jaskrawe światło kurzących się czarnym dymem pochodni, a wśród tego wszystkiego dzikie i strwożone oblicza zbójców malowniczéj postaci zbiegających się ze światłem i orężem w ręku, tworzyły w całości swéj obraz godny pędzla Salwatora.

Po krótkiéj naradzie rozdzielili się na kilka oddziałów i starannie wszystkie przeglądać zaczęli kryjówki,—gdy nagle ozwały się tu i ówdzie wystrzały; legło kilku z gromady, a z różnych miejsc ukrytych zjawiły się zbrojne postacie pod barwą Lubomirskiego, i uderzyły na zbójców połączonemi siłami; zacięta toczyła się walka.

Zbliżone tymczasem do siebie nadzwyczajnością przygody dwa serca, którym dotąd zostawały tylko samotne westchnienia dolegliwości na widok dzielącéj ich nieprzebytéj zapory względów światowéj przyzwoitości, w opojeniu piérwszych w życiu uścíśnień zapomniały na śmierć nawet srożącą się w około dziwnego ich łoża miłości. Świéże wrażenie krwawego zgonu wroga i prześladowcy, o kilka cali taż sama przepaść która go pochłonęła grożąca równém przeznaczeniem kochankom, daléj nieco krwawa bitwa od któréj losu wszelka ich zawisła nadzieja, wszystko to znikło w uroczém omamieniu piérwszego a może ostatniego w życiu uszczęśliwienia. Śmierć sama w téj chwili osłodziłaby jeszcze spełnioną miarę rozkoszy.

Tymczasem pod wsią Łęgonicami w województwie Rawskiém, na przestronnéj dolinie liczna partya Lubomirskiego szérokim leżała obozem. Szlachta województw Poznańskiego, Sandomierskiego, Kaliskiego, Sieradzkiego i Łęczyckiego, każda pod swą barwą i chorągwiami oddzielne zajmowała tabory, które rozłączały obozowiska drogonii, jazdy pancernéj, rot wolontaryuszów i całego zbrojnego towarzystwa.

Na wzgórzu panującém nad doliną, wznosił się széroki namiot Hetmana, pod którym zgromadzeni kommissarze: Biskup krakowski Andrzéj Trzebicki, Kasztelan sanocki Piotr Warszycki, Wojewoda inowrocławski Krzysztof Zegocki i Hetman polny W. Ks. litewskiego Michał Kazimiérz Pac, traktowali o porozumienie się w niezgodach rozdwojenia się obywatelskiego. Ale frasunek domowych nieszczęść Hetmana, które przypisywał zawsze intrygom czyhających na spoczynek i dobro kraju Francuzów, tamował postęp ugody skądinąd tak przez samego Hetmana jak i przez jego pożądanéj stronnictwo, którego cały zapał utrudzały oddawna długie i czcze a bez stałego celu pogonie i stanowiska. Nieodmawiał atoli Hetman wymaganéj od siebie submissyi i użycia wpływu swéj przewagi na pojednanie rozdwojonych w kraju żywiołów; ale wymagał obok kassaty dekretu bannicyi głośnego wytoczenia sprawy o poniewierkę wyrządzoną swemu imieniowi i

cześci obywatelskiéj w osobie córki, wrócenia jéj na łono rodzica i ukarania wedle statutów na gardle winowajców gwałtownego uwiezienia panny zacnego rodu.

Niełatwym był do spełnienia ten ostatni warunek, aczkolwiek godziwy i rodzicielskiém sercem usprawiedliwiony. Głuche i nieuzasadnione wieści obwiniały wprawdzie o udział w téj sprawie osób wziętość u dworu posiadających, ale żaden dowód niewspierał oskarżenia, które zresztą dotykało głównie Margrabiego d'Arbeil, a ten, jak widzieliśmy, poległ od pocisków podpiłéj szlachty. Umiarkowane w téj mierze mniemania czyn cały przypisywały prostym zbójcom dla wyjednania bogatego okupu, a ocalenie uprowadzonéj panny samego tylko dziełem być mogło Hetmana, któremu zresztą niezbywało na środkach dopięcia zamiaru, bądź ugodą, bądź mocą.

Nieporozumienia te odwlekały pożądaną powszechnie konkluzyą układów, a czas schodził na dysputach i przezorném ważeniu zobopólnie proponowanych warunków, gdy nagle zabrzmiały na całéj przestrzeni obozu okrzyki pozdrowienia i hucznych wiwatów. Szybko wybiegł Hetman z namiotu, przed którym właśnie stanęła ciężka koroca otoczona zbrojnym pocztem pod dowództwem Jędrzeja Zaremby, i za chwilę rzuciła się w objęcia ojca Magdalena Lubomirska.

Po upłynieniu piérwszych wrażeń zadziwienia i radości, skwapliwie rozpytywał się Hetman o przygody i szczegóły ocalenia swéj córki, która mu opowiedziała wszystko co dla niéj uczynił Zaremba, a odprowadziwszy ojca na stronę, oświadczyła stanowczo że jemu poświęcić postanowiła to życie, które on dwakroć z narażaniem własnego od niechybnéj ocalił zguby, gdyby zaś niesprzyjała téj myśli wola rodzica, ślubowałaby Bogu resztę swojego żywota.

Zmarszczył brwi Hetman na myśl spokrewnienia się z prostym i ubogim szlachcicem; długi czas zachmurzony, szybkim przechadzał się krokiem; ale pamięć wzniosłych przymiotów młodzieńca, mnogich zasług tak dla kraju jak w szczególności dla domu jego przezeń złożonych, oparta na szacunku przyjaźni którą go oddawna zaszczycał, w końcu pamięć obietnic wynagrodzenia go za ocalenie córki choćby ceną najbliższéj krwi swoiéj, przemogły wszelkie względy osobistości. Rozpogodził czoło i rzekł:

— Verbum nobile! niech krew szlachecka jednoczy się z pańską gdy ją wznosi prawość i cnota; a śpieszmy z godami dopókim wygnaniec, bo jeśli mi Niebo poszczęści do odzyskania względów Najmiłościwszego Króla i Pana mojego, wara mi z abdykacyą i pretensyami owych tam Francuzów; bo i ja acz sędziwy jeszczem rzeski do korda i konia, i nieprzygniotłaby mię do ziemi korona; a gdybym

ją pozyskał, jużby mi niemógł być zięciem Zaremba.

Wśród uszczęśliwienia zachwyconéj pary, szybko do pożądanego kresu doszły układy, a kraj z dotkliwych niesnasek ujrzał wyzwolenie i błogi pokój.

NOC.

Smutne są kwiaty, gdy słońce promienne
Pali je ogniem, ich głowy nachyla,
Lecz jak wesołe gdy je noc zasila,
Na nowe walki i cierpienia dzienne,
  Noc wzmacnia siły i balsamem męztwa,
  Zalewa serce, wskazując zwycięztwa.

Próżniaczy umysł spoczynku zażąda,
I na ten księżyc co blademi oczy
Po falach wodnych rzuca cień uroczy,
Spogląda okiem, sercem nie spogląda.

  Chwila marzenia — jeżeli się zowie
  Szczęściem człowieka, to właśnie ta chwila
  W nocy się znajdzie — Patrz księżyc w połowie
  Z za chmur złocone promienie wychyla,

Jakby się bawił jakby drażnił oko,
Zaledwie wyszedł, już się skrył w obłoki,
Pod jego twarzą płyną chmur potoki,
A on w nich błądzi daleko, wysoko.

To los twój właśnie pędzi jego torem,
Raz się przywlecze ozdobnym ubiorem,
A inną razą, niby drażniąc z tobą,
Duszę ci czarną pokryje żałobą,

Spojrzéj w ten obraz nocnego tułacza,
Powrócił — światło na wodach roztacza,
Jak wąż ognisty po bałwanach płonie,
I złoci kręgi i pod niemi tonie;
A fale niosą drobnych świateł szczątki,
Niby to człowiek cacko dla pamiątki.
I płynie woda, pyszna oświetleniem,
I mruczy z cicha i rwie swoje ściany,
Jak ten co szczęściem pijany,
Za wielkości goni cieniem.

Dla mnie rozkoszy blasku niepotrzeba,
Chciałbym mieć tylko tak potężne dłonie,
Abym te ziemie te wody i nieba,
Niby kochankę przy mym ściskał łonie,

Pieścił się z niemi, jak ojciec z dzieciną,
Płynął i pluskał jak te wody płyną,
Świecił jak miesiąc z górnych sklepień świeci
Dla moich braci jednéj ziemi dzieci,

Tém czasem kwiatku z tobą się popieszczę,
Z tobą ja razem umocniwszy siły,
Nieszczęścia życia mogę znosić jeszcze
Bo moje czucia odżyły.

I nieupadnę pod ogniem słonecznym,
Bom nabrał męztwa i mocy,
Bądź więc bezpiecznym, jak ja bezpiecznym,
Mój świadku dumania w nocy.

Lenartowicz.

MIŁOŚĆ I ZEMSTA ARTYSTY.

POWIEŚĆ.

Przy jednéj z winnic wsławionego *lacrima Christi*, widziano przeszłoroczněj jesieni dwóch Ichmościów siedzących za butelką wina. Jeden z nich, był to officer wojsk austryackich, blondyn ze świéżym rumieńcem, z wijącemi się puklami włosów, co do najmniejszego szczegółu starannie ubrany, tak iż można by posądzić że musi być rozkochany w samym sobie; drugi zaś cywilny, jakby dla sprzeczności z piérwszym był brunet w zaniedbanym stroju, ciemnym okryty płaszczem, z głębi wyżółkłych zapadłych policzków,

oczy skrzyły mu się chorobliwym blaskiem. Kiedy i jak zbliżyli się do siebie, co uprzednio mówili, wiadomém nie jest, dość że nie zważając na sąsiadów swoich, taką daléj prowadzili rozmowę.

— A więc kapitanie Henryku, mówił człowiek w ciemnym płaszczu, usłużnie podając szklankę wina towarzyszowi, znałeś Zorzinę?

— Dość żeby przy okoliczności mile wspomnieć o tém, odpowiedział officer z uśmiechem zadowolenia.

— Jeśli się nie mylę, było to w tym czasie kiedy ona słynęła w Brescia.

— Tak jest Mości Panie, w czasie kiedy słynęła w Brescia, Padwie, Bolonii, Parmie, Wenecyi, ba i w całych Włoszech.

— Kapitanie! pytać nie będę czy to były szczęśliwe czasy dla pana. Bardzo dobrze pamiętam o tém, jaki to był zaszczyt jeśli kogo z tłumu wielbicieli, czarująca śpiewaczka obdarzyła łaskawém spojrzeniem.

— A jednak sądziłbym że nie próżno chełpię się, mówiąc, że spoglądała na mnie, niezupełnie obojętnie.

— Ba! czegóż by jéj więcéj trzeba było. Postać okazała, epolety, mundur suto haftowany, podostatek złota. Kapitanie miałeś wszystko czém się podbijają serca bogiń kulisowych, i jak się zdaje bie-

daczka była podobna z tego względu do innych swoich towarzyszek. Oto więc tylko chodzi: czy ona cię panie rzeczywiście kochała.

— Powiem prawdę, bo chcę być szczerym. Ona mnie dopiéro poczynała kochać. Ale dość tego, cała ta dziecinna historya zapewne nie wieleby zajmowała pana.

— I owszem, uręczam że bardzo. Z powołania mojego zajmuję się każdym przedmiotem, tyczącym się sztuk pięknych i poezyi. Od chwili kiedym wyszedł ze szkół, pilnie nadstawiam ucha śpiewowi słowików naszéj Auzonii. Z prawdziwą przyjemnością wywiaduję się o wszelkich szczegółach ich życia, a przedewszystkiemi najciekawszy jestem biografii Zorziny.

— Kiedy tak, daléj drożyć się niechcę, i powolny pańskiéj fantazyi opowiem całą moją znajomość z Zorziną.

— Właśnie tego życzę sobie.

Tu człowiek w ciemnym płaszczu, po raz drugi przylał wina do szklanek, a officer zalotnie podmuskawszy swoje blond wąsiki, tak mówił:

— Będzie temu lat cztéry, czyli pięć, pułk nasz stał garnizonem w Breścia, Zorzina cudów tam dokazywała, rzekłbyś że zawróciła głowę całemu miastu. Po trzech wieczorach którém przepędził w teatrze, byłem w niéj rozkochany.

— To tak jak wszyscy — w całém mieście.

— Przynajmniéj jak wszyscy officerowie naszego pułku. Jéj oczy zrobiły na mnie wrażenie, jakiego żadna inna kobiéta dotąd niewzbudziła. Prędko dostrzegła moję miłość, ale bynajmniéj nieokazywała żadnego współczucia. Posyłałem bileciki jedne po drugich, bukiety po bukietach, lecz wszystko było bezskuteczném; pokazało się bowiem że Prima Donna, już miała kochanka, którym był jak mówiono znakomity artysta.

— Może malarz?

— To mi wszystko jedno, może i malarz — ale tak zawistny i podejrzliwy że zazdroszcząc uniesień które Zorzina w tłumie widzów nieciła, miał się z nią żenić byleby ją wyrwać z pośród tryumfów. Nikła przeto dla mnie cała nadzieja szczęśliwéj miłości; aż oto pewnego wieczora, kiedym szedł przez plac Świętego Jakóba, jakaś staruszka przytrzymała mnie za suknie, i tajemniczo podała paczkę z sygarami, w środku których znalazłem bilecik.

— Co? bilecik Zorziny?

— Nieinaczéj.

— Szczęśliwy człowieku! cóż pisała owa czarodziejka?

— Tysiące miłych rzeczy, kończących się takiém poleceniem: „Bądź jutro w parę godzin po zachodzie słońca w Villi Montefiascone, czekać cię tam będę.”

— Cóż zrobiłeś?

— A to mi pytanie — pobiegłem tam najpunktualniéj.

— Przecież w Villi w ten dzień bal dawano, czyliż byłeś zaproszony?

— O nie — wcisnąłem się podstępem, a w ostatnim razie i żelazem utorowałbym sobie drogę.

— Cóż daléj?

— Oświecone salony i ogrody jaśniały wspaniale jakby rywalizując z niebem usianém tysiącami gwiazd. Tłumy wesołych gęstemi falami przesuwały się po wspaniałych salonach pałacu, pomniejsze zaś grona, snuły się po cienistych aleach ogrodu. Wszakże w ustach i tych i owych, jedno tylko było imie — imie Zorziny, sławnéj śpiewaczki, od dwóch lat zachwycającéj Brescia i mającéj nazajutrz wystąpić po raz ostatni w operze *Semiramis*.

— A więc i tego wieczora zebrali się żeby ją widziéć i słyszéć.

— Nieinaczéj — zlecieli się po to z różnych stron na mil dwadzieścia w około. Ale wróćmy do rzeczy.

— Dobrze pan mówisz.

— Wyobraź sobie, zaledwiem wstąpił na przestronny krużganek pałacu, postrzegłem w głębi jego, kobiétę w białém ubraniu, kwiatami uwieńczoną. Stała nieporuszona wsparta o marmurową kolumnę.

— Podobna do Julietty wyglądającéj Romea.

— Jeśli chcesz niech i tak będzie. Podobna do Julietty — poszedłem prosto ku niéj; szelest mojego stąpania przerwał jéj zadumanie.

— To pan jesteś kapitan Henryk, rzekła do mnie głosem stokroć dźwięczniejszym, niż brzmienie arfy Eolskiéj.

— Tak jest odpowiedziałem. To ja, com od tak dawnego czasu wzdychał do sposobności widzenia cię pani! Wcisnąłem się pomiędzy tłumy biesiadników, znajduję cię pani i teraz jestem najszczęśliwszy z ludzi.

— Ah — pan możesz być szczęśliwym, mówiła daléj tym samym głosem — lecz co do mnie, niepojmuję dla czego pomimowolny dreszcz mnie przejmuje. Zdaje mi się, rzekła usuwając się z mych objęć, żem nierozsądnie postąpiła. Biada nam jeżeli Giulo o tém się dowie?

— Giulo, zawołałem, któż to jest ten Giulo?

— Ha, na nieszczęście przyrzekłam oddać się jemu. Jestto wielki artysta, ale szaleniec, przed którego miłością niewiem gdziebym znalazła schronienie.

— Więc takie było jéj o nim zdanie?

— Ona mi to drżąc mówiła i zdawało mi się że jéj duże piękne oczy, jakiś pomrok osłonił. Wszakże nader krótko trwało nasze spotkanie. Wnet bowiem dały się słyszéć rozmaite głosy zbliżających się ku nam.

— Szukają mnie rzekła Zorzina. Trzeba żebym śpiewała i żeby mnie widzieli. Użal się nademną Henryku i uchodź spiesznie.

— Bądź zdrowa moja Semiramido! odpowiedziałem całując jéj rękę, i w kilku skokach zbiegłem na dół do ogrodu. Wtedy to moja czarodziejka odpięła kwiatek ze swojego wieńca, zdjęła pierścień z ręki i rzucając mi je zawołała: „To dla ciebie."

— Więc tu się kończy cała twoja historya kapitanie.

— Nakształt tego, rzecze officer. Nazajutrz teatr w Breścia był wspaniale oświecony, sążniste afisze ogromnemi literami zapowiadały Semiramidę, operę Serjo, jako ostatnie wystąpienie i benefis Signory Zorziny. Tłumy ludu cisnęły się ze wszech stron i jak massą wód otoczyły wszystkie wejścia teatru. Nakoniec drzwi się otworzyły i jego sklepienia pochłonęły potok ludzi cisnących się tu i owdzie zhałasem. Ledwie chwilka upłynęła, a już sala była przepełnioną, mnóstwo osób pozostało za teatrem lub w jego korytarzach. Scisk przeto był niesłychany, tu wszczęto kłótnie, tam przychodziło do bitwy, krzyki i hałas zewsząd się szerzyły, rzekłbyś że od nich mury pękać będą, a jednak nagle wszystko ucichło. Rozpoczęto uwerturę.

— Ale cóż benefisantka? kapitan nic o niéj nie mówisz.

— Poczekaj będzie i o niéj. Skończyli uwerturę a przecież zasłona niepodniosła się. Zdumiona publiczność ogromnemi krzykami poczęła wywoływać śpiewaczkę. Hałas wzmagał się coraz więcéj. Wszystko na próżno. Nastąpiła wrzawa i zamieszanie, jakich dotąd nie było, aż nareszcie po dobrym kwadransie podniesiono zasłonę, a publiczność ujrzała reżyssera, który zbliżył się naprzód sceny z trzykrotnym ukłonem. Nastąpiło grobowe milczenie.

„Szanowna publiczności, ozwał się reżysser. Wszystkie usiłowania żeby wynaleźć Signorę, były próżnemi. Signora znikła.”

Usłyszawszy te słowa publiczność rozeszła się smutna, milcząca, robiąc w zdumieniu tysiące domysłów, coby to znaczyć miało. Ma się rozumiéć iż co do mnie, wracałem więcéj smutny, bardziéj zdumiony niż ktokolwiek inny i pilnie słuchałem wniosków tyczących się dziwacznego zniknienia piérwszéj włoskiéj śpiewaczki. Mówiono rozmaicie:

„Signora zlękła się skutków swojego życia światowego i wyjechała do Rzymu, gdzie wstąpi do klasztoru.”

„Signora obawiała się ułożonego za mąż pójścia uciekła do Francyi, przebrana za kontrabandzistę.”

„Signora dnia poprzedzającego zdradziła swoję nowę skłonność dla jakiegoś officera austryackiego, a dawniejszy kochanek przebił ją sztyletem.”

— Pan łatwo uwierzysz że na to ostatnie wnioskowanie nadstawiłem ucha jak rumak słyszący ryk dział rozpoczynających bitwę. Ale napróżno zbliżyłem się do grona osób od których wyszły owe słowa nikt nic stanowczego powiedziéć niemógł.

— A zatem niewiesz nic więcéj o losie Zorziny?

— Nic, chyba to, że kwiatek od niéj otrzymany zwiądł, a następnie w proch się obrócił, i tylko pierścień z jéj drogiéj ręki tu na piersiach moich złożony, ani na chwilę nie był odemnie usunięty.... A to co mój panie? Czemu tak gwałtownie zdruzgotałeś twoją szklankę?

— Przepraszam — myślałem o dziwactwie tego wydarzenia. Wszak to właśnie tu gdzie się kończy twoja kapitanie historya, o któréj tylko nieco wiedziałem, zaczyna się inna, lepiéj mi znana.

— Co przez to chcesz powiedzieć? Mógłżebyś mnie uwiadomić co się stało z Zorziną?

— I owszem.

Teraz z kolei officer wziął się do butelki usługując podlewaniem wina do szklanek, — łyknął haust spory i zawołał:

— Mów; — słucham.

Towarzysz w ciemnym płaszczu niedał się prosić i tak mówił:

— Tego wieczora, kiedy miało być przedstawienie zapowiedzianéj opery, Prima donna w swo-

im własnym pałacu siedziała u gotowalni i ubierała się w obec wiadomego panu artysty, to jest malarza; dość prędko ukończyła toaletę i była gotową do wystąpienia w roli Królowéj Babilonu. Malarz Giulo, jeśli przypominasz, milcząc w nią się wpatrywał i zarzucał sobie, że dotąd niedość jeszcze oceniał jéj wdzięki. Zdawało się jemu, że korona tak właściwie umieszczona na jéj czole, jak słońce na niebie, że jéj piękne oczy z pod długich czarnych rzęsów, błyszczą jak brylanty w czarną oprawne emalię, że pukle lśniących się włosów po nad bladorumianemi jéj policzkami tworzyły rysy, pędzlem Rafaela kreślone, że usta ożywiał uśmiech czarodziejski, jedném słowem, że wszystko w niéj było urokiem — poezyą. — Widząc ją taką, Giulo niebył panem samego siebie. Gorączka nim owładnęła, gorączka podwójna, zawiści i natchnienia, ta okropna słabość, w któréj człowiek przeistacza się, albo w półboga, albo w szatana, ta fatalna godzina, w któréj Mozart wpadał w obłąkanie, a Byron lękał się jeden wiérsz napisać, bo by nim cały świat przestraszył.

— Cóż uczynił Giulo?

— Giulo rzekł do niéj: A więc od téj chwili, musisz być moją.

— Ah! mój władco, odrzekła, jeszcze trochę cierpliwości, jeszcze dzień jeden.

— Jeden dzień! Oh Zorzino, jakże jesteś próżna. Twoja sława droższą jest dla ciebie, niż miłość!

— Giulo! na co mi to mówisz. Daj mi ten dzień jeszcze, będzie to ostatni dzień mojéj chwały. Wszak przyrzekłam, muszę więc dotrzymać. Po przedstawieniu Semiramidy, już tylko do ciebie należeć będę.

Malarz nic nieodrzekł, ale chwycił się za czoło jak gdyby myśl jakaś nagle go oświeciła.

— Więc jedziemy? rzekła piękna dziewica.

Po chwili zeszli na dół oboje. U bram pałacu czekał na nich pojazd. Kiedy wsiadali, Giulo szepnął cóś do ucha stangretowi i pojazd wielkim pędem potoczył się po bruku.

— Dokąd kazałeś jechać, zawołała strwożona Zorzina. Wszak to nie jest droga do teatru. Całe Brescia tam mnie czeka, a my jesteśmy na ulicy Podestat, blizko twojego gabinetu!

Giulo milczał ciągle, pojazd wkrótce się zatrzymał — a wtenczas malarz wziąwszy na ręce Zorzinę gazą i kwiatami strojną, uniósł ją do pokoiku, którego drzwi jak na zawołanie przed niemi otworzyły się.

— Co pomyśli Brescia, mówiła śpiéwaczka. — Dziesięć lat pracy, Neapol pełen zapału, hołdownicza Bolonia, Wenecya, która ciągle mnie wzywa, sławę i o co się tylko w życiu troszczyłam, ty mi wszystko wydzierasz Giulo!

— Co tam te fraszki! kilka tysięcy rąk miało ci poklaskiwać i rzucać wieńce, ale ja dręczony zawiścią, niezmrużyłbym oka przez noc całą, na tę myśl tylko, że inni patrzą na ciebie, poją się twoim głosem, mnie zaś w samotności tylko marzyć o tobie pozostało. Wszakże jeśliś tak chciwa sławy, spójrzyj na ten obraz, będzie to *męczeństwo Cecylii.* Kat z posługaczami i narzędzia mąk już są wykończone, brakuje tylko dziewicy. — Zorzino, ty będziesz ową dziewicą, a na tym obrazie, ja unieśmiertelnię ciebie, twoje czarne oczy i twój wieniec z kwiatów.

— Jest tu Giulo mała omyłka. Tobie dla wzoru nie komedyantka jest potrzebna, trzeba ci wyrazu cierpień, boleści, a ja ustrojona w klejnoty i róże raczéj do posągu rozkoszy byłabym podobną.

— Niech cię to nie frasuje. — Zrzuć te kwiaty.

— I tak jeszcze nie zostanę dziewicą chrześciańską, patrz na tę odzież, jestem żoną Assura.

— Precz z tem wszystkiém, precz ze złotem, bryllantami, zrzuć gorset, rozrywaj spięcia!

Malarz sam spełniał rozkazy, które dawał.

— Czyż przy tém wszystkiem, mówiła Zorzina, przestanę być kobiétą światową, czyliż moje usta mniéj się uśmiechają, a w całéj postaci mniéj zmysłowych powabów?

— A więc miéj się na baczności. O to kat zbliża się ze wszelkiemi narzędziami tortury. Zorzino! ty będziesz dziwnie piękna pod czas męczeństwa.

— Tylko westchienia moje nie ku niebu ulatywać będą, ale ku scenie teatralnéj.

— I ty westchnienia twoje zwrócisz do Zbawiciela. — Patrz o to kat przy tobie. — Wyciągnij twoje ręce niech je okują. Czekaj, teraz uwiążą cię do pręgierza. Co? już płaczesz? Twoje alabastrowe ciało jęka od chłosty. Ah Zorzino! jakżeś ty teraz piękna!

— Więc on ją rzeczywiście okuł i skrępował, zapyta kapitan Henryk.

— Nietylko okutą przywiązał do słupa, lecz blady, w szaloném zapamiętaniu to malował ją, to znowu wznawiał chłostę i szarpał jéj łono.

— Nieszczęśliwa kobiéta!

— Czemu nie powiesz raczéj, nieszczęśliwy malarz. Wszakże on cierpiał więcéj niż ona, on wołał w obłędzie: patrz! oto już kleszcze rozpalone i szubienica czeka na ciebie z otwartemi ramionami.

— Ty mnie przerażasz!

— Ale jakżeś teraz niewypowiedzianie piękna. Na krzyżu zaś będziesz miała postać bóstwa. A więc na krzyż — na krzyż.

— Giulo zlituj się!

— Niema litości, umieraj!

— Ja nie Cecylia znakomita Rzymianka, ale Zorzina śpiewaczka, użal się nademną.

— Próżne płacze, musisz umrzéć!

I gdy jego szaleństwo trwało daléj, porwał młotek, ćwieki i przebiwszy niemi jéj ręce i nogi, zawiesił ją u słupa.

— Ha! ukończ to straszliwe opowiadanie, wołał kapitan Henryk, którego twarz oblała się zimnym potem. Czyś czarnoksiężnik dawnych wieków, że całą moc szlachetnego wina zniweczyłeś twojemi słowami.

— Czyliż nie sam pytałeś, co się stało z Zorziną.

— To prawda — któżby jednak spodziewał się podobnego rozwiązania dramatu.

— Poczekaj, ledwo piérwszą połowę wiesz rowiązania, a więc opowiem ci drugą.

— Dajmy temu pokój, już i bez tego smutno mi na umyśle. Przyszedłem tutaj rozweselić się winem, tym drogim darem nieba, aż oto nabijasz mi głowę grobową powieścią. Dosyć! Dosyć.

— Kiedy tak, to niebędziesz wiedział jakim sposobem Zorzinę wrzucono do morza.

— Co mówisz! to ciało kształtniejsze niż greckiéj Wenery.

Tak, tak Mości panie. Ukończywszy malować swój obraz męczeństwa Cecylii, i bez podpisu przesławszy go w podarunku dla galeryi w Breścia, Giulo zdjął ze słupa to ciało, jak powiadasz kształtniejsze niż greckiéj Wenery, położył je w poprzek na koniu i jechał prosto przed siebie, dopóki nie przybył nad morze adryatyckie, tu więc zdjął je i rzucił morskim rybom na pastwę.

— Krwawy geniusz Shakespeara niewymyśliłby nic okropniejszego. Ten Giulo, jest to zapewne tygrys z ludzką twarzą.

— Albo też nieszczęśliwy waryat.

— Więc go uniewinniasz.

— Lituję się nad nim.

— Cóż późniéj z nim się stało?

— Zawsze godzien politowania. Naprzód rzucił się w odmęt głupstw najdziwaczniejszych. Lubo artysta, przecież zimny i spokojny, liczył więcéj kochanek pomiędzy słynącemi śpiewaczkami, niż ktokolwiek inny z ludzi jego wieku i powołania. Wszakże przy najpiękniejszych czuł tylko wstręt i rozpacz. Zdawało się jemu że go przedziela od tych kobiét cień Zorziny, takiéj jaką widział ją w swoim gabinecie, tojest umierającą śmiercią męczeńską, a przecież okrytą gazą i uwieńczoną kwiatami. Jednak dobrze mówiłeś kapitanie, dość téj grobowéj powieści: — Pijmy daléj.

— Dość i picia. Wreszcie jużeśmy osuszyli butelkę i noc nadchodzi, a potém jeśli mam prawdę powiedziéć, ten szatan malarz mnie zajmuje. Gdzieby on był teraz.

— Kto wie — jak powiadają on jest tam zazwyczaj, gdziekolwiek może znaleźć wspomnienie lub pamiątkę Zorziny.

— Wszystko to bardzo dziwaczne.

— Bardzo dziwaczne, zgadzam się na to. Ale posłuchaj jeszcze; kiedyś powiedziano jemu „Giulo, ów człowiek którego Semiramis przeniosła nad ciebie, w Villi Montefiascone otrzymał od niéj obrączkę czyli pierścień i zawsze go nosi przy sobie.” Od czasu powzięcia téj wiadomości, artysta ani na chwilę nieodwrócił swoich oczu od tego który skradł jego szczęście.

Ostatnie słowa człowieka w ciemnym płaszczu, wymówił wolno lecz groźnie, i tu właśnie otworzyły się oczy kapitanowi, powstał więc ze swego siedzenia i w strasznem uniesieniu:

— Ty jesteś Giulo! zawołał. Ty morderca Zorziny! Od lat cztérech twój płaszcz ciemny nawija mi się ciągle, i jak widmo wszędzie mnie ściga. Czas położyć koniec temu opętaniu. Każ niech ci przyniosą szpadę, rozprawiemy się mój panie!

Giulo, bo to był on sam, odpowiedział zimno:

— Każ lepiéj podać drugą flaszkę wina i pijmy daléj kapitanie.

— Więc mało ci żeś zabójca. Chcesz jeszcze dowieść żeś podły. Czyliż odmówisz zmierzyć się ze mną z bronią w ręku. Co? bić się niechcesz!

— Bić się — odpowiedział malarz, byłoby zbytecznem. Wino które od dwóch godzin pijemy, jest doskonale zatrute.

Karol Korwell.

Do
WYDAWCY NIEZAPOMINAJEK
PRZY PRZESŁANIU ARTYKUŁU.

Tibi soli.

Kiedy do drzwi moich pukasz
Lichych ziarnek u mnie szukasz
I powiadasz: nic nie szkodzi
Wszystko się tu razem zgodzi
Odmówić ci nie wypada
Ale bracie moja rada:
Idź na niwy i obszary
I z tamtąd zbieraj ofiary.

Moje ziarko w tłumie zginie
Tak jak giną ich tysiące,
I choć w owoc się rozwinie
To przyjdą skwary gorące

I owoc się wcześnie spali
  Nic go, nic go nie ocali.
O! tylko na jednéj ziemi
  To ziarnko może nie zginie!
Może się nawet rozplemi
  Może pożytkiem zasłynie.
A tem jest serce dzieciny
  Tam moje ziarko zasiewam
To cel zabiegów jedyny
  Z niego się plonów spodziewam.

SZYMONEK.

OBRAZEK MIEJSCOWY.

—„Zawsze sobie matulu wspominam z pociechą
„Żem tu pod tą słomianą urodzony strzechą,“
Mówił Szymek, gdy ze szkół przyjechał do domu.
  „O nie zazdroszczę bogactw nikomu.“

—„Bóg ci zapłać mój synu“ odrzecze matula
I dobrego Szymonka do serca przytula,
„Bóg zapłać, że ci chatka Ojców twoich droga;
„Siądź-że na téj laweczce, prosta lecz chędoga.
„Cóż? czy się w naszéj chatce co nie odmieniło?
„Zawsze ci tu, Szymonku, dobrze z nami było!

—„Oj dobrze, tu na trzonie ciepłego kominka
„Grzały się obwarzanki dla waszego synka.
„Zdala z mlékiem garnuszek, z ziemniaczkami rynka.
„Dobre to były czasy, ach matula droga!
„Tuście wcześnie me serce zwracali do Boga.
„Ten Pan Jezus rozpięty, obrazki do koła,
„Relikwije Świętych Pańskich, te święcone zioła
„Wszystko to nieraz w szkołach w pamięci się zbiegło
„Od złych myśli broniło, serca mego strzegło
„I wracam nieskażony w naszéj chatki progi."
—„Niech ci Bóg błogosławi, mój Szymonku drogi;
„Bądź skromny i cnotliwy, bądź matki pociechą
„Zawsze pomnij, żeś zrodzon pod słomianą strzechą
„Cnotliwego ubóstwa wstydzić się nie trzeba
„Pamiętaj że pokora prowadzi do nieba."

Stanisław Jachowicz.

CUDOWNY OBRAZ
NAJŚWIĘTSZÉJ MARYI PANNY
W SOKALU.

Z mnogich obrazów N. Maryi Panny cudami słynących, a w kraju Polskim w różnych miejscach znajdujących się, po Częstochowskim, najsławniejszym był obraz Sokalski. Istnienie jego sięga XIV^go^ wieku, odtąd przez wszystkie następne czasy miał największą cześć w pobożnym narodzie, wyświadczając liczne korzącym się przed nim dobrodziejstwa, czy to ukojeniem cierpień ciała, czy pokrzepieniem zwątlałego ducha, czy pociechą we wszelkich strapieniach i frasunkach życia. W dniu 25 maja roku

bieżącego, w Wniebowstąpienie Pańskie, ogniem w kościele wszczętym, który gmachy ustronia świętego zniszczył, i Obraz ten cudowny spłonął. Gdy tym wypadkiem przedmiot czci tylowiecznéj niepowrotnéj uległ zagładzie, właściwém będzie przeszłość jego jako téż i miejsca przypomnieć, i w krótkiém skreśleniu przechować.

Kiedy Król Władysław Jagiełło przyjąwszy światło wiary Chrystusowéj, Litwę do niéj nawracał, znajdował się między nowo ochrzczonymi malarz pewien *Jakób Wężyk*, w ówczas zawołany, gdyż i na królewskim dworze wiele obrazów, wizerunki królewskie i różne zdarzenia wystawiających, sporządził. Ten, na częstém malowaniu (roku 1,392) wzrok utraciwszy, Matce Boskiéj Częstochowskiéj ofirował się, i widzenie odzyskał. Wdzięcznością przejęty wróciwszy z pielgrzymki, postanowił obraz Matki Najśw. z pamięci, jak to umiał, odmalować. Przyspasabia więc cyprysową tablicę, lecz do pracy się zabrawszy, schwycić podobieństw nie może. Dwakroć do Częstochowy powraca i zawsze napróżno. W tém gdy z trzeciéj już pielgrzymki do domu przychodzi, znajduje na swéj tablicy wizerunek, z zupełném podobieństwem nie widomą ręką zdziałany. Niebieskie to malowidło złożył Wężyk w Sokalu, w cerkwi greckiéj tamże będącéj, gdzie sam téż osiadł i do końca życia pozostał.

Takie jest o początku świętego Obrazu, gminne podanie.

Później niewiadomo kiedy, w spaleniu przez napad tatarski miasta Sokala, i cierkiew owa zgorzała. Obraz wszakże w całości w popiołach znalazł się, umieszczony nadal w kościółku z balów dębowych, a gliną zewnątrz wylepionych zbudowanym, a Katolickiemu kapłanowi w dozór powierzonym.

Szerząca się sława cudów świętego Obrazu, skłoniła złożonego ciężką chorobą Biskupa Chełmskiego Stanisława Gomolińskiego, do ofiarowania się Matce Boskiéj Sokalskiéj. Gdy zdrowie odzyskuje, odwiédza miejsce, a widząc zbytni trud jednego kapłana świeckiego, przy ciągłym natłoku pobożnych, sprowadza ze Lwowa *Braci Zakonnych Ś. Franciszka Obserwantów*, i w dozór im kościołek, a na własność przyległe grunta i łąki dnia 17 października 1599 r. oddaje. — Niedługo potém wymurowano obok kościołka kaplicę, do któréj dla lepszéj od ognia ochrony, przy częstych hord dzikich najazdach, Obraz cudowny przeniesiony został.

Atoli złożone hojne ofiary, zwłaszcza wspomnionego biskupa Gomolińskiego, Jana Hrabiego Ostroroga Wojewody Poznańskiego, Anny Uchańskiéj Wojewodziny Bełzkiéj, Hieronima Jazłowieckiego Starosty Sokalskiego i wielu innych, dozwoliły zająć się wzniesieniem właściwszéj budowy. Zaczęto

więc stawiać istnący w dalszych czasach kościół i klasztor, w miejscu kościółka piérwotnego i założony kamień węgielny przez biskupa Chełmskiego Jerzego Zamojskiego, i przez niego w dniu 14 kwietnia 1611 r. ukończona budowla poświęcona. Na wyspie Bugiem i odnogą onego czyli rzeczką Ratą utworzonéj, po lewéj stronie głównego koryta rzeki, wśród wesołych błoni i łąk zieleniejących się, wznosi się ów przybytek okazały. Ustronność miejsca, miłe i wesołe jego położenie, poważne kształty świętych gmachów, cichość okoliczna szmerem wody lub dzwiękiem kościelnego dzwonu tylko przerywana; wszystko to razem przejmuje duszę pewném nadziemskiém uczuciem, odrywa ją od światowego gwaru, usposabia do pobożnego dumania. Nie dziw że tu bliższy z Niebem stosunek, że łatwiejsze wymodlenie łaski, przebaczenia, otuchy! — Częste napady nieprzyjacielskie, powodowały wystawienie budowy klasztoru w kształcie twierdzy; otacza go mur silny cztérema po bokach wieżami wzmocniony; od strony zachodniéj ciągnie się jeszcze mur podwójny. Trzy bramy piętrowe przystęp do klasztoru dają. Sam kościół ołtarzem wielkim ku wschodowi obrócony, okazałéj budowy, z trzech części się składał to jest z nawy głównéj i dwóch pobocznych, które wszystkie wzniosłe pokrywały sklepienia. W ołtarzu nawy bocznéj, po lewéj stronie od wschodu kościoła, umie-

szczony był Obraz cudowny Najświętszéj Panny. Nad drzwiami wchodowemi był chór obszerny, organy większe mieszczący; ołtarz Najśw. Panny miał swój oddzielny chór, z organami mniejszemi. Potężna wieża, zégarem opatrzona, wznosiła się nad kościołem, od strony ołtarza wielkiego. Obok świątyni ciągnęły się zabudowania klasztorne, tudzież mieszkanie gościnne biskupie. Blacha miedziana i dachówka polewana sprowadzone z Gdańska, pokrywały silne te i poważne gmachy. — Jest tu dosyć znaczny z dawniejszych czasów księgozbiór, ważne historyczne i teologiczne księgi posiadający: oszczędził go ogień, lecz pastwą molów być nieprzestaje, odwiecznym kurzem przyłożony, od wilgoci butwiejący. Archiwum klasztorne posiadało niemało dyplomatów, nadań królewskich i innych, które w znacznéj części w pożarze spłonęły. Tamże jest ciekawa księga, dzieje klasztoru i cudownego Obrazu obejmująca, w ciągu czasów przez miejscowych zakonników w kształcie dziennika utrzymywana. Z tego to właśnie źródła piszący główniejsze zebrane tu wiadomości wyczerpał. Wreszcie po różnych komnatach, były liczne wizerunki znakomitszych w przeszłości panów i klasztoru dobrodziejów; z tych niektóre uszły w całości od ogólnéj ognia klęski.

Wielokrotne a ciągle doznawane cuda i łaski w chorobach, przypadkach i innych życia przygo-

dach u cudownego Obrazu, były powodem Józefowi Felicyanowi Potockiemu Strażnikowi W. Kor., do wstawienia się u Biskupa chełmskiego Alexandra Antoniego Fredry, tudzież Arcybiskupa Jana Skarbka, za sprawdzeniem i na jaw wykazaniem cudów Matki Boskiéj Sokalskiéj. Wyznaczona na dniu 19 marca 1723 r. przez Biskupa chełmskiego Kommissya, pod przewodnictwem X. Ożgi Nominata późniéj Biskupa kijowskiego, w celu zbadania na miejscu cudów przez Matkę Boską Sokalską zdziałanych, w przytomności zjazdu znakomitych osób, niemniéj zesłanéj przez Arcybiskupa lwowskiego podobnéj kommissyi, czynność tę uroczyście odbyła. Potwierdzone przez Biskupa chełmskiego dzieło, Papiéżowi Innocentemu XIII końcem uznania cudowności Obrazu Sokalskiego przełożone zostało. Przyznanie to, za wdaniem się Króla Augusta II i wielu panów polskich, uzyskane od Papiéża, a koronacya obrazu d. 8 września 1724 r. nastąpiła. Na pamiątkę tego zdarzenia wybito współcześnie dwa medale, których obu odrysy i opis widziéć w szacownych dziełach Bentkowskiego (Nr 598) i Hr. Raczyńskiego (Nr 464, 465).

Obraz cudowny Sokalski był przez wszystkie czasy przedmiotem szczególnego nabożeństwa nietylko prostego ludu, lecz i najznakomitszych w kraju osób, ciągle nawiédzany i wielbiony. R. 1651 Król Jan Kazimiérz w czasie wojny z kozakami, stanął był

obozem pod Sokalem, i podtenczas Obrazowi cudownemu hołd złożył. Odwiedzin tych pamiątkę widziéć można dziś jeszcze na ścianach zakrystyi kościelnéj w malowidłach ściennych, lubo pod względem sztuki mniéj zaletnych. R. 1655 Bohdan Chmielnicki Hetman kozacki, pustoszenia po Polszcze szérzący, podstąpił był pod klasztor Sokalski. Widząc że nie tak łatwe obronnego miejsca zdobycie, zapragnął by do klasztoru z kilką tylko ludźmi mógł być wpuszczony, co téż uzyskał. Niesie podanie, jakoby przy odsłonięciu Obrazu, taka nań jasność padła, iż oślepł, i przez godzin kilka zaniewidział. Uznając w tém karę Bożą nad sobą, począł za grzechy żałować, bijąc się w piersi i pokłony czyniąc. Gdy tak modlącemu się wzrok powrócił, tknięty bojaźnią i szczególném ku N. Pannie Sokalskiéj nabożeństwem, złożył jéj w darze duży kufel srébrny, talarami napełniony. Dzban ten do ostatnich czasów przechowywany był w skarbcu klasztornym, dosyć prostéj roboty, mieścił na przodzie wyryty wizerunek Chmielnickiego, z okólnym napisem dar jego objaśniającym. Tę pamiątkę oglądał jeszcze niedawnemi laty piszący; lecz zatraconą została dozorujących niedbałością. W dalszych czasach Król August II, zwiedził takoż kościół i klasztor Sokalski. — Między ciekawościami miejscowemi, okazywano téż dar Cesarzowéj Maryi Teressy, ornat własnoręcznie sporządzony, jako ofiarę Pa-

tronce niegdyś całego kraju, którego część przeszła była świéżo w posiadłość téj Monarchini.

W czasie najazdu Szwedzkiego za panowania Króla Augusta II, klasztor tutejszy uległ r. 1704 przygodzie, którą współczesny pisarz w następujący opowiada sposób: „Generał Steinbock exekwował tamte kraje (ruskie) w kilka tysięcy ludzi, zatém przyszedł do Sokala, gdzie do bernardyńskiego klasztoru bardzo wiele szlachty schroniło się było z sprzętami ich, i znaczne depozyta różnych panów tam były; więc Generał Steinbock przybiegł tam do Sokala nagle, udając że przed podjazdami Króla Augusta uchodzi; zatém prosił OO. Bernardynów Sokalskich, aby mu wozy jego przyjęli do klasztoru, których dla ciężkości uwieźć nie mógł niby. Na co niespodziewając się zdrady pozwolili, i tak wprowadził wozy do klasztoru, wsadziwszy w każdy 10 muszkieterów, a skórami poprzykrywał z wierzchu, a tym sposobem wysadziwszy ludzi bramę odebrał, i na wiele milionów w depozytach zabrał panom różnym i okolicznéj szlachcie." (Erazm Otwinowski, Pamiętniki...... str. 78).

Kościoł Sokalski był przedtém składem znacznych bogactw, w drogich kamieniach, złocie i srébrze, któreto skarby z hojności pobożnych z dawnych lat wzrastały. Świetniał niemi zwłaszcza sam Matki Boskiéj ołtarz, suto drogim kruszcem i klejnotami obłożony, między któremi odznaczały

się gdańskiéj roboty szczerosrébrne świętych posągi. Opisy tych bogactw przechowała miejscowa kronika. Pomijając inne, dość będzie wypisać tu choć jedną wzmiankę: „A. D. 17 32 Sub Guardianatu P. Ignatii Orłowski, JW. JMP. Michał Potocki Wojewoda wołyński syndyk generalny prowincyi, motus pietate et affectu erga hunc S. locum, y maiąc tesz do mnie niegodnego affekt dobry, będąc u niego w skarbcu Pańskim, gdym widział szablę bogatą dyamentami suto sadzoną, wyrzekłem iżby z téj szabli była piękna korona N. P. Sokalskiéj. Bez odmowienia zaraz przyobiecał, iakosz zaraz koronę robić kazał, y gdy niedostawało kamieni, kupował różne y co tylko miał w skarbcu swoim kleynotów, wszystkie na koronę wydał. Laudanda hujus Benefactoris pietas, posteris ostentanda. Ta korona kosztuie z złotem, rzemieślnikiem y z kamieniami plus sto tysięcy. Gdyż za ieden kamień dyament, dał y zapłacił JW. P. D. 900 czerw. złotych. Ten kamień iest wpośrodku korony. Oddano tę koronę do skarbcu N. Panny." — W początku bieżącego wieku, w chwilach wojen i wysileń ówczesnych, klasztor tutejszy srodze z kosztowności swych, przez krajową władzę ogołocony został.

Miasteczko samo Sokal, zbudowane niegdyś na lewym brzegu rzeki Bugu, wielokrotnie napadami Tatarów i Kozaków pustoszone, gdy najazdem je-

dnym spalone zostało, na prawy brzeg rzeki przeniesiono. W końcu XVI wieku starostwo Hieronima Jazłowieckiego; w wieku XVII Potockich. Znajdują się tu dwa murowane, kształtnéj budowy kościołki: jeden przedtém farny, w zeszłym wieku spalony, i dotąd nieodnowiony; drugi dawniéj Panien Brygidek z klasztorem, na kościoł farny zamieniony. Za miastem w stronie północnéj wznosi się obszerny okop, którego usypanie Chmielnickiemu przypisują. Święcki mylnie mieści Sokal w województwie wołyńskiém, gdyż do bełzkiego zawsze należał.

Pisałem w lipcu 1843 r.

Ed. Br. Rastawiecki.

WSPOMNIENIE.

POWIASTKA Z PODANIA.

Otóż i dwór naszéj Podstoliny (rzekł Edward do siedzącego na bryczce Zbigniewa) zdala bije łuna z kominkowego ognia. — Daléj Wojciechu! popędzaj co żywo, żebyśmy niechybili kolacyjki wiejskiéj.

Wojciech, wąsacz potężny, świsnął, trzasł z bicza, i zajechał przed ganek, Edward wyskoczył piérwszy, za nim Zbigniew, i weszli razem do gościnnéj izby.

Był to pokój obszerny: piec staroświecki z zielonych kafli rozpierał się w rogu przy kominie i barwą swoją przypominał wiosnę, bo ściany zimową białością świeciły. Stół duży dębowy stał na środku, już nakryty do wieczerzy: siwy kreden-

cerz z serwetą na ramieniu trzymał w ręku półmisek gorących, woniejących zrazów.

— W sam czas, szepnął Zbigniew.

— Dzięki Bogu odrzekł Edward uradowany, nie lubię głodny trafiać po harapie.

Pan Mateusz kredencerz z uśmiechem radości powitał Edwarda.

— Daruj wielmożny paniczku, że ci nie oddaje należnéj submissyi, ale tu zrazy gorące, a półmisek jeszcze gorętszy.

— Właśnie dobrze że gorące, zawołał wesoło Edward, bośmy djable głodni. Do tych zrazów przydźwigaj panie Mateuszu z butelczynę z czasów *Popiela*, co w piwnicy obok swych rówiennic pleśnieje daremnie.

Przerwało rozmowę poufałą starego domownika z Edwardem, nadejście Podstoliny, prowadzonéj pod rękę z powagą przez starego barona. Za tymi szli w drugiéj parze siwy Deputat z siostrzenicą pani domu, panną dwa razy pełnoletnią — zamykał poczet cały pan Antoni z tabakierą w ręku, domownik dawny dworu Podstoliny.

Uprzejmie powitała Edwarda; na przedstawienie Zbigniewa stanęła, dygnęła poważnie i podała rękę, którą młodzieniec z poszanowaniem ucałował.

— My jesteśmy z kuzynowani z sobą, wyrzekła do zdumionego Zbigniewa, a w jakim stopniu to późniéj waszmości opowiem: teraz do kolacyi proszę.

Kiedy zasiedli w koło stołu zastawionego, baron przeciągnąwszy dumnym okiem po młodzieńcach, rzekł przerywanym głosem:

— Wasana mości Zbigniew, musi rodzić matka herbu róża, bo przypominam, że takiego używała herbu. I godnie, godnie, bo była to dziewica jak prawdziwa róża, krew z mlékiem, a co za dowcip — jaka swawolnica! Pamiętam jak zawsze przypinała mi klocki na popielec, śmiejąc się z mego kawalerstwa, i fraka w którym się przestroił w miejsce żupana.

— Z przeproszeniem waszci mości baronie, rzekł deputat pokręcając siwego wąsa, a uczciwszy szanowne uszy pani Podstojinéj, głupstwoś zrobił mości baronie: z poważnego człowieka zrobiłeś się filistynek.

— Prawdę możebym był przyznał, odpowiedział z uśmiechem baron, ale wtedy byłem młody, panny szydziły z żupanów i pasów, a wreszcie, widziałżeś mości deputacie kiedy barona jakiego w kontuszu?

Zastanowił się chwilę deputat, mrugnął oczyma z pod brwi siwych i odrzekł:

— Dobry argument zaprawdę, ale bo też baronostwo to figiel niemiecki: dawniéj mieliśmy książąt i grabiów, tym do twarzy był strój poważny, prawda, że do barona on nieprzystał, bo w baronostwie musi być zawsze obcisło i kuso.

— A cóż niewygadujesz panie bracie, przemówiła Podstolina, chcesz ugryść zawsze przymówką poczciwego barona, a wiesz jak to dobry człowiek, to gołąb', bo żółci niéma.

Baron pocałował w rękę panią domu, a obracając się do deputata.

— Chociażeś prawnik, przegrałeś sprawę miły sąsiedzie. Pod tarczą takiego obrońcy, śmiało waszeci zajrzę w oczy i rzucę nawet rękawicę do turnieju.

Uśmiechnął się deputat, schwycił za pas po lewicy jakby czego szukał, ale zaraz ochłonął z chwilowego zapału i skłaniając głową.

— Submituję pani Podstolinie i tobie mój panie sąsiedzie.

— Zawsześ gorączka, wyrzekła Podstolina, uważając na poruszenia deputata; ale to familijna wada, i mój nieboszczyk, iskra nie człowiek.

— Mój ś. p. pan brat stryjeczny zacny Podstoli— panie świéć nad jego duszą.... (westchnął — gdy Mateusz nalał mu kieliszek wytrawnego węgrzyna). Gdyby nie brak jego osoby, to w tym dworze nieznalazłbym żadnéj zmiany. Taż sama gościnność co dawniéj, rząd dobry, gospodarka i uprzejmość starodawna.

Podstolina skłoniła głową na podziękowanie.

— A przecież nieraz waszeć mówiłeś, że u niewiast długie włosy a rozum krótki.

— Protestuje w tym dworze, tu włosy i rozum długie.

— Figlarz z waszecia mój deputacie: tak samo prawisz mi komplimenta, jak niegdyś pannie Dorocie....

— A pani bratowo szanowna! były to czasy szczęśliwe, może lepsze dla nas obojga.

— Prawda, odrzekła Podstolina ze smutkiem opuszczając głowę, żył mój nieboszczyk.... i dziatwa moja osiadała mi wieńcem. Wszystko mnie opuściło — sama w tym starym dworze, co jest pomnikiem naszych lat młodości! i gdyby nie łaska moich sąsiadów, co umilają tyle chwil gorzkich żywota, byłabym jak sucha brzoza, przy strumieniu łez moich.

Otarła oczy prędko, pan Antoni milczący dotąd świadek zażył tabaki, duże oczy wlepił w oblicze Podstoliny i wyrzekł na pół z płaczem.

— A pani Podstolino — a czy nas niemasz, a nieufasz że w miłosierdzie i opatrzność boską!

Westchnęła Podstolina, wstała od stołu, i z uprzejmością podała rękę Zbigniewowi. Weszli do sali oświeconéj jasnym płomieniem z komina i kilką świécami woskowemi domowego wyrobu.

Mateusz chcąc przypomnieć jak nic w tym domu nie zmieniono ze śmiercią Podstolego, wniósł na tacy opleśniałą butelkę. Pan Antoni na jéj widok uśmiechnął się i zażył tabaki. Deputat po-

gładził czupryny, Baron odchrząknął przyjmując kieliszek podany przez Mateusza.

— Ach! to siostra rodzona tych butelek, rzekł Deputat, cośmy zapijali na fecie panny Doroty, kiedy ś. p. pan brat Podstoli wyprawiał ją honeste.

— Wieleż to lat będzie temu? zapytał Baron, podając do nalania próżny kieliszek Mateuszowi.

— Circa mości Baronie trzydziestu.

— A było to płaczu wiele, a śmiechu niemało: wymówił pan Antoni zażywając tabaki.

— To musi być ciekawa historya! zawołał wesoło Edward.

— Dla nas z młodszego pokolenia, dodał nieśmiało Zbigniew, takie zdarzenia, opowiedziane jeszcze usty tego, co miał w nim udział, są skarbem przeszłości, bo każde podanie upłynionych czasów, dodaje zarysów i szczegółów ciekawych, do wielkiego obrazu domowych dziejów naszych.

— Cieszy mię to mocno, zacny młody przyjacielu, że radzi jesteście posłuchać: z ochotą wam opowiem za pozwoleniem szanownéj pani bratowéj! I Deputat z zalotnością pocałował w rękę Podstolinę. Zacznę więc *ab ovo* jak to powiedają, a przezacni tu aktorzy obecni tego *intermedium* raczą wesprzeć pamięć moją jeżeli w czym uchybię.

Przysunął krzesło duże z poręczami bliżéj komina, rozsiadł się w nim wygodnie, pogładził czu-

pryny, splunął, pokręcił wąsa, i włożywszy lewą rękę za pas srebrem przerabiany, zaczął.

— A więc tedy będzie temu *circa* lat trzydzieście, jakoś już pod jesień, bom zasiał pszenicę i żyto: właśniem woły na zimowisko stawiał na oborze do wypasu, i dysponowałem jak stać mają, gdy od ś. p. pana brata Podstolego odebrałem list, abym przyjechał na parę dni, że się spodziewa dużo gości i pragnie abym miejsce czesnika, piwniczego i krajczego objął. Ho! ho! był to nie lada obowiązek w tym dworze — a miły Boże! gości bez liku. Mieszkała tam panna Dorota krewniaczka brata Podstolego... Była to dziewka gładka jak Dyanna, oczy czarne jak ciareczki, usta małe koralowe, zęby jak sznurek korali, brwi jak skrzydła jaskołcze, nożka sarnia, tok ciała by ulany.....

— O mości Deputacie, taki opis z takim ogniem wart kielicha, zawołał wesoło Baron. Mateuszu daj ta spleśniałkiéj.

— Niedziwota, rzekła Podstolina, pan brat palił do niéj cholewki, smalił koperczaki.

Deputat opuścił smutnie głowę na piersi, nieprzyjął kieliszka wina, otarł łzę prędko, a westchnąwszy boleśnie, zadumał osowiały.

— Panie bracie mówcie daléj, przemówiła Podstolina, słuchamy i goście nasi słuchają. Deputat spojrzał na Zbigniewa i Edwarda:

—Wy się dziwicie młodzi przyjaciele, że wspomnienie to wzrusza serce i łzę pędzi do oczu: wybaczcie: była to jedyna białogłowa, z którą mogłem być szczęśliwy, co mogła ciężki człowieczy żywot na tym świecie, w raj niebieski zamienić. Ale *Homo proponit Deus disponit* — święta jego wola! Nie byłbym przecież sam jak kołek doma; niemasz ręki przyjaznéj coby w chorobie przytuliła, w smutku pokazała gwiazdę pociechy. Mawiał mi rodzić że: *śmierć i żona od Boga przeznaczona:* mnie śmierć nie minie, a małżonki niémam i miéć nie będę. — Ale przystąpmy ad rem.

— A tym czasem, szepnął pan Antoni podając kieliszek, odwilż usta szanowny panie Deputacie.

Posłuchał dobréj rady, i już weselszy daléj prawił.

— Przybywam do dworu tego, gości już wiele, więcéj się jeszcze spodziewano. Zająłem się mojemi urzędami, i napociłem czoła nie mało. Po sutym obiedzie, kiedy strudzony spocząłem na kanapie, Podstoli przyszedł do mnie i rzekł: — „Panie bracie, waszeć nic niewidzisz co się kluje: ten wysoki chłop co go zwą Hrabiczem, djable smali cholewki do naszéj Dorotki, dasz waszeć baczne oko, bo umie jedwabnemi słówkami przywabiać, a dziewcze młode i zalotne nieco uwierzy łatwie przysięgom: szkoda by było takiego kwiatka.“

Mróz zimny ścisnął mi serce; panna Dorota owo miluchne i skromne dziewczątko w niebezpieczeństwie, moje prawe oczko, miły Boże! Sciągłem zęby, pachołkowi kazałem wyszlifować augustówkę, a przeżegnawszy się krzyżem świętym poszedłem na wywiady. Jakoś przeczuciem skręciłem do ogrodu, w ogrodzie była altana: podchodzę słyszę szepty: skradam się cicho — widzę jak u nóg Dorotki klęczy Hrabicz, w gorących afektach. O mospanie, krew mi buchła do głowy, stanąłem na progu, i spojrzałem na tę parę w milczeniu.

— Mój Boże pan Dominik! krzyknęła Dorotka.

— Co wacan chcesz tu, zapytał dumnie Hrabicz.

Dorotka uciekła — ja stałem na progu.

— Co wacpan tu chiałeś, czy podglądać? czy przeszkadzać. Wiesz ty z szarego końca żupanisto, że i rąbać umiem, i strzelam niechybnie.

O to było za wiele! chociaż chłop wysoki, porwałem go za kark, zwinąłem nogą pod siebie.

— Nędzniku, krzyknąłem trzęsąć się w gniewie, czyś poto przestąpił gościnne progi mego brata, aby uwodzić jego wychowankę? A wiesz pogański synu że gdybym nieszanował świętego gościnności prawa, skonałbyś w powijakach moich.

Chciał się unieść, chciał się z mych kleszczy wydostać, ale daremnie: zachował mimo to zuchwalstwo swoje.

— Żeś silniejszy widzę, ale żebyś czuł honor szlachecki nie wiém, powinieńbyś broni uczciwszéj wezwać na pomoc. Puściłem go — niechciałem być dłużéj *dławidułą*, jak późniéj mię nazwał pan brat Podstoli.

— Kiedy się do honoru odzywasz, znaj że i ja go znam, wybiéraj broń czas i miejsce — rozprawiem się lepiéj.

— Więc jutro rano pałasz rostrzygnie.

Wybiegł prędko z altany, ja zasępiony przeszedłszy się kilka razy po ogrodzie chciałem wnijść do sali, kiedy w cieniu przy ogrodowym ganeczku, usłyszałem szept cichy — *O saméj północy* — *trzy ciche świśnięcia* — *wszystko gotowo* — *nieodmawiaj mi mój aniele* — *przysięgam!* Reszty niedosłyszałem ale był to głos Hrabicza, mignęła mi biała szata, poznałem Dorotę. — Ha! więc zmowa gotowa! Wbiegam na salę — Hrabicz jakby nic nie zaszło stał w kącie, Dorota opodal siedziała przy Podstolinie, ale zmieszana rzucając ciągle oczyma na niego. Gdy mnie zobaczyła stanęła w płomieniach, dała mi znak, stanąłem przy niéj.

— Chwilkę rozmowy, zaklinam — w różowym pokoju.

Skłoniłem głową i pobiegłem do pokoju, którego sufit w wieńce róż był malowany.

Z bijącém sercem czekałem chwilę, niedługo wbiegła, a jaka była wesoła, rzuciła na mnie wiązanką kwiatów, którą w ręku trzymała, ale widząc że żart taki nierozchmurzył zasępionego czoła, zbliżyła się do mnie, i rzewnym przemówiła głosem.

— Panie Dominiku, czy pan się gniewasz na mnie? I z dobrocią anielską podała mi rękę. Uścisnąłem i ucałowałem ją serdecznie. Ja wiem, mówiła daléj spuszczając oczy w ziemię, że mnie kochasz.

Zimno i gorąco zrobiło mi się do razu, ja jéj nieśmiałem tego powiedziéć, a ona mi to w oczy prawiła. Zaczerwieniłem się powyżéj uszu, zapomniałem języka, ulgnął mi jak w kłakach. Ale musiałem wiele mówić oczyma, temi wiernymi posłami od serca, bo jéj się łzy zakręciły.

— Ja cię kocham panie Dominiku jak brata, niemam tajemnicy przed tobą, wiesz już wszystko.

Przyszedłem k' sobie; zdarzenie przed chwilą stanęło mi widnie przed oczyma.

— Tak! wiem wszystko na moje nieszczęście, ale on chce cię wykraść, uciec od mojéj szabli chociaż sam wyzwał, jest to nędznik i podły....

— Choćby był takim, odpowiedziała mi dumnie Dorota, to przez wzgląd na mój wybór, powinie-

neś go więcéj szanować. Niechcesz być moim bratem, bądź więc moim wrogiem....

I nieczekając mojéj odpowiedzi, niespójrzawszy na mnie odeszła.

Zdurzałem — co tu robić — jak zapobiedz nieszczęściu, głowa mi pałała, wybiegłem do ogrodu. Jak długo chodziłem nie wiem, ale kiedym ochłodnął nieco i spojrzał na dwór, już w oknach ciemność świadczyła że wszyscy we śnie spoczywają. Ha! pomyślałem, zapewnie już wszystko skończone, mojéj Doroty niezobaczę więcéj! Podchodzę bliżéj, słyszę jęk cichy, potém bieganie ostrożne jakby kilku osób. Zaledwiem stanął na progu ganku, gdy w ciemności ledwiem dojrzał, że jakaś postać osłoniona wychodzi cicho drzwi otwierając, chwyta mnie za rękę, i ztłumionym głosem mówi:

— Adolfie przebacz, niemogłam prędzéj, Podstolina.....

Poznaję głos Doroty, przytrzymuję jéj rękę, silnie ściskam. — To twój brat, nie kochanek odrzekłem równie z cicha. Zkośniała z przestrachu; uczułem chłód jéj ręki, jękła i o mało nieupadła. Schwyciłem w ramiona i korzystając z tak miłéj sposobności serdecznego ukradłem całusa. O jeszcze go pamiętam! jest to najmilsze wspomnienie lat ubiegłych. Gdy tak cucę śliczną Dorotę, nagle powstaje wielki hałas we dworze, rozwidnia się ciemność w oknach, budzą się wszy-

scy, zajaśniało jakby w illuminacyi. A moja Dorota jeszcze się nieotrzeźwiła. Co tu robić, trudna sprawa; jak mnie zdybią razem co powiedzą, łapes więc na ręce moją dyannę i w nogi do altany, w drodze przecież przyszła do przytomności.

— Puść mnie, puść mnie! wyjękła słabym głosem.

Usłyszała wrzawę i krzyki we dworze: co to jest? zapyta strwożona.

— Szukają cię pewnie, myślą żeś uciekła z Hrabiczem.

— A więc chodźmy — niech się uspokoją: i podała mi rękę.

Prowadzę więc Dorotę, ale sam miałem minę winowajcy, bom się bał strasznie Podstolego: była to djabla gorączka. Wchodzim na ganek i prawiem nastąpił mu na nogi: ztruchlałem co mi powie.

— A to wy moje dzieci — a co złapałeś, widziałeś? No niewiesz? Daléj na koń....

— Dawaj konia, krzyknąłem, daléj chłopcy choćby w piekło. I do dwudziestu nas zbrojnych rozlecielim na cztéry strony świata. Leciał za mną stary Matus kucharz w szlafmycy białéj, z nożem za pasem przy fartuchu, dosiadłszy gniadosza od brony, gnał co siły. Kiedy już odsadzilim z pół mili krakowskiéj, pytam go:

— Matusu! a gdzie pojedziem dali? bośmy właśnie na rozstajnych stanęli drogach pod *figurą*.

— A ja nie wiem Wielmozny panie!

— A kogo i co mamy łapać?

— I tego niewiem Wielmozny panie.

— Jesteś osioł! zawołałem rozgniewany i śmiejąc się późniéj: a czegóżeś tak sadził w tę stronę na gniadoszu, żem ledwie cię dogonił.

— Albo ja wiem Wielmozny panie, widziałem tylko że inni w tamte rozlecieli strony, a że ja nie owca, pognałem w tę stronę w którą żaden nie skoczył.

— Masz rozum Matusu: ale co mamy łapać.

I stanęliśmy pod krzyżem. Matus zdjął szlafmycę, ja czapkę, przeżegnalim się razem.

— Czy nic niewiesz, przecie mówiono że kogoś porwano.

Matus uderzył się w łysinę: — A prawda Wielmozny panie, to pannę Dorotę porwali zbójcy! Ale szkoda że niemamy psa, co wedle powiastki, ślad ludzki wytropi.

— Panna Dorota doma. Wracajmy powoli.

Zwrócilim człapiem kłusika, gdy ekonom wąsacz by sum dogania nas i woła: „Złapaliśmy! już prowadzą!

Spójrzałem, prawda! — z dziesięciu konnych prowadzi pojazd w dzielną piątkę zaprzężonych: dojeżdżamy, patrzę aż tam siedzi Hrabicz blady jak

trup, obryzgany błotem i otulona kołdrą..... moja pani bratowa, kochana nasza Podstolina.

I powstał Deputat, zbliżył się i w rękę z uszanowaniem pocałował.

Podstolina uśmiechnęła się rada.

— Teraz, wyrzekła, ja Waszeciom skończę co zaczął pan Deputat. Kiedy wieczór już późny, było popółnocku, ja z moim Janem, ustąpiwszy małżeńskiéj komnaty dla podkomorstwa, przenieśliśmy się do alkowy Doroty. Niewiedział o tém ani Hrabicz ani Dorotka. Mój pan małżonek, świeć panie nad jego duszą, wymknął się jeszcze fetować swoich gości. Ja zmówiwszy pacierz zgasiłam świéce i ległam na łożu. Nagle chłód mię owiał, czuje z przestrachem że ktoś mię z głową w kołdrę obwija, porywa na ręce i nie drzwiami wynosi. Jak Waszeć widzisz, mówiła obróciwszy się do Zbigniewa, byłam zawsze szczupłą i jednéj figury z Dorotką, wreszcie pod kołdrą grubą trudno rozeznać. Tak niesiona przez ogród, przełożona ostrożnie przez płoty i parkan, uczułam że jestem w pojeździe i głos słyszę *gnaj co siły!* — Tak lecielim! przecież wydobyłam nieco głowy. — „*Co to jest na miłość boską.*" Hrabicz poznał do razu omyłkę, stój! stój! krzyknął na woźnicę, a gdy ten zaledwie mógł nieco powstrzymać rozhukane konie, oskoczyli nas jezdzcy, wyciągnęli Hrabicza z pojazdu, związali służbę jego. Tak napowrót wrócilim:

drżałam z obawy, co zrobi mój Podstoli z uwodzicielem: on sam był blady jak chusta.

— Ratuj mnie pani! ja bez Doroty umrę!

Żal mi go było — w cichości modliłam się gorąco. Zajeżdżamy przed ganek, mój Jan sam mnie wyniosł i zaniosł do łoża, na Hrabicza ostro spojrzał. Ekonom wziął go z sobą i zamknął w lamusie, drżałam z zimna i ze strachu: płakałam, ale Podstoli rozchmurzył czoło, uściskał mnie i rzekł wesoło:

— Dosyć płaczu, bo i Dorota tam szlocha! Teraz trzeba trochę i śmiechu. Zawołać mi tu pana Dominika! No skończe panie Deputacie, bo wiesz to niźli ja lepiéj.

Deputat pogładził czupryny; — przyszedłem więc przed pana brata: wziął mię na stronę i długo prawił na ucho. Opuściłem smutnie głowę, bo mi to nakazywał robić o czym ani mi się śniło. Podstaróści poleciał po Proboszcza: pchnąłem brykę do Krakowa po bakalje i słodycze: nad ranem wszyscy spoczęli snem utrudzenia, jam jeden czuwał: bo jakżesz mogłem zasnąć, słysząc na górze gdzie mieszkały panny płacz i szlochy Doroty. Słońce z po za lasu poczęło wschodzić, wracam do oficyny i słyszę przy lamusie łkanie: podsuwam się i widzę Dorotę, jak pod kratowanym oknem stojąc płacze, i podaje jadło więźniowi.

— Niemasz już dla mnie nadziei, ona go tylko kocha! Ale teraz dobra pora: zemszczę się lub zginę. Biegnę do ekonoma co miał klucz od spichrza, i z nim i z dwoma parobkami wracamy. Już nie było Doroty — tym lepiéj pomyślę sobie. Otworzyłem drzwi.

— Wychodź Hrabiczu, przed parą godzinami wyzywałeś, otóż umówiona godzina. Potém wrócisz tu Waszeć czekając właściwego sądu.

— Dobrze, odrzekł więzień słabym głosem, ale niemam broni.

— Wszystko gotowe; dobyłem z pod opończy dwie augustówki: ale dasz mi verbum nobile, że szabli co ci użyczę nieużyjesz do zasłonienia swojéj ucieczki.

Podał mi rękę, wyśliśmy razem: na okólniku przed stodołą była ładna murawa, tuśmy do rozprawy stanęli. Odżył nieco Hrabicz, otarł widać gorące czoło rosą z murawy, dobył szablę z pochwy i stanął. Dostałem i ja z wężownicy swojéj szerpentyny, zrobiłem krzyż święty na ziemi.

— No zaczynajmy mości panie, zawołałem: owoż już i słonko przyświeca nam dobrze.

Raz, dwa, trzy — dostałem po czole krésę djable, robił cięcia ale i jemu wypadła szabla z ręku: jam się schwytał za głowę, on za rękę.

— Teraz sza i zgoda, podałem mu rękę, wyciągnął do mnie lewicę, bo prawa krwią cała

zalana. Ekonom był cyrulikiem: Hrabicz wrócił do lamusa, ja ze łbem obwiązanym już nie tak na niego zawzięty poszedłem do swéj izby.

Nie wyszedłem na obiad, bo rana kaducznie mi krwawiła, zaledwie octem i pajęczyną przecież nieco utamowano. A tu już i wieczór trzeba było wykonać Podstolego rozkazy. Niewiem zkąd dowiedział się o wszystkim, snać zausznik ekonom wypaplał wszystko: przyszedł do mnie, spojrzał na łeb obwiązany.

— Co to Waści? rzekł jakby z niechcenia, czy głowa boli?

Po minie poznałem że wie, skłoniłem się pokornie i wyznałem wszystko.

— Głupstwo! głupstwo Waszeć robi! i to dla téj szalonéj dziewczyny? A czy Waść wykonał moje polecenia?

— Już wszystko gotowo.

— No dobrze! przystroj się panie bracie lepiéj, tak zrób jakiém mówił.

Ledwiem wyszedł, nadbiega Dorota z płaczem.

— Panie Dominiku, on zamknięty i tyś go ranił: to trzeba być tygrysem nie człowiekiem. Jak pocznie łkać i szlochać, zgłupiałem, upadłem na kolana — całowałem ręce, pokazałem wreszcie ranę.

— I on ranny, mówiła z płaczem a któż go zranił, ten com go jak brata rodzonego kochała: o mój Boże!

Niemogłem wytrzymać takiego wyrzutu.

— Panno Doroto! ty go kochasz, a cóż się ze mną stanie — ze mną co cię kocham jak anioła, ja umrę z żalu po tobie.

Spojrzała litośnie na mnie, podała rękę i wybiegła jak sarna.

W sali zajaśniało światło — na chórze brzmi muzyka: Hrabicz siedzi tymczasem w lamusie. Dorota jeszcze płacze na górze. Nagle ucicha kapela. Makaty uchylają co drzwi zasłaniały domowéj kaplicy, a przy ołtarzu oświeconym stoi przybrany kapłan: pani Podstolina prowadzi Dorotę przybraną jak do ślubu, Podstoli wiódł Hrabicza — wszyscy patrzą zdumieni. I weszli do kaplicy, połączył ich ręce kapłan, związał stułą, byli małżonkami.

Zaćmiło mi się w oczach, o mal nie padłem: zrozumiał brat Podstoli co się ze mną święci, pochwycił silnie za ramie i wprowadził do sypialnéj komnaty. Tu uściskał mię serdecznie, otarł łzy i rzekł:

— Panie bracie! wiem co cierpisz! ale widać że tak Bóg chciał; pomnij żeś mężczyzna, zbudź odwagę w rozmiękczałém sercu: ja niemogłem inaczéj! I cóż było robić, mówił chodząc po pokoju

szérokim krokiem, ona go kocha — a wiesz gdzie białogłowę gorący afekt unieść może: trzeba pamiętać i na honor familijny. Teraz jeśli źle trafiła niech sama na siebie narzeka, jeśli dobrze podziękuje Bogu: ale nie było sposobu z tą dziewczyną. Idź że mi panie bracie, słyszę kapelę, przetańcz z nią choćby raz tylko a jeśli cię serce bardzo zaboli, to popłacz ale w kącie żeby nikt nie widział.

I znów mię uściskał. Odetchnąłem swobodnie, pobiegłem na salę, odbiłem Dorotę, i oddałem panu młodemu: sam zaś nieczekając ochoczéj uczty uciekłem do swéj izdebki....

— A płakał rzewnie jak bóbr, dodała Podstolina, bo go moja panna wyprawna wypatrzyła.

— Czy była szczęśliwa? zapytał Zbigniew.

Deputat machnął ręką, odwrócił głowę i chwilę milczał, potém rzekł:

— Szczęśliwa! otóż że nie! opuścił ją nędznik w rok potém! ona go kochała, wypłakała oczy, w drugim roku w same święta Bożego Narodzenia umarła! Tak jéj zapłacił serdeczną miłość! Biedna Dorota! Zakrył twarz rękoma.

Podstolina westchnęła smutnie. — Corocznie odwiedzamy jéj mogiłę, pan brat modli się, i zawsze rzuca wieniec kwiatów, które na ten cel chowa jedynie. W przeszłym roku nie byłam na grobie Doroty, śnieg padł ogromny i mróz był wiel-

ki. Z panem Antonim pośli razem, zaledwie dostali się do mogiły: pracowali długo nim odgarnęli śnieg twardy — przecież na krzyżu zawiesił wianek zmarzłych kwiatów.

— A pan Deputat, odezwał się pan Antoni, płakał jak dziecię klęcząc na grobie.

— Biedna Doroto: jęknął z cicha Deputat! byłaś stworzona do miłości — nieznalazłaś serca! Twoje godziny życia liczyłaś na łzy — dnie na boleści!

Biedna Doroto!

K. Wł. Wójcicki.

ZAMEK CRICHTOUN,

W SZKOCYI.

Wyjątek z poematu Waltera-Skotta

pod tytułem:

MARMION.

(Z ryciną).

Marmion, powieść z czasów bitwy pod Flodden-Field, gdzie w roku 1513 wojsko szkockie do szczętu prawie zniesioném przez Anglików zostało, a Jakób IV Król Szkocki zginął, należy do celujących poematów sławnego romanso-pisarza. Prześlicznym a wiernym jest obrazem owéj epoki, kończącéj już wieki średnie.

Lord Marmion wysłany przez Henryka VIII Króla angielskiego do Jakóba IV Króla Szkocyi

z żądaniem od ostatniego objaśnień w jakim celu zgromadza wojsko i czyni przygotowania wojenne, spotkał w drodze sir Dawida Lindesay, naczelnika heroldów, który z polecenia Jakóba zaprosił lorda Marmion do zamku Crichtoun, o mil siedm od Edymburga, gdzie miał czekać na wyznaczenie dnia, w którym przypuszczony będzie przed oblicze Króla.

Zamek Crichtoun zbudowany jest na wzgórzu śród powabnéj doliny, u stóp którego spływają wody rzeki Tyne i tworzą czarne i głębokie jezioro, ocienione wierzbami i olchą; potém wymykają się wązkiém korytem żeby znowu skropić równinę. Wieże owego zamku rozmaitych sięgają wieków; różnorodna ich architektura świadczy, że różne ręce je wzniosły: ogromny jest to gmach, który się opiérał zbrojnym bandom Duglasa, jakie gniéw i zemsta nasyłały.

„Crichtoun! lubo na błotnistém twém podwurzu tylko ślad leniwego wołu lub beczącego stada dostrzegać się dziś daje, ale gotyckie twoje wieże, chociaż wyszczerbione, niemniéj zachwycały pieśń minstrela. Często śród twoich murów tłumaczyłem sobie tajemnicze znaczenie godeł malowanych na twych herbach, chwalebnych tarcz herbownych, szczątków staroświeckiego i grubego przepychu. Jeszcze niezniszczył czas pięknéj twojéj rycerkiéj galeryi, ani ślicznéj rzeźby kamiennych twoich wschodów, ani

powabnego portyku od dziedzińca.... Spuścić się jeszcze można ze drzeniem w czarne podziemia, gdzie jęczeli niegdyś więźnie, światła dziennego pozbawieni; lub z blanków twoich murów zielonością pokrytych, ścigać wzrokiem ruchomą wstęgę, jaką tworzą spokojne nurty rzeki Tyne!“

Rycina przedstawia lorda Marmion opowiadającego sir Dawidowi Lindsay dziwną przygodę, jaka przed kilką dniami go spotkała, to jest fatalny pojedynek z istotą jak mniemał nadprzyrodzoną, straszném widmem. Dopiéro późniéj przekonał się że nie z widmem walczył, ale z najzaciętszym wrogiem, którego sam był dawniéj okrutnie pokrzywdził.

KONIEC.

SPIS PRZEDMIOTÓW

PODŁUG IMION AUTORÓW.